MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI: DLACZEGO TAK BOLI LEWICĘ

CAŁY ŚWIAT PRZERAŻONY DROŻYZNĄ

JAK SILNA JEST NIEMIECKA PARTIA W POLSCE

DODATEK PEŁEN PASJI: GIGANCI NAUKI.PL

SIECI

NAJ KONSERW TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 45 (467) 2021
8–14 listopada 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KOMENDANT GŁÓWNY STRAŻY GRANICZNEJ TOMASZ PRAGA:

WYGRAMY TĘ WOJNĘ

KULISY DRAMATYCZNEJ OBRONY POLSKIEJ GRANICY W PIERWSZYM PRASOWYM WYWIADZIE. I WSTRZĄSAJĄCE INFORMACJE O HEJCIE, KTÓRY SPADA NA OBROŃCÓW GRANIC

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

JUŻ 15 LISTOPADA

W TYGODNIKU SIECI

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności

tygodnika SIECI

IX EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dziewiąty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością

2020
Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek

2019
Premier
Mateusz Morawiecki

2018
Wiceppremier
prof. Piotr Gliński

2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2015
Prezydent RP
Andrzej Duda

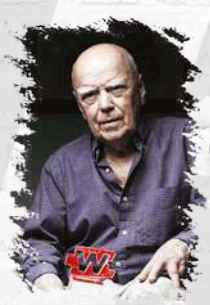

2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz

2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2021**.
15 listopada w tygodniku Sieci wydrukujemy pierwszy z czterech kuponów, które pozwalają zgłosić kandydata do nagrody Człowieka Wolności 2021.

Partnerzy plebiscytu

Bank Pekao · LOTOS · ORLEN · TOTALIZATOR SPORTOWY · 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Organizator plebiscytu

SIECI

eprasa.pl 0bebdbdc49

Na sznurku Putina

Autopromocja

W zeszłym tygodniu z różnych krajów Europy Zachodniej zaczęły docierać do mnie echa przemówienia Władimira Putina wygłoszonego na międzynarodowym spotkaniu Klubu Wałdajskiego. Prezydent Rosji, krytykując ideologię neomarksistowską, przedstawił tam zachodniej prawicy ofertę (jak sam to ujął) „zdrowego konserwatyzmu" lub „rozsądnego konserwatyzmu". Byłem zaskoczony, czytając, z jak życzliwym, niekiedy wręcz entuzjastycznym przyjęciem spotkało się jego wystąpienie w wielu środowiskach konserwatywnych na Zachodzie, gdzie Putin coraz częściej jest postrzegany jako wzór chrześcijańskiego polityka w antychrześcijańskim świecie.

Ponieważ jego mowa wałdajska przeszła w Polsce niezauważona, postanowiłem napisać o niej na portalu wPolityce.pl, by zaprezentować, jakich argumentów używa Kreml, by przekonać do siebie np. ideowych działaczy organizacji pro-family czy pro-life w krajach zachodnich. Mój tekst wywołał lawinę komentarzy w polskich mediach, które koncentrowały się jednak nie na tym, co powiedział Władimir Putin, lecz na tym, co napisał (a właściwie, co myślał sobie, pisząc swój tekst) Grzegorz Górny. Niektórzy z autorów zaklasyfikowali mnie nawet do obozu fanów Władimira Władimirowicza.

Tego typu interpretacje z jednej strony są świadectwem coraz bardziej rozpowszechnionego braku umiejętności czytania ze zrozumieniem, z drugiej – ograniczenia horyzontów umysłowych części komentatorów, którzy nie są w stanie wyjść poza perspektywę polskich przepychanek. Być może jednak istnieje jeszcze jedna przyczyna takiej reakcji: bezradność intelektualna wobec argumentów przedstawionych przez byłego pułkownika KGB. Problem z wałdajską mową Putina polega bowiem na tym, że w wielu miejscach mówi on rzeczy prawdziwe i zgodne ze zdrowym rozsądkiem, np. gdy krytykuje szaleństwa współczesnej ideologii gender (takie jak wmawianie kilkuletnim dzieciom, że mogą sobie dowolnie wybierać płeć) czy kultury unieważniania (jak wyrzucanie z programów uniwersyteckich dzieł klasyków, np. Szekspira, z powodu ich rzekomego rasizmu).

Zignorowanie mowy Putina – a zaatakowanie posłańca, który przyniósł wieść o niej – wynika z nieumiejętności zmierzenia się z wyzwaniem, jakim jest spora doza trafnych diagnoz we wspomnianym przemówieniu. Owa trudność wynika z faktu, że rosyjski prezydent korzysta z prawdziwych informacji, by zbudować fałszywą strukturę informacyjną. To abecadło prowadzenia wojen psychologicznych we współczesnym świecie. Wielu naszych komentatorów nie ma jednak najmniejszego pojęcia o strategiach wojen informacyjnych, mimo że Zachód (w tym także Polska) od dawna pozostaje celem koordynowanych z Moskwy ataków hybrydowych.

Ta bezradność najbardziej widoczna jest dziś w przypadku presji migracyjnej na wschodnie granice Rzeczypospolitej. Ci sami ludzie, którzy oskarżają obecny obóz władzy w Polsce o putinizm, najczęściej odgrywają role pacynek w spektaklu reżyserowanym przez Łukaszenkę i Putina. Służby specjalne na Wschodzie dokładnie wiedzą, z jakich narzędzi korzystać, by uzyskać pożądaną przez siebie reakcję. Jak pisze w książce „Problemy psychologii wojskowej", wykorzystywanej jako podręcznik w rosyjskich uczelniach wojskowych, jeden z autorów, płk Władimir Lisiczkin: „Najbardziej podatną na manipulację częścią społeczeństwa jest inteligencja, myśląca uogólniającymi, złożonymi symbolami. W znacznej mierze dotyczy to ludzi wykształconych z wielkich miast".

Moskiewski specjalista od prowadzenia wojen psychologicznych zauważa, że najskuteczniejszą bronią są dziś „mity polityczne", które tworzą fałszywą siatkę pojęć i zniekształcają rzeczywistość symboliczną. W efekcie wielu ludzi zaliczających się do warstwy inteligenckiej i postrzegających świat w sposób zapośredniczony przez struktury symboliczne pada ofiarą zręcznie tworzonych mitów. Zamiast realnego ataku hybrydowego na państwo polskie prowadzonego przez bezwzględnych agresorów widzą więc polskie państwo polujące na biednych uchodźców. Spece od socjotechniki ze Wschodu zacierają ręce.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 0bebdbdc49

SIECI spis treści

38 *Dramat w Pszczynie*
Dorota Łosiewicz

53 11 listopada. Dzień euforii i krwawych potyczek
Wojciech Lada

61–68 Dodatek specjalny
Giganci nauki PL

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **OJCOWIE PODLEGŁOŚCI**
Krzysztof Feusette

9 **LĘK PRZED PORAŻKĄ**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **W POSZUKIWANIU STRACONEGO ELEKTORATU**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **ZMARLI, CZYLI GRANICE RACJONALNOŚCI**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA TOMASZA ŁYSIAKA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **70-METROWE DOMY NADCHODZĄ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **PLASTIKOWE KULE**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **Z GEN. DYW. TOMASZEM PRAGĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

26 **11 LISTOPADA: POLSKA WYCHODZI NA ULICE**
Jakub Augustyn Maciejewski

30 **KŁOPOT Z PATRIOTYZMEM**
Konrad Kołodziejski

34 **„PARTIA NIEMIECKA" W POLSCE**
Stanisław Janecki

38 **DRAMAT W PSZCZYNIE**
Dorota Łosiewicz

42 **Z JERZYM SZMITEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

48 **PASJA, SZTUKA, TAJEMNICA**
Grzegorz Górny

HISTORIA

53 **DZIEŃ EUFORII I KRWAWYCH POTYCZEK**
Wojciech Lada

57 **Z PIOTREM BĄKIEM**
rozmawia Piotr Słabek

70 **EDUKACJA PRZEZ TABLICE PAMIĘCI**
Bartosz Życiński

OPINIE

72 **MIĘDZY WOLNOŚCIĄ A DOBREM WSPÓLNYM**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

75 **W GLASGOW WĘGIEL NIE PRZEJDZIE DO HISTORII**
Jan Rokita

78 **Z PROF. DAVIDEM ENGELSEM**
rozmawia Aleksandra Rybińska

81 **GLOBALNA DROŻYZNA**
Aleksandra Rybińska

84 **NIE WSZYSCY SĄ TACY SAMI**
Goran Andrijanić

86 **POTIOMKINOWSKI KONSERWATYZM PUTINA**
Marek Budzisz

SIECI KULTURY

89 **UWIELBIANY BRZYDAL**
Jolanta Gajda-Zadworna

92 **CARMEN I TRZECH TORREADORÓW**
Stanisław Wojciechowski

94 **CYFROWA WOJNA HYBRYDOWA**
Robert Tekieli

95 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

96 **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

108 **Z HALINĄ SZYMAŃSKĄ**
rozmawia Edyta Hołdyńska

KUCHNIA

114 **MOJE SMAKI: JOANNA BRODZIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

115 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

116 **„FIT" NIE DLA NAS**
Wojciech Reszczyński

117 **KARYKATURA**
Aleksander Nalaskowski

118 **KORZENIE CZY NAWÓZ**
Jan Pospieszalski

119 **KRAJOWA WERSJA RÓŻY THUN**
Jerzy Jachowicz

120 **ACH, TEN LISTOPAD!**
Ryszard Makowski

121 **POLONEZ LISTOPADOWY**
Leszek Długosz

122 **NIEMIECKI PARADOKS**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 0bebdbdc49

Priorytet – bezpieczeństwo finansowe Polaków

Podobnie jak przedwojenna Polska Kasa Opieki tak dziś Bank Pekao SA wzmacnia pozycję finansową Polaków i wspiera markę Polski na świecie

Kiedy Polska po długim okresie rozbiorów powróciła na mapę Europy, aż 8 mln jej obywateli pozostawało poza granicami kraju, blisko jedna czwarta wszystkich żyjących wówczas Polaków. Emigranci włączyli się w odbudowę polskiej państwowości, przekazując pieniądze przez znajomych wybierających się do kraju. W 1929 r., kiedy na nowojorskiej giełdzie gwałtownie spadły ceny praktycznie wszystkich akcji, pociągając za sobą łańcuch bankructw i zadłużenia, prawie wszystkie kraje na świecie dotknął wielki kryzys.

Ministerstwo Skarbu odrodzonej Polski ruszyło wtedy na ratunek swoim obywatelom, którzy chcieli pomóc rodzinom w kraju oraz szukali dobrego zabezpieczenia dla swoich oszczędności. Powołano Bank Polską Kasę Opieki Spółkę Akcyjną, na którego czele stanął były żołnierz Legionów Henryk Gruber. Bank był dla niego misją nie tylko na polu biznesu i finansów. Za jego pośrednictwem chciał budować markę Polski na świecie. W swoich notatkach zapisał: „Fałszywe wieści, tendencyjne artykuły, złośliwe wywiady i plotki skierowane przeciwko Polsce przewijały się przez łamy różnojęzycznej prasy. Zatrute ich ostrze było dotkliwe i nasuwało ideę reformy dotychczasowego systemu i stworzenia niezależnej komórki, głoszącej prawdę o Polsce".

Miały to zmienić nie tylko stworzony przez niego Polski Instytut Współpracy z Zagranicą, lecz także sieć zagranicznych placówek Banku Pekao. Oddziały we Francji, Palestynie, Argentynie i Stanach Zjednoczonych pełniły ważne funkcje społeczne i kulturowe. Były ośrodkami polskości, które inicjowały i podtrzymywały życie polskiej diaspory, a przede wszystkim budowały nowoczesny patriotyzm oparty na myśleniu o silnej gospodarce kraju.

Zagraniczne oddziały banku wspierały młode polskie inicjatywy biznesowe. W 1933 r. oddział argentyński udzielił pożyczki hipotecznej Spółce Kolonizacyjnej „Vistula". Pożyczka ta umożliwiła ocalenie tego przedsiębiorstwa. Rok później Oddział Palestyński zaprezentował się na Targach Lewantyńskich z własnym stoiskiem, gdzie prezentowano wyroby krajowe i bogactwa naturalne Polski. W Paryżu bank kupił upadającą księgarnię Gebethner i Wolff – Księgarnia Polska – i założył bibliotekę oświatową w Domu Polskim, a w Lens i Freyming-Merlebach – czytelnię. Czytelnia powstała również w Buenos Aires.

Jednym z najważniejszych elementów misji Banku Polskiej Kasy Opieki było promowanie oszczędzania pieniędzy. Służyły temu obchody Międzynarodowego Dnia Oszczędności, często urządzane jednocześnie z Narodowym Świętem Niepodległości. Tylko w 1937 r. w obchodach na terenie Francji wzięło udział ponad 50 tys. Polaków! Już rok później z satysfakcją odnotowano, że „społeczeństwo wychodźcze organizuje samorzutnie takie obchody, dowodząc tym, że idea oszczędności została należycie zrozumiana i że przynosi ona korzyści szerokim masom emigracji".

Również współcześnie Bank Pekao SA dba o bezpieczeństwo finansowe Polaków. Wartości i idee, które przyświecały Polakom ponad 100 lat temu, wielokrotnie przypominał prezydent Lech Kaczyński, wielki propagator idei patriotyzmu gospodarczego. Podczas sejmowego orędzia, wygłoszonego 22 maja 2009 r. mówił, że „nieskrępowany żadnymi regułami rynek nie jest odpowiedzią na wszystkie problemy. Solidarność, spoistość tkanki społecznej jest dla rozwoju gospodarczego równie niezbędna jak konkurencja w mnożeniu zysków i indywidualne ambicje. Wolność i solidarność powinny się nawzajem wspierać. Siła gospodarki bierze się z ludzkiej pracy. To ona prowadzi do dobrobytu i powiększania narodowego majątku".

Fundamentem współczesnego patriotyzmu gospodarczego jest państwo, które aby skutecznie realizować swoje zadania wobec obywateli, musi zachować kontrolę nad strategicznymi gałęziami gospodarczymi, takimi jak choćby sektor energetyczny czy finansowy. Istotnym elementem tego ostatniego jest Bank Pekao SA, drugi największy bank uniwersalny w Polsce z ponad 240 mld zł aktywów, z którego usług korzysta dziś blisko 6 mln klientów. Na przestrzeni wielu lat swojego działania bank przeszedł ogromną transformację – pierwszy w Polsce udostępnił klientom bankomat, pierwszy wprowadził karty kredytowe, usługi biura maklerskiego, wdrożył także takie rozwiązania, jak założenie konta na selfie, bankową aplikację mobilną dla dzieci, pierwszy korzystał z biometrii i udostępnił możliwość weryfikacji tożsamości klientów e-dowodem.

Bank Pekao

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 2/1121/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

Sygnalista nadaje

Przebojem tygodnia była wypowiedź ***Adama Bodnara***, który odbierając w Getyndze nagrodę Dialog-Preis, powiedział: „Ale to [czyli fakt, że Polska inspirowała się Niemcami w czasie transformacji] powoduje – po stronie mentora – także szczególną odpowiedzialność. Jak w przypowieści z „Małego Księcia". Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić". Od niemieckiej okupacji dzielą nas już co najmniej trzy pokolenia, ale była ona tak straszna, że za jakąkolwiek niemiecką opiekę z góry dziękujemy.

Co ciekawe, w powieści Antoine'a de Saint-Exupéry nie pada słowo „zwierzątko". Chodzi m.in. o ten fragment, w którym Lis mówi tak: „Na razie jesteś dla mnie chłopcem podobnym do stu tysięcy innych chłopców. I wcale cię nie potrzebuję. Ty też mnie nie potrzebujesz. Jestem dla ciebie tylko lisem podobnym do stu tysięcy innych lisów. Jeżeli jednak mnie oswoisz, będziemy sobie wzajemnie potrzebni. Będziesz dla mnie jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie... – Zaczynam coś rozumieć – powiedział Mały Książę. – Jest taka róża... wydaje mi się, że mnie oswoiła...". Bodnar nie zrozumiał przesłania, chodzi o wzajemne zobowiązania, a nie o podległość jednej ze stron.

Prof. Bogdan Musiał ocenił sprawę tak: „Jedynym plusem całej sytuacji jest to, że Niemcy będą się tego wstydzić i nie będą chcieli rozpowszechniać tej wypowiedzi. Tak samo fatalna była ta wypowiedź Donalda Tuska skierowana do CDU – w Niemczech jej nie rozpowszechniano ani nie dyskutowano na ten temat. Zresztą sądziłem wówczas, że Donald Tusk osiągnął dno. Pomyliłem się, ponieważ Adam Bodnar go przeskoczył – o ile oczywiście można kogoś »przeskoczyć« w dół". Bodnar wielkiej kariery nie zrobi. Nie rozumie, że realnych intencji politycznych partii podległości ujawniać nie wolno.

Reżyser filmu „Śmierć Zygielbojma" Ryszard Brylski w czasie uroczystej premiery dzieła zaatakował obecnego na sali wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego. Zarzucił też Polskiej Fundacji Narodowej, która film współfinansowała, manipulowanie prawdą i chęć upolitycznienia filmu. Rzecz celnie podsumował fotograf Andrzej Hrehorowicz: „Kasę wziął, film zrobił. Na premierze wyszedł na scenę i zwymiotował na państwo polskie. Bohater salonu". Problem jest poważny: czy z tymi ludźmi warto w ogóle rozmawiać?

„Gazeta Wyborcza" twierdzi, że w sprawie kryzysu migracyjnego „Polacy znów, jak w czasie wojny, nic nie robią dla umierających ludzi". Przywołała słowa anonimowej „matki z Wrocławia": „W sprawie uchodźców na granicy widzę lustrzaną sytuację z tym, jak Polacy zachowywali się w czasie wojny. Za 40 lat znów jedni będą mówili, że nie wiedzieli, inni powiedzą: »przecież ratowaliśmy«. A tak naprawdę wszyscy siedzimy i patrzymy na tych umierających ludzi. Sytuacja się powtarza". Może „pani matka" powinna odwiedzić Pawiak, gmach na Szucha, Piaśnicę albo polski barak w Auschwitz? Może wtedy coś by zrozumiała? No i wciąż wraca pytanie: skąd ta zakłamana nienawiść do Polski?

Posłanka Polski 2050 Hanna Gil-Piątek o Marszu Niepodległości: „W zeszłym roku były podpalenia, także racami prywatnych mieszkań. I wtedy wypadało szkło z tłuczonych szyb, jak podczas »nocy kryształowej«. To nawiązanie do najgorszych czasów, jakie pamiętamy z historii". W sumie: „Faszystowskie okrzyki, symbole, które w Warszawie tak bardzo dotkniętej II wojną światową nigdy nie powinny się pojawić". Przykro nam, ale argumenty estetyczne i także historyczne opozycji umarły raz na zawsze jesienią zeszłego roku, gdy wsparła najbardziej wulgarną, wyjątkowo prymitywną i bolszewicką z ducha falę prote-

eprasa.pl 0bebdbdc49

stów proaborcyjnych spod znaku esesmańskiej błyskawicy.

Donald Tusk również nie lubi Marszu Niepodległości: „Ja uważam, że ci, którzy są organizatorami tego marszu – pan Bąkiewicz, jego ideowi pobratymcy i koledzy, oni tak naprawdę będą szli w marszu wstydu". Jak dodał, „myśli i pozytywne emocje wszystkich przyzwoitych Polek i Polaków będą przy pani Wandzie [Traczyk-Stawskiej] i innych bohaterach powstania warszawskiego, a nie przy tych ludziach, którzy na naszych oczach zmieniają polski patriotyzm na bardziej brutalną wersję polskiego nacjonalizmu". Tusk polskiego patriotyzmu definiować już nigdy nie będzie. Zbyt czytelne stały się jego realne motywacje i ośrodki lojalności.

Donald Tusk skarży się na listy pełne gróźb, które otrzymuje. I przekonuje, że w ostatnich miesiącach jest „niepokojąco więcej tego typu korespondencji". Kto jest temu winien? Lider PO nie zaskakuje: „Jarosławie Kaczyński, jesteś za to bezpośrednio odpowiedzialny – jako szef obozu władzy i jako wicepremier do spraw bezpieczeństwa. Jesteś odpowiedzialny za narastanie tej fali, za rosnący niepokój, rosnący strach". Tusk nikogo już nie nabierze. To on po 2005 r. uczynił z nienawiści metodę walki politycznej. Wilk w owczej skórze. Diabeł, który ubrał się w ornat i na mszę ogonem dzwoni.

Niemiecki dziennik „Tagesspiegel" uważa, że Komisja Europejska nie jest zainteresowana eskalacją konfliktu z Polską, i sugeruje, że to także efekt obrony wschodniej granicy Unii. „Najłatwiejszym sposobem rozwiązania konfliktu z Polską byłaby przegrana PiS w kolejnych wyborach i dojście do władzy sił proeuropejskich. PiS liczy, że zdobędzie swoje głosy, przedstawiając się jako ofiara niesprawiedliwej i nadmiernej ingerencji Brukseli" – ocenia dziennik. Już zdobywa te głosy, bo notowania partii rządzącej rzeczywiście wyglądają dobrze. Ale co racja, to racja: Polska rządzona przez obecną opozycję byłaby wyjątkowo łatwym łupem i dla Berlina, i dla Moskwy.

„Tagesspiegel" próbuje także rozgrywać Zjednoczoną Prawicę. Dziennik ocenia, że w PiS toczy się walka o wpływy i władzę, a także o to, kto zostanie następcą lidera partii Jarosława Kaczyńskiego. „Premier Morawiecki reprezentuje umiarkowane poglądy, z nim możliwy jest dialog. Z kolei minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro kalkuluje, że eskalacja z UE przyniesie mu korzyści w krajowej polityce. Tak więc nie leży w europejskim interesie umacnianie Ziobry przeciwko Morawieckiemu" – czytamy. Jedno jest jasne: w polskim interesie leży jedność Zjednoczonej Prawicy.

Fot. Andrzej Skwarczyński, M.Czutko, Andrzej Wiktor

Inny niemiecki dziennik, „Frankfurter Allgemeine Zeitung", pochyla się nad budową Centralnego Portu Komunikacyjnego. „Projekt mógłby być konkurentem dla lotnisk we wschodnich i środkowych Niemczech. Jedno z połączeń kolejowych ma kursować między lotniskiem a Frankfurtem nad Odrą, co mogłoby skrócić czas podróży między Berlinem a Warszawą prawie o połowę". W ocenie „FAZ" na nowe lotnisko można by szybciej dojechać pociągiem z Berlina niż do Frankfurtu, a w przeciwieństwie do lotniska w Berlinie polski port lotniczy będzie oferował także wiele połączeń międzykontynentalnych. Czytamy też, że niemieckie spółki lotnicze „monitorują" sytuację. Czy w tym kontekście zmiana rządu w Warszawie nie jest rzeczywiście sprawą pilną?

W piątek 29 października, w samo południe, w Warszawie zawyły syreny. W ten sposób ***Rafał Trzaskowski*** ratował świat przed ociepleniem klimatu. „Musimy działać. Wszyscy. Bo nie ma chwili do stracenia" – tłumaczy prezydent stolicy. W dołączonym do tweeta filmiku przekonuje: „Kryzys klimatyczny to nie tylko teoria. To udowodniony naukowo fakt. I śmiertelne zagrożenie. Dlatego czas włączyć alarm dla klimatu". Prezydentura Trzaskowskiego powoli rdzewieje. Coraz jaśniej widać brak konkretów, pomysłów, energii, wszechobecny banał. Czy ta wydmuszka upadnie równie spektakularnie, jak upadł Komorowski? To już wyobrażalne.

Roman Giertych zarzucił posłom Lewicy, że głosowali wraz z PiS za podniesieniem podatków, co jest zarzutem nieprawdziwym. Czarzasty odpowiedział tak: „Roman. Jako wicepremier u Kaczyńskiego dobrze wiesz że to głosowanie jest wynikiem nieobecności posłów PO. Nawet będą za to ukarani. Po co robisz z siebie głupka? Współpracy z Jarosławem Kaczyńskim nie zmyjesz, a możesz doprowadzić do tego, że przestanę Cię lubić. A lubię platformianych lizusków". To nieprawda, Giertych już się nie podlizuje PO, on nią współkieruje – poprzez Tuska. Wiedzą o tym wszyscy poza wyborcami Platformy.

Marek Sekielski, brat Tomasza Sekielskiego, w rozmowie z „DGP" podzielił się wstrząsającymi wyznaniami na temat swojej pracy w „Faktach" TVN, gdy szefem programu był Kamil Durczok. „Wódą się odcinałem. Wódą, która tak naprawdę jest depresantem, wbija w jeszcze niższe poczucie własnej wartości". W końcu zaznaczył, że nie chce rozmawiać o Durczoku, tylko przekazać pewną ogólną myśl. „Praca z kimś, kto jest tyranem, kto jest, mówiąc wprost, zje...m, jest po prostu nie do wytrzymania. Jest czymś strasznym!" – podkreślił. Cóż, kolejne antypisowskie spazmy pana Kamila – to już widać – nie przywrócą na salony. Powinien dać sobie spokój.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Ojcowie podległości

KRZYSZTOF FEUSETTE

My, zarząd komisaryczny Republiki Federalnej Europy, wychodząc naprzeciw słusznej idei nowego wspaniałego Starego Kontynentu, zmierzającej do pozbawienia państw UE ich państwowości, a także uwzględniając pożyteczne postulaty zniwelowania wszelkich różnic między narodami, kulturami i ludźmi, pragniemy nadać Polakom – z okazji ich tradycyjnego Święta Niepodległości – manifest nowej wspaniałej polskości. Będzie to polskość unijnoeuropejska, a więc wyłącznie pozytywna. Taka, w której nie ma miejsca na bezsensowną pamięć czy żmudną refleksję, ale przede wszystkim – na słowo „nie", nawet jeśli miałoby ono być jedynie przedrostkiem przed pięknym i niezasłużenie zapomnianym słowem „podległość". Składamy zatem hołd ojcom polskiej podległości z drugiej dekady XXI w. Wykujmy ich myśli, złote jak gwiazdki na granatowej jak policja fladze – w naszej zbiorowej, unijnej pamięci. Wszystkie cytaty są autentyczne.

Radosław Sikorski (były minister spraw zagranicznych, Platforma Obywatelska), 28.11.2011: „Prawdopodobnie będę pierwszym ministrem spraw zagranicznych, który tak mówi, ale to powiem: mniej się obawiam niemieckiej siły, niż zaczynam bać się niemieckiej bezczynności. [...]. Jako Polak i Europejczyk, mówię tu, w Berlinie: czas na działanie jest teraz!".

Deutsche Welle, 29.11.2011: „Przemówienie Sikorskiego pt. »Polska i przyszłość Europy« na forum Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej odstawało od standardowych wystąpień zagranicznych polityków w Berlinie. Pozbawione dyplomatycznych deklaracji obfitowało natomiast w propozycje reform i wezwanie Niemców do aktywniejszego przejęcia odpowiedzialności za los Europy".

Marcin Bosacki (jako rzecznik MSZ, PO), 29.11.2011: „Było w najlepszym polskim interesie, aby ten głos zabrzmiał bardzo wyraźnie w obecności szefa niemieckiej dyplomacji i dwóch byłych prezydentów Niemiec oraz dużej części niemieckiej i europejskiej elity".

Kai Olaf Lang (niemiecki politolog), 29.11.2011: „Sikorski przypomina Niemcom o ich odpowiedzialności w Europie oraz starych, niemieckich cnotach".

Jerzy Stuhr (polski aktor), 27.10.2012: „Jak się mnie pani pyta, jak się czuję jako Polak za granicą, to powolutku już mówię żonie na ulicy: »Tylko nie za głośno po polsku«".

Maciej Stuhr (jego syn), 15.11.2012: „Nigdy nie mówimy o sobie źle. Przywiązywaliśmy dzieci pod Cedynią jako tarcze i to jest super. To jest najlepsze, co Polskę spotkało. Nigdy nie ma spojrzenia na naszą historię z punktu widzenia, że zastanówmy się, bo to nie było dobrze".

Maciej Stuhr, dwa dni później: „Ta okropna, kuriozalna wpadka nie zmienia w niczym sensu mojej wypowiedzi. Ja jako rodzic zawsze, gdy słyszę tę historię, to czuję sprzeciw. I tak, tak, dziękuję wszystkim za czujność i poprawienie najgorszego lapsusu. Oczywiście Polacy nie przywiązywali dzieci. Oni do nich strzelali!".

Agnieszka Holland (reżyser), 27.12.2013: „Mieszkam i pracuję poza Polską. Kiedy przyjeżdżam, uderza mnie fala niedobrego powietrza, coś takiego, jakby w zamkniętym pomieszczeniu ktoś bez przerwy puszczał bąki".

Borys Budka (były lider PO), 24.08.2017: „Unia Europejska musi postawić Polsce ultimatum. Tylko wtedy, kiedy Unia pozostanie nieustępliwa, rząd pójdzie na ustępstwa".

Szymon Hołownia (lider partii Polska 2050), 21.03.2020: „Tak mądrego orędzia, tak mądrego przywódcy, tak poukładanego, tak życiowego, tak konkretnego i tak wyważonego, jak to 12-minutowe orędzie Angeli Merkel – to jest ta klasa przywództwa, o które chodzi i za którym też tęsknię".

Róża Gräfin von Thun und Hohenstein (z d. Woźniakowska, europosłanka PO), 10.09.2020: „Przekop Mierzei Wiślanej to zagrożenie dla Bałtyku! Komisarz Sinkevicius potwierdził, że Komisja Europejska traktuje sprawę poważnie. Są zawiedzeni faktem, że prace ruszyły. Komisarz zapowiedział, że jeżeli sytuacja nie ulegnie zmianie, to w przyszłym miesiącu przedstawi Kolegium Komisarzy wniosek ws. skierowania sprawy do Trybunału Sprawiedliwości UE".

Katarina Barley (była minister sprawiedliwości Niemiec, wiceszefowa Parlamentu Europejskiego), 1.10.2020: „Państwa takie jak Węgry i Polska trzeba finansowo zagłodzić".

Magdalena Adamowicz (europosłanka PO), sześć dni później: „Kiedyś Katarina Barley powinna dostać polskie odznaczenia".

Donald Tusk (były przewodniczący Rady Europejskiej, lider PO, do niemieckich polityków), 16.01.2021: „Wszyscy cenią waszą cierpliwość. Niemniej, broniąc naszych wspólnych wartości, zbliża się moment podjęcia trudnych decyzji. Jasne stanowisko z waszej strony będzie decydujące i jest bezcenne. Jestem pewien, że również i w tym wypadku nie zawiedziecie nas. Wasz sposób rządzenia był błogosławieństwem nie tylko dla Niemiec, ale także dla całej Europy".

Adam Bodnar (były rzecznik praw obywatelskich), 30.10.2021: „Polska kultura prawna i przemiany po 1989 r. zostały zainspirowane i były wspierane przez niemiecką myśl prawniczą. Ale to powoduje – po stronie mentora – także szczególną odpowiedzialność. Jak w przypowieści z »Małego Księcia«. Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić. Mam na myśli odpowiedzialność za to, aby rzetelnie, a tym samym także krytycznie oceniać sytuację w Polsce. Czy doświadczenia historyczne nie stały się po prostu wygodną wymówką?".

Bartosz Wieliński (zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", o słowach Bodnara), 2.11.2021: „Prorządowa propaganda reaguje jak pies Pawłowa. Słyszy słowo »Niemcy«, więc szczeka".

eprasa.pl 0bebdbdc49

Lęk przed porażką?

Teraz człowiek, który wezwał do wojny z PiS, narzeka na rozgrzane emocje Polaków

Donald Tusk ubolewający nad brutalizacją polskiej polityki jest tak samo wiarygodny, jak Donald Tusk, który mówi, że program Rodzina 500+ wymyśliła Ewa Kopacz, tylko nie zdążyła wyjąć go z szuflady.

W minionym tygodniu kilku polityków opozycji i dziennikarzy dostało listy, w których autor grozi adresatom śmiercią. Donald Tusk wykorzystał list do ataku na prezesa PiS, zarzucając mu, że odpowiada za narastającą w Polsce falę nienawiści. „Jarosławie Kaczyński, jesteś za to bezpośrednio odpowiedzialny – jako szef obozu władzy i jako wicepremier do spraw bezpieczeństwa" – oświadczył przewodniczący Platformy Obywatelskiej.

Dobrze, że w sprawie listu zareagował Zbigniew Ziobro i zapowiedział, że prokuratura podejmie odpowiednie kroki. Oczywiste jest, że nikt nigdy nikomu nie powinien grozić śmiercią. Można się z sobą nie zgadzać, spierać się, czasem kłócić, ale nie grozić sobie wzajemnie.

Jeśli więc ta groźba jest prawdziwa, prokuratura powinna wobec jej autora wyciągnąć konsekwencje. O ile jest prawdziwa i nie mamy do czynienia ze zwykłą prowokacją, czego wykluczyć nie można, bo towarzyszący jej zbieg okoliczności jest wprost nadzwyczajny. Urodziny Pawła Adamowicza, Dzień Zaduszny, pogróżki wysłane jednocześnie do kilku osób itp.

A przecież już w przeszłości Tusk powoływał się na korespondencję, która akurat w danej chwili była mu politycznie potrzebna. Tak było na przykład z listem od sześcioletniej Sophie. Dziewczynka napisała, że mieszka w Wielkiej Brytanii, nawiązała do brexitu i wysłała rysunek jednorożca. „Wiem, że opuszczamy Unię Europejską, ale sądzę, że powinniśmy zostać przyjaciółmi" – miała pisać do szefa Rady Europejskiej dziewczynka. Podobno mała Brytyjka poprosiła też Tuska o przesłanie podpisanego przez niego zdjęcia do jej książki o Europie. Tusk prośbę spełnił i odpisał: „Zawsze będziemy przyjaciółmi, Sophie". A historię opisał w mediach społecznościowych.

Teraz człowiek, który wezwał do wojny z PiS, narzeka na rozgrzane emocje Polaków. Od chwili powrotu do kraju Tusk wydaje się mieć tylko jeden cel: doprowadzić społeczeństwo do wrzenia i obalić rząd. I to jak najszybciej. Już na początku dał sygnał do ataku na politycznych przeciwników. Podział polityczny sprowadził do rywalizacji dobra ze złem, do walki przyzwoitości z jej brakiem. Oczywiście po stronie zła postawił partię rządzącą i jej wyborców. „Trzeba zacząć od pierwszego przykazania: jak widzisz zło, walcz z nim i nie pytaj o dodatkowe powody – mówił Tusk 3 lipca podczas Rady Krajowej PO. – Wychodzimy na pole, żeby się bić z tym złem. I że to jest wystarczający powód, nie wymaga żadnego uzasadnienia" – dodawał.

Na skutki tych słów nie trzeba było długo czekać. Okazało się, że można wzywać do piłowania katolików (po tym padł spiłowany jeden krzyż), okazało się, że posła można nazwać szmatą, marszałek Sejmu może być traktowana jak zbrodniarz, żołnierzy wolno nazwać śmieciami i watahą psów, Straż Graniczną można porównywać do SS. A to tylko wydarzenia ostatnich tygodni. Nie wspomnę już Janusza Palikota, przemysłu pogardy, dorzynania watah, pisowskiej szarańczy itp. A kto popierał wulgaryzm w postaci ośmiu gwiazdek skierowany pod adresem partii rządzącej? Borys Budka miał nawet urodzinowe świeczki na torcie ułożone w ten wzór. Kto popierał wulgarne hasła wykrzykiwane na ulicach Warszawy? Kto twierdził, że nie należy używać pandemii do celów politycznych, i jednocześnie używał pandemii do celów politycznych?

Może szef Platformy potrzebuje podgrzewać emocje, bo na nic więcej go nie stać i obawia się wyborczej porażki. W ostatniej rozmowie z portalem Onet.pl Tusk już zaczął straszyć wyborczymi fałszerstwami: „Jeśli chodzi o intencje PiS, to oczywiście nie będą [wybory – przyp. D.Ł.] uczciwe". Ale i tu pojawiła się groźba pod adresem prezesa PiS: „Jeśli Kaczyński mentalnie nie jest gotowy odejść po przegranych wyborach, to go do tego zmusimy. Znajdziemy sposoby, aby to wyegzekwować" – zapowiedział Tusk, który najwyraźniej ma gęsią skórkę na myśl o wyborach.

Dorota Łosiewicz

Strach przed chłodem

Fot. Shutterstock

Według wyliczeń 4,5 mln Brytyjczyków dotkniętych wysokimi cenami paliw popada w ubóstwo energetyczne i może się jedynie modlić, aby nadchodząca zima była stosunkowo łagodna. Jak w takich warunkach wprowadzać kolejne zielone łady?

Podczas pandemii i zeszłorocznych lockdownów znacząco wzrosło w Wielkiej Brytanii zużycie prądu, co spowodowało, że mniejsi dostawcy energii zdecydowali się powalczyć o konsumentów, obniżając im ceny. Specyficzny rynek brytyjski jest mocno podzielony między kilkadziesiąt konkurujących z sobą firm. Część z nich ma niskie marże, co jest opłacalne, dopóki ceny gazu ziemnego i prądu są racjonalne. Jednak po ostatnich światowych podwyżkach i nowych wytycznych polityki klimatycznej dotychczasowa strategia brytyjskich dostawców energii wpakowała ich w ogromne kłopoty.

Już we wrześniu upadły firmy Avro Energy oraz Green, które zaopatrywały w energię ponad 800 tys. konsumentów. Obok nich zbankrutowało jeszcze kilku mniejszych dostawców. Media spekulują, że tej zimy dołączą do nich kolejni. Mówi się, że po wstrząsie cenowym na rynku przetrwa ich najwyżej dziesięciu. Do tego dochodzi inny problem. Kraje europejskie zwykle magazynują gaz, co pozwala im przetrwać zimą kilkanaście dni bez nowych dostaw. Jednak Brytyjczycy zamknęli ostatni skład paliwa w 2017 r. Ze względów oszczędnościowych. Szacuje się więc, że Wielka Brytania może przetrwać bez dostaw tylko pięć dni.

Rządowy regulator Office of Gas and Electricity Markets (Ofgem) kieruje klientów upadłych firm do pozostałych na rynku. Klienci muszą płacić im wyższe kwoty i nie mogą liczyć na żadną rekompensatę. Rząd Borisa Johnsona wciąż traktuje tę kwestię w duchu thatcheryzmu. We wrześniu odpowiedzialny za sektor energetyczny minister Kwasi Kwarteng zapewniał, że rząd szykuje jakąś formę pomocy publicznej, ale zaznaczył, że nie będzie ona podobna do tej z krajów Unii Europejskiej. Tymczasem już teraz 4 mln domostw w Wielkiej Brytanii żyje na granicy ubóstwa energetycznego. Według End Fuel Poverty Coalition do tych 4 mln w szybkim czasie może dołączyć kolejne 0,5 mln.

Premier Boris Johnson nie zmienia swojej polityki i nadal zakłada, że do 2035 r. energia elektryczna w Wielkiej Brytanii będzie pochodzić w 100 proc. ze źródeł odnawialnych i atomu. Natomiast do 2050 r., co podkreślano na szczycie klimatycznym w Glasgow, emisja dwutlenku węgla ma na Wyspach spaść do zera. Nikt nie ukrywa, że odbędzie się to kosztem dalszych podwyżek. Jak wytrzymają to Brytyjczycy, którzy już teraz popadają w ubóstwo energetyczne?

Łukasz Adamski

Powrót junty

Dwa lata po tym, jak w 2019 r. został obalony w wyniku masowych protestów dyktator Umar al-Baszir, w Sudanie znów rządzi junta wojskowa. Na początku minionego tygodnia stojący na czele sudańskich sił zbrojnych generał pułkownik Abdel Fattah al-Burhan (na zdj.) ogłosił powstanie „nowego Sudanu". Wcześniej zaś aresztował premiera Abdallę Hamdoka i jego ministrów kierujących od dwóch lat rządem na podstawie porozumienia o wspólnych cywilno-wojskowych rządach, które miały doprowadzić kraj do demokratycznych wyborów. Na wieść o wojskowym zamachu stanu na ulice stolicy Sudanu Chartumu i innych miast wylegli demonstranci, do których patrole wojskowe otworzyły ogień, zabijając co najmniej siedem osób i raniąc nie mniej niż 140.

Wojskowy zamach stanu w Sudanie jest, jak uważają obserwatorzy, efektem narastających sprzeczności między armią a cywilnymi politykami. Pucz jest też bolesną porażką „modelowej", jak uważano, transformacji kraju od wojskowej dyktatury do demokratycznych rządów cywilnych. Stany Zjednoczone, wspierając demokratyczne zmiany, nie tylko wykreśliły Sudan z listy krajów wspierających terroryzm, lecz również wsparły program pomocowy dla Sudanu o szacowanej wartości 50 mld dol. W ostatnich dniach Biały Dom w obliczu wydarzeń zawiesił wartą 700 mln dol. kolejną transzę pomocy. Specjalny wysłannik amerykański Jeffrey Feltman, który prowadził między zwaśnionymi stronami „rozmowy ostatniej szansy", już po zamachu stanu oświadczył, że co prawda w jego opinii wojskowi „uprowadzili" demokratyczną rewolucję w Sudanie, ale gdyby chcieli się wycofać z obranego kursu, to nadal istnieje możliwość kontynuowania wspólnych cywilno-wojskowych rządów. Na razie nie ma jednak sygnałów, aby wojskowi, którym udało się w ostatnich tygodniach zasypać podziały we własnym środowisku, chcieli zmiany swojej polityki.

W reakcji na zamach Unia Afrykańska zawiesiła Sudan w prawach członka. Może to negatywnie wpłynąć na trudne rozmowy w sprawie przyszłości etiopskiej Tamy Wielkiego Odrodzenia na Nilu, toczone między Egiptem, Sudanem a Etiopią pod egidą tej organizacji. Kontrowersje związane z polityką wodną Addis Abeby i związane z tym ryzyko suszy i niedoborów żywności w dolnym biegu rzeki doprowadziły trzy kraje na skraj konfliktu zbrojnego. Rozmów nie ułatwia też wojna domowa w Etiopii. Sytuacja w Rogu Afryki destabilizuje się w przyspieszonym tempie i, jak można przypuszczać, to nie koniec wstrząsów.

Marek Budzisz

Fot. www.kremlin.ru

eprasa.pl 0bebdbdc49

Chiny

Efekt Sputnika

Przeprowadzony jeszcze w sierpniu, a ujawniony przez Amerykanów dopiero w październiku test nowego chińskiego pocisku hipersonicznego może – zdaniem ekspertów – stać się początkiem nowego wyścigu zbrojeń, porównywalnego z tym, jaki nastąpił po wystrzeleniu przez ZSRR w 1957 r. pierwszego sztucznego satelity na orbitę wokółziemską. Tym razem jednak głównych rywali jest aż trzech, bo do Rosji dysponującej już – według oficjalnych komunikatów – pierwszymi pociskami tego rodzaju, oraz Stanów Zjednoczonych, które także prowadzą badania nad bronią hipersoniczną, dołączają właśnie Chiny. Inne państwa pracujące nad takimi pociskami, np. Indie czy Japonia, nie odgrywają, przynajmniej na razie, istotnej roli w tym wyścigu.

Na broń hipersoniczną – najprościej rzecz ujmując – składają się pociski bojowe (np. z głowicą jądrową) poruszające się do celu z ogromną prędkością (ponad 6 tys. km/h) lotem ślizgowym i manewrujące na niewielkim pułapie, a przez to znacznie trudniejsze do wykrycia i zniszczenia niż klasyczne rakiety balistyczne charakteryzujące się stałym torem lotu. Z powodu swoich szybowcowych charakterystyk pociski hipersoniczne są wystrzeliwane z pokładów okrętów, samolotów lub rakiet orbitalnych. Chińczycy podczas tegorocznego testu użyli rakiety Długi Marsz, która wyniosła pocisk na orbitę, a ten, okrążając Ziemię, „ześlizgnął się" z ogromną prędkością w dół, uderzając 30–35 km od zamierzonego celu.

Ten test – jak twierdzą amerykańskie media – „zszokował" obserwatorów. I nie chodziło tu nawet o użytą przez Chińczyków technologię, która jest rozwijana na świecie już od 50 lat, lecz o fakt, że dzięki tego rodzaju pociskom będzie znacznie łatwiej zaatakować Stany Zjednoczone od ich miękkiego podbrzusza, czyli od niechronionego tarczą antyrakietową południa. Nie dotyczy to zresztą tylko chińskiej broni, bo również Rosjanie odgrażali się niedawno Amerykanom, że ich najnowsze pociski mogą nadlecieć z dowolnego kierunku.

Wielu ekspertów uważa, że rozpowszechnienie rosyjskiej i chińskiej broni hipersonicznej to kwestia najbliższych kilku lat. A to oznacza, że Stany Zjednoczone muszą – o ile chcą utrzymać przewagę strategiczną nad rywalami – jak najszybciej zaangażować się w nowy, kosztowny wyścig zbrojeń. Z drugiej jednak strony zwraca się uwagę, że obaj rywale Ameryki nie dysponują żadną tarczą antyrakietową, a zatem w odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych są znacznie bardziej wrażliwi na klasyczne uderzenia rakietowe. Ameryka nie stoi więc na straconej pozycji, bo choć będzie bardziej niż dotąd narażona na atak, to nawet bez pocisków hipersonicznych pozostanie zdolna do udzielenia skutecznej odpowiedzi.

Konrad Kołodziejski

Fot. A.Axander.wikipedia

Boliwia

Rzecznik kontra arcybiskup

27 października siedziba Konferencji Episkopatu Boliwii w La Paz stała się celem ataku grupy demonstrantów z bluźnierczymi i proaborcyjnymi transparentami, którzy wymalowali na budynku obraźliwe graffiti. Na czele agresywnej ekipy stała osobiście boliwijska rzecznik praw obywatela Nadia Cruz oraz pracownicy jej biura. Cztery dni później kilka feministek z radykalnej organizacji Mujeres Creando obrzuciło katedrę w Santa Cruz de la Sierra czerwoną farbą i przerwało mszę celebrowaną przez abp. Sergio Gualberta, wznosząc antykościelne okrzyki.

Obie akcje związane były z osobą 11-letniej dziewczynki, gwałconej wielokrotnie przez swojego 61-letniego dziadka. Przestępstwo zostało wykryte, mężczyzna trafił do więzienia, ale okazało się, że jego wnuczka jest w ciąży. Przedstawiciele lobby aborcyjnego, w tym także wspomniana Nadia Cruz, zaczęli naciskać na dokonanie aborcji, jednak dziewczynka i jej matka stanowczo odmówiły, deklarując wolę urodzenia i zaopiekowania się dzieckiem. Ponieważ obie były nękane przez natrętnych urzędników i aktywistów, zdecydowały się przyjąć pomoc arcybiskupa archidiecezji Santa Cruz de la Sierra, który udzielił im schronienia w domu samotnej matki.

Decyzja hierarchy wywołała istną furię zwolenników aborcji. Nadia Cruz zapowiedziała, że złoży pozew do sądu przeciw arcybiskupowi, lekarzom, pielęgniarkom, członkom organizacji pozarządowych pro-life, pracownikom domu opieki oraz matce dziewczynki, oskarżając ich m.in. o współudział w handlu ludźmi i torturach. Domaga się dla nich od 15 do 20 lat więzienia.

Ze swej strony przedstawiciel archidiecezji odpowiedział, że jedyną „zbrodnią", jaką popełnił lokalny Kościół, jest zaoferowanie pomocy materialnej, medycznej, psychologicznej i edukacyjnej osobom, które o to poprosiły. Dodał, że uszanowana została wola dziewczynki i jej matki, które opowiadają się za urodzeniem dziecka. W tej sytuacji w świetle prawa przestępstwem byłoby zmuszanie do dokonania aborcji. A tego właśnie chce rzecznik praw obywatela.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 0bebdbdc49

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

W poszukiwaniu straconego elektoratu

Jan Pietrzak

W poszukiwaniu popularności dla swej więdnącej partyjki świeżo wybrany przewodniczący Tusk ima się różnych sposobów. A to odgrywa katolika, a to tęczowego postępaka, a to Niemca, a to Polaka. Nie krępują go wykluczające się poglądy. Jemu gancegal, czyli wsio rawno. Frankfurcka szkoła filozofii, moskiewska kuźnia dialektyki. Byle tylko namieszać, wsadzić kij w mrowisko, wywrzeć wrażenie na Nitrasie i ggggaaazecie!

Z upływem tygodni i miesięcy nie nadchodzi jednak pożądany skutek, czyli przyrost ciemnej masy, co pokazują sondaże zabetonowane na 20 proc. Jeżeli media bardziej upowszechnią jego wiernopoddańczą mowę kierowaną do CDU, ma szansę utracić kilka kolejnych punktów. Zademonstrował lizusostwo tak obrzydliwe, że chce się rzygać. Ludzie zadają sobie pytanie, co ten gość między nami robi? Nawet niektórzy peowcy kręcą nosami z powodu pruskiego fetoru. Może ktoś z tego grona się zastanowi, czy nie zabrnął zbyt daleko w antypolskim szaleństwie? Może przypomni sobie, skąd się wzięło hasło „ulica i zagranica" jako jedyny program działania? Z nędzy umysłowej, z bezradności ideowej? Jeżeli do dnia dzisiejszego, po tylu porażkach wyborczych, nie są nieboraki w stanie sformułować żadnego pozytywnego programu dla Polski... oznacza to, że już nigdy go nie stworzą.

Mieli nadzieję, że powrót Tuska z brukselskiej misji, na „białym koniu" doda im wiatru w żagle. Szybko się wydało, że koń jest starą chabetą, misją były lokajskie usługi dla odchodzącej kanclerzycy/kanclerki (?), żagiel jest dziurawą szmatą... itd. Ale, niestety, szkodzić nam mogą. To jest ich główny cel. Tworzenie wokół Polski zamętu, sprawianie wrażenia niesprawności władzy, natrętne podjudzanie przy pomocy ulicznic miejscowych i zagranicznych... Musi im się bardzo spieszyć, bo sięgają po coraz głupsze pomysły.

Ostatnio pokazano nam Tuska użalającego się nad sobą z powodu postu z hejtem. Zamiast wypłakać się przed teściową, skarżył się do kamery, podłączając z wdziękiem zabójstwo Adamowicza i przywołując nienawiść rozsiewaną jakoby przez oponentów. Przyznaję ze skruchą, że użyłem okrzyku zasłyszanego na wiecu jego zwolenników. Na szczęście wnuków obok nie było.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Elektryfikacja

Dominik Zdort

Komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja – miał stwierdzić Lenin. Dziś komunizm to przywileje dla gejów plus elektryfikacja. O ideologiach totalitarnych pisze się wiele, rzadziej o elektryfikacji. Dla Sowietów elektryfikacja oznaczała rozwój zapóźnionego technologicznie państwa, za czym miało pójść podwyższenie poziomu życia społeczeństwa, co pozwoliłoby władzy radzieckiej na swobodne realizowanie swojej oszalałej ideologii.

Dziś elektryfikacja to immanentna część politpoprawności. Wszystko ma być elektryczne, bo inaczej Greta Thunberg się popłacze. A taka sytuacja nie tylko nie sprzyja zamożności obywateli. Elektryczne samochody są drogie, ładują się długo, a po jednym „nabiciu" baterii można sobie najwyżej pojeździć trochę po mieście, bo nie starcza ono na wiele kilometrów. Trudno byłoby znaleźć amatora na takie auto, rządy więc dopłacają.

Jak wiadomo, „nie ma darmowych obiadów", więc owa dopłata pochodzi z pieniędzy, które rząd od nas pobiera. Samochód elektryczny nadal jest nieopłacalnym gadżetem, tyle że tę jego cechę władze państw przed nami starają się ukrywać.

Można tu dorzucić jeszcze fakt, że elektryczność wykorzystywana przez samochody nie bierze się znikąd. Gdzieś ją trzeba wyprodukować, co w sytuacji wielu krajów oznacza zwiększone spalanie węgla.

Ale skupmy się na państwach, które teoretycznie rezygnują z elektrowni węglowych. Teoretycznie, bo np. Niemcy otworzyły niedawno nową elektrownię (Datteln 4, w czerwcu roku 2020) i raz po raz muszą wznawiać pracę już „wygaszonych" siłowni (m.in. Heyden, zamknięta w styczniu roku 2021).

Otóż w przypadku elektrowni wiatrowych i słonecznych sytuacja jest podobna jak z samochodami. Ich tworzenie byłoby właściwie nieopłacalne, eksploatacja (biorąc pod uwagę częste usterki paneli) tak kosztowna, że działalność tego rodzaju „placówek" by się właścicielom zwracała po kilku dekadach (jeśli w ogóle), gdyby nie... no właśnie, znów to samo, dopłaty rządowe – z naszych podatków.

Nie wykluczam, że kiedyś wszystko, co napisałem, będzie nieaktualne. Panele fotowoltaiczne i wiatraki będą tańsze i bardziej efektywne, a elektrycznym samochodem da się dojechać z Warszawy do Poznania i z powrotem, ładując potem baterie przez kwadrans. Ale na razie mamy do czynienia z nową wersją komunizmu: ustroju, nieumiejącego rozwiązać problemu, który sam tworzy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 0bebdbdc49

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zmarli, czyli granice racjonalności

Dzień Wszystkich Świętych skłania do zastanowienia. Z jednej strony dowodzi trwałości tradycji nawet w środowiskach, które ją kwestionują lub wręcz odrzucają. Mało kto w Polsce ignoruje to święto także pośród ludzi deklarujących ateizm. Czujemy się związani ze swoimi zmarłymi i chcemy demonstrować to wraz z całą zbiorowością, nawet gdy oficjalnie dystansujemy się od niej i akcentujemy swój indywidualizm. Cmentarze wypełniają się w ten właśnie dzień. Na ile jednak jest to jedynie relikt ongiś żywej tradycji, zanikający stopniowo tak jak inne obyczaje, które po obumarciu religijnych korzeni trwają czas jakiś coraz bardziej wątłe, beznadziejne, a nawet absurdalne?

Nasze cmentarze nie wskazują na to, co może sygnalizować nie zawsze świadomą siebie żywotność polskiego katolicyzmu, ale nie mamy wystarczającego dystansu, aby móc wyrokować o przyszłości. Fakt, że Wszystkich Świętych nazywamy Świętem Zmarłych, odsłania religijną konfuzję. To pierwsze odsyła do wiary w „świętych obcowanie", odwołuje do zbawienia jako przeznaczenia chrześcijan i celebruje tych, którym udało się je osiągnąć. Obchodzone dnia następnego Święto Zmarłych, czyli Zaduszki, poświęcone jest nieżyjącym, z których, jak się domyślamy, większość nie trafiła jeszcze do nieba i pokutuje w czyśćcu. Utożsamianie z sobą obu tych uroczystości świadczy o zatracaniu przez nas świadomości religijnej, co budzić może niepokój o przyszłość polskiego katolicyzmu.

Cześć dla zmarłych nie przynależy wyłącznie do katolicyzmu, choć z nim jako religią zmartwychwstania związana jest szczególnie. Ta postawa rodzi się wraz z ludzkością i kulturą. Najstarsze jej pozostałości sprzed ponad 100 tys. lat to groby właśnie. Toteż człowiek jako gatunek myślący w momencie swoich narodzin objawia się wedle kategorii współczesnych jako byt paradoksalnie nieracjonalny. Zgodnie z naszymi dzisiejszymi mniemaniami bardziej racjonalnie zachowują się zwierzęta, które zjadają swoich padłych pobratymców i generalnie nie przejmują się ich zwłokami. Kanibalizm trafiał się i wśród ludzi, ale albo w cywilizacjach pierwotnych dotyczył „innych", którzy nie byli uważani za bliźnich, albo miał charter rytualny i sytuował się na antypodach spożywczego utylitaryzmu. Dwudziestowieczne praktyki wykorzystywania zwłok jako surowca stanowią dziś wyłącznie negatywny punkt odniesienia. Zresztą naziści utylizowali w ten sposób wyłącznie ciała „podludzi", których w ten sposób do końca usiłowali obedrzeć z godności; wobec swoich zmarłych zachowywali się radykalnie inaczej.

Dlaczego jednak nie utylizować zwłok? Jeśli istnienie człowieka sprowadza się wyłącznie do jego ziemskiej egzystencji, to jaki sens ma celebrowanie jego szczątków? Dlaczego mamy szanować martwe pozostałości po człowieku, które z pewnością nie są z nim tożsame? Dlaczego nie wykorzystać ich dla dobra tych, którzy żyją? Racjonalnie nie sposób tego uzasadnić. Wiemy jednak, że szacunek dla człowieka, bez którego cywilizacja zmienia się w swoje zaprzeczenie, obok świętości jego życia oznaczać musi także respekt dla jego materialnych pozostałości. Przybiera on różne formy, ale akt pogrzebu: pochówku, kremacji czy innej ceremonii oznaczającej pożegnanie bliskiego, który udaje się na inny świat, jest fundamentem kultury, oswaja naszą skończoność i przygotowuje na śmierć.

Tak było dotąd. Ten stan rzeczy zmienia się jednak. Na Zachodzie, do którego mamy się upodobnić, śmierć relegowana jest z przestrzeni życia. Jak wszystkie dziedziny przejęta zostaje przez wyspecjalizowane instytucje, a dobrze funkcjonujące umieralnie wyręczają bliskich z dokuczliwych obowiązków i oczyszczają z wyrzutów sumienia. Pogrzeb staje się ostatnią formalnością, która winna przebiegać szybko oraz sprawnie i nie przeszkadzać żyjącym w ich zajęciach.

Przy takim podejściu już nie tylko Wszyscy Święci, lecz i Zaduszki stają się barbarzyńskim reliktem, który należy wyrzucić na śmietnik historii jako przejaw „tanatycznej nekrofilii", gdyż takimi to wyszukanymi terminami postępowcy stygmatyzują poważny stosunek do śmierci. Nie zastanawiają się, że ich własne, histeryczne na nią reakcje są symptomem zarówno niedojrzałości, jak i nerwicy.

Czy więc czeka nas era technologicznego barbarzyństwa, w którym ciała umierających ludzi traktowane będą wyłącznie jako rezerwuar części zastępczych dla żyjących?

1 listopada ciągle jeszcze stanowi w Polsce ważny akt celebracji funkcjonującej w czasie wspólnoty, która łączy umarłych, żywych i mających się dopiero narodzić. Chwilowo nawet nasi postępowcy cichną wobec jego powagi. Jak długo?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bebdbdc49

Walizka Tomasza Łysiaka

pisarza, dziennikarza, scenarzysty

Moja walizka to tak naprawdę... plecak „przetrwania", wykonany wedle starych XIX-wiecznych metod. Zabieram go zawsze z sobą, jeśli mogę: nie tylko na wyprawę do lasu czy w góry, lecz także wtedy, gdy znajdzie się na niego miejsce w samochodowym bagażniku, czyli prawie zawsze. Mam w nim wszystko to, co pozwala przetrwać we współczesnym świecie...

MAPA

Niezbędny element do nadania kierunku wędrówce życia. Ważne, by odpowiednio ją zorientować. Gdy kierunek wychylenia igły wewnętrznego kompasu jest odpowiednio ustawiony, zawsze dojdę tam, gdzie trzeba. Ostatnio pod Monte Cassino.

NOTESY

Notuję nałogowo. Zabieram więc z sobą kilka notesów i w podróży dokupuję kolejne.

PIÓRO

Piszę piórem. Zbieram nie tylko piękne pióra, lecz także atramenty, lubię różne kolory i szklane buteleczki. Kontakt ręki z piórem i papierem uważam za coś mistycznego i wyjątkowego. Nie przeszkadza mi to jednak korzystać z najnowszych technologii – iPad to znakomite narzędzie przydatne w pracy.

OŁÓWKI

Mamy ich dziesiątki. Przywozimy z muzeów i miejsc, które odwiedzamy. Tworzą wielobarwny zbiór. Lubię też notować ołówkiem.

ZDJĘCIE MOJEGO TATY OTOCZONEGO WNUKAMI

Na tej fotografii jest mój Tata, Waldemar Łysiak. Pater familias. Przy nim moi dwaj synowie – Tadek i Kazik – oraz dzieci mojej siostry Ani – Zosia, Staś i Jadzia.

eprasa.pl 0bebdbdc49

DON GIOVANNI. OPERA OPER

Muzyczne arcydzieło Mozarta, które samo w sobie jest dla mnie dowodem na istnienie Boga. Czyż kierowana jedynie siłą przypadku natura mogłaby doprowadzić do takiego wyrafinowanego efektu? Często w trakcie jazdy samochodem śpiewam komiczną „arię katalogową" Leporella.

KUCHENKA WOJSKOWA NA PASTYLKI

Ten model został wymyślony dla Wehrmachtu w czasie II wojny światowej, a do dzisiaj sprawdza się na całym świecie. Jest wielkości paczki papierosów, a po rozłożeniu i zapaleniu specjalnego paliwa można na niej ugotować wodę na herbatę.

SZWEDZKA SIEKIERA

Wykuwana w szwedzkich kuźniach przez szwedzkich kowali (każdy egzemplarz ma wybity w metalu znak, nazwisko i „podpis" jego wykonawcy) – służy mi do przedzierania się przez gęstwinę współczesności oraz do ociosania choinki przed świętami Bożego Narodzenia.

MAŁY NOŻYK Z PIŁSUDSKIM

Potrzebny na wypadek, gdybym nagle ujrzał przed sobą trzy łby pohańców czyhających na dobro Rzeczypospolitej. Scyzoryk malutki, ale za to znaczony wielkością naniesionego nań Marszałka. Czasem tylko, gdy słucham co niektórych, sam mi się w kieszeni otwiera.

O NAŚLADOWANIU CHRYSTUSA

Książka, z którą nigdy się nie rozstaję. Codzienna lektura. Przewodnik w najważniejszej podróży życia.

FILIŻANKI DO KAWY

Bez kawy nie funkcjonujemy. Uwielbiamy Italię, a tam na pierwszej lepszej stacji benzynowej podają znakomite espresso. Ale zabieramy z sobą zawsze dwie filiżanki z naszej kolekcji, na którą składają się tazzine z całych Włoch, często z kultowych, starych kawiarni. Kawa z porcelany smakuje najlepiej. Jeździmy też z własną kawiarką – tak na wszelki wypadek...

PRZEWODNIK PO WILNIE I KOLEJACH ŻELAZNYCH

Ten wydany w 1862 r. przewodnik po Wilnie A.H. Kirkora zawiera cenne wskazówki, przydatne w trakcie jazdy pociągiem – np. której klasy będą stacje mijane po drodze oraz ile rubli srebrnych wypłaci mi Towarzystwo, gdyby w trakcie jazdy ktoś ukradł futerał z kapeluszem żony w środku.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bebdbdc49

OGNIEM NA WPROST

W hołdzie polskim lotnikom

Rosyjski think tank Centrum Analiz i Technologii na swoim blogu podsumował zakup 250 czołgów typu Abrams przez władze RP. Czytelnicy w Rosji mogli się dowiedzieć, że zakup ten traktowany jest jako przeciwwaga dla powstających najnowszych tanków T 14 Armata. W całym tekście trudno się doszukać nieprzychylnych komentarzy i politycznych nawiązań. Jest to profesjonalne potraktowanie przezbrojenia czterech batalionów polskiej 18 Dywizji Zmechanizowanej na amerykańskie maszyny. Już trochę w innym tonie, co sugeruje sam tytuł: „Warszawa wzmacnia armię i przygotowuje się do marszu na Wschód", wypowiedział się inny branżowy tygodnik – „Wojenno-Promyszlennyj Kurier". Autor artykułu sugeruje, że zakup abramsów jest krokiem ofensywnym. Jeden z ekspertów pokusił się nawet w swojej analizie stanu Wojska Polskiego od czasów PRL do dziś, że nasz kraj pod względem parku pancernego jest w NATO potęgą dysponującą, jak mało kto na świecie, setkami czołgów podstawowych. Jego zdaniem starania władz polskich uczyniły polską armię jedną z najsilniejszych w Europie. Przykładowo: cały park pancerny składa się z ponad 900 czołgów III generacji (program modernizacji rozpoczęty w 2019 r. wysłużonych 318 T-72 M i PT-91, do tego zakup 247 niemieckich leopardów A4 i A5 i planowany 250 abramsów), plasując nas na drugim miejscu na świecie po Stanach Zjednoczonych. Choć problematyczne jest zaliczenie wozów bojowych T-72 M do III generacji, to całościowo stan polskich wojsk pancernych już wygląda dość groźnie. Dodajmy, że ten sam periodyk całkiem niedawno uznał, że rosyjskie najnowocześniejsze, bo III generacji, T-14 Armata nie nadają się jeszcze do masowej produkcji i wymagają wielu poprawek. Tymczasem w analizach takich generałów w stanie spoczynku jak np. Mirosława Różańskiego (obecnie w sztabie Hołowni) pobrzmiewa jedynie co do stanu naszej armii krytyka i czarnowidztwo. Ale jak mawiają Rosjanie: „Tisze jedziesz, dalsze budziesz".

Scott Booth, były komandos Royal Marines, obecnie pracujący jako menedżer w firmie produkującej sprzęt medyczny, nie ma ani polskich korzeni, ani żadnych rodzinnych związków z Polską. Teraz został szefem projektu Laguna's Spitfire Legacy, którego celem jest rekonstrukcja zdolnego do lotu myśliwca Supermarine Spitfire F MK IIB P8331 „Sumatra", na którym walczył polski lotnik z dywizjonu 303 mjr Piotr Łaguna. 27 czerwca 1941 r. zginął on zestrzelony nad Coquelles we Francji, jako dowódca 1 Polskiego Skrzydła Myśliwskiego. Z detektywistyczną pasją Booth szukał we Francji szczątków zestrzelonej maszyny. Jednak w praktyce jego praca to budowa samolotu prawie od nowa. Finałem przygotowań był zakup unikatowego silnika Rolls-Royce Griffon. W kwietniu 2020 r. Laguna's Spitfire Legacy uzyskała od brytyjskiego Urzędu Lotnictwa Cywilnego zgodę na rekonstrukcję i ponowne zarejestrowanie samolotu. „Pozostaniemy na zawsze wdzięczni Polakom za ich wkład w II wojnę światową i rekonstruując ten samolot, chcę oddać hołd wszystkim 18 tys. członkom Polskich Sił Powietrznych, którzy służyli wówczas w Wielkiej Brytanii" – mówi szef projektu. Odbudowany P8331 zacząłby latać w roku 2025, kiedy przypada 85. rocznica bitwy o Wielką Brytanię i 80. rocznica zakończenia II wojny światowej. Do projektu wartego 3 mln funtów Bootha zainspirowały dwa filmy „Hurricane" (w Polsce wyświetlany pod tytułem „303. Bitwa o Anglię") i „Dywizjon 303. Historia prawdziwa". I tak inwestycje w filmy, które promują naszych bohaterów z tamtych czasów, przynoszą w końcu piękne owoce.

Chrześcijanie z Indii zareagowali oburzeniem na opublikowane fotografie z Watykanu, które przedstawiają papieża Franciszka obejmującego w serdecznym powitalnym uścisku indyjskiego premiera Narendrę Modiego. Modi jest uważany w Indiach za rasistę, populistę, nacjonalistę i polityka propagującego supremację hinduistów. W sieci pojawiły się złośliwe memy, w których porównano to spotkanie do propagandowych wizerunków Adolfa Hitlera spotykającego się z watykańskimi urzędnikami. Inni określili przywitanie „pocałunkiem Judasza", a premiera Indii pokazano ubranego w papieski strój. Zadawano też pytanie, czy Ojciec Święty poruszył temat prześladowania mniejszości religijnych, które przybrały na sile pod rządami Modiego. Trudno się dziwić, że zachodnie ugrupowania prawicowe postrzegają jako obrońcę konserwatywnych wartości Władimira Władimirowicza Putina, a nie papieża Franciszka. Widać słabością Ojca Świętego jest schlebianie wielkim tego świata z uszczerbkiem dla twardej walki o wartości chrześcijańskie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bebdbdc49

70-metrowe domy nadchodzą

W ostatnich dniach października prezydent podpisał ustawę upraszczającą formalności związane z budową domów o powierzchni do 70 mkw. Ustawa wejdzie w życie po dwóch miesiącach od dnia ogłoszenia. Nowe przepisy umożliwią wybudowanie domu w cenie mieszkania.

Marta Kaczyńska-Zielińska

Własny dom, poza spełnieniem podstawowej potrzeby posiadania własnego lokum, zwiększa intymność i w wielu sytuacjach komfort życia, otwiera również wiele możliwości spędzania czasu wolnego. Wedle nowych przepisów domy jednorodzinne nieprzekraczające wskazanej powierzchni będą mogły być wznoszone po dokonaniu zgłoszenia, bez uzyskania pozwolenia na budowę, ustanowienia kierownika budowy oraz prowadzenia dziennika budowy. O zgodność budowy z projektem będzie mógł zadbać autor projektu. Inwestor wedle swojej woli będzie mógł oczywiście ustanowić kierownika. W przypadku braku miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego obejmującego działkę inwestycyjną w terminie 21 dni będzie wydawana decyzja o warunkach zabudowy uwzględniająca istniejącą tkankę urbanistyczną. Wniosek o ustalenie warunków zabudowy złożymy także drogą elektroniczną.

Budynki mają być wolnostojące i nie więcej niż dwukondygnacyjne, a ich obszar oddziaływania musi się mieścić w całości na działce, na której zostały zaprojektowane. Założeniem ustawodawcy jest, by nowe domy nie naruszały interesów prawnych sąsiadów ani nie powodowały konieczności wydłużenia procesu uzyskania pozwolenia na użytkowanie. Liczba projektowanych budynków nie może być większa niż jeden na każde 500 mkw. powierzchni działki, co z kolei ma zapobiec wykorzystywaniu nowych przepisów do stawiania osiedli. Inwestor będzie miał obowiązek geodezyjnego wyznaczenia terenu, a także dokonania geodezyjnej inwentaryzacji powykonawczej. Co do zasady starostwo nie będzie mogło złożyć sprzeciwu do dokonanego przez inwestora zgłoszenia. Ostatni z wymienionych będzie musiał dołączyć do zgłoszenia oświadczenia o tym, że planowana budowa jest prowadzona w celu zaspokojenia własnych potrzeb mieszkaniowych. Uczyni to pod rygorem odpowiedzialności karnej. Planujący budowę domu będzie musiał oświadczyć, że przyjmuje odpowiedzialność za kierowanie budową w przypadku nieustanowienia kierownika budowy, a dołączona dokumentacja jest kompletna. Organy nadzoru budowlanego będą musiały zostać poinformowane o zamierzonym terminie rozpoczęcia robót budowlanych i kontrolować zgodność prowadzenia robót z prawem budowlanym i przepisami wykonawczymi.

Wbrew obawom krytyków samowole budowlane nie będą tolerowane. Główny Urząd Nadzoru Budowlanego ogłosił konkurs na projekt koncepcyjny domu jednorodzinnego o powierzchni zabudowy do 70 mkw., którego celem jest stworzenie puli projektów o wysokich walorach architektoniczno-funkcjonalnych, ekologicznych, oszczędnych i estetycznych, które w ramach Polskiego Ładu będą udostępniane inwestorom za opłatę w wysokości 1 zł. O tym, że nowe budownictwo jednorodzinne może być ładne i ekologiczne, przekonują już od dawna architekci proponujący na swoich stronach ciekawe projekty niewielkich budynków oraz instalacje, które do ogrzewania i wentylacji zużywają nawet mniej niż 40 kWh/mkw. rocznie. Pozwala to zaoszczędzić trzykrotnie więcej na ogrzewaniu przy niewielkim zwiększeniu nakładów finansowych na budowę w stosunku do standardowo projektowanych domów. Oszczędności można także zapewnić, decydując się na systemy paneli fotowoltaicznych czy pompy ciepła. W ramach rządowego programu Mój Prąd można uzyskać bezzwrotne dofinansowanie instalacji fotowoltaicznej o wielkości od 2 do 10 kWp. Infrastrukturę wokół domu będzie można urozmaicić o proekologiczne oczka wodne, na których dofinansowanie przysługuje w ramach organizowanych przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej programów Moja Woda. Nowe przepisy znajdą zastosowanie także do budowy domków rekreacyjnych o powierzchni do 70 mkw., spełniających kryteria określone w przepisach ustawy.

Z ogromnym żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ROMANA ZALESKIEGO

Odszedł od nas kolejny z działaczy „Solidarności" i „Solidarności Walczącej".

Zostawił po sobie piękną kartę walki o Polskę wolną i solidarną.

Będziemy o Nim pamiętać, a Jego życie jest dla nas zobowiązaniem do pracy na rzecz Polski, o której marzył.

Niech spoczywa w pokoju.

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

MD/11/2021

eprasa.pl 0bebdbdc49

Plastikowe kule

Samuel Pereira

„Niczego nie zrobiłem. Tylko stałem i patrzyłem na strażnika, gdy ten na mnie krzyczał. Nie rozumiem, dlaczego do mnie strzelił" – powiedział 25-letni mężczyzna z Iraku i Szymon Opryszek z OKO.press uwierzył i napisał, że straż graniczna strzelała do niego plastikowymi kulami. Na jakiej podstawie Opryszek większym zaufaniem niż funkcjonariuszy polskiej SG obdarza nieznanego mężczyznę, który zapłacił przemytnikom i łamiąc prawo, próbuje nielegalnie przekroczyć granicę z Polską? Nie wiadomo. Można się domyślić, że jedynym powodem jest polityka. Skoro polski rząd chroni granicę, to znaczy, że można ją nielegalnie przekraczać, a nawet – co widać na nagraniach publikowanych przez strażników granicznych – siłowo forsować.

Ta publikacja to tylko jeden element szerszego zjawiska zohydzania polskich instytucji i polskich władz w bardzo newralgicznym momencie kryzysu na granicy. Śmiem twierdzić, że gdyby politycy opozycji i wspierające ich media oraz organizacje pozarządowe na dwa tygodnie zamilkły, to białoruski reżim odstąpiłby od swojej operacji. Ale nie. Politycy nie odpuszczą, bo wyczuli polityczne paliwo, media nienawidzące PiS podobnie, a różnego rodzaju NGO-sy siedzą i liczą setki tysięcy, jakie spływają na ich konta ze zbiórek. Ludzie niestety ulegają tej manipulacji, bo generalnie łatwiej nam współczuć komuś gdzieś daleko, płakać nad losem uchodźców, niż np. pójść i pomóc sąsiadce posprzątać w mieszkaniu czy zrobić obiad, albo zaprosić bezdomnego, żeby się u nas wykąpał. Jeśli mielibyśmy sobie pół roku temu wymyślić, czego Aleksander Łukaszenka oczekiwałby od swoich ludzi w Polsce przy okazji operacji zalania polskiej granicy imigrantami, to chyba trudno byłoby się spodziewać, że tak idealnie jego cele w naszym kraju zrealizują ci, którzy reprezentują nurt antyrządowy.

Co ciekawe, nawet Donald Tusk milczy, oczywiście nie potępiając działań swoich polityków, bo wie, że brak ochrony granicy szkodzi przede wszystkim Niemcom, bo to tam jest punkt docelowy nielegalnej migracji. Nie miejmy jednak złudzeń – cieszy się, widząc, jak się polska łódka buja, i zrobi wszystko, żeby bujała się bardziej i bardziej. Do skutku.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Serce, które biło w nas

Z Andrzejem Lampertem, śpiewakiem operowym, wokalistą, kompozytorem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Wciąż pytasz czemu" to piękny utwór. Jakie wydarzenie promuje?

Andrzej Lampert: 12 listopada przypada 32. rocznica kanonizacji św. Brata Alberta. Tego samego dnia premierę będzie mieć film „Nędzarz i madame", który pokazuje drogę Adama Chmielowskiego, polskiego powstańca styczniowego, artysty malarza, który po latach burzliwej młodości porzuca dotychczasowe życie i staje się bratem Albertem.

Nietuzinkowa kompozycja Jakuba Lubowicza do tekstu Witolda Ludwiga (autora scenariusza i reżysera filmu), którą miałem przyjemność nagrać, a która jest zapowiedzią filmu, od pierwszej chwili wzbudziła mój podziw. Ujął mnie też mądry, piękny tekst oraz przekaz: „Przyszłość pokaże, gdy powieki zamknie czas, ile warte serce, które biło w nas...".

Czy widział pan film?

Miałem okazję uczestniczyć w kolaudacji. W mojej opinii to niezwykle wartościowe, wyjątkowe dzieło, przede wszystkim ze względu na piękną postać Adama Chmielowskiego. Moją uwagę przykuły kreacje aktorskie Piotra Zajączkowskiego i Magdaleny Michalik, wcielających się w postaci Adama Chmielowskiego (jednocześnie św. Brata Alberta) oraz Heleny Modrzejewskiej. To role pełne świeżości i naturalności, z umiejętnie wydobytą prawdą, a to jest to, co pewnie wielu widzów uwielbia w kinie, w teatrze. Ja na pewno.

Nad czym pan teraz pracuje?

Mam przyjemność uczestniczyć w nowej produkcji Graz Opera. Przygotowujemy się do premiery spektaklu „Poławiacze pereł" Georges'a Bizeta.

Fot. Wojciech Grabowski / AKPA

eprasa.pl 0bebdbdc49

1 668 935

tyle głosów uzyskał republikanin Glenn Youngkin, zwycięzca w wyborach na gubernatora Wirginii, dotychczas rządzonej przez demokratów

2351

tyle przestępstw o podłożu antysemickim odnotowano w Niemczech w 2020 r.

3

tylu uzbrojonych mężczyzn przyłapano na przekraczaniu polskiej granicy od strony białoruskiej

Fot. Shutterstock, Fratria, Andrzej Wiktor

Milion nie jest dla nas problemem, lecz korzyścią w obliczu kryzysu demograficznego

– poseł Franciszek Sterczewski (KO) o liczbie imigrantów, których chciałby przyjąć do Polski

Często pod hasłami ekologicznymi kryją się zabiegi, które wcale nie mają służyć przeciwdziałaniu zmianom klimatycznym, tylko są jakimś szaleństwem ideologicznym

– Jacek Ozdoba, wiceminister klimatu

Pani Wanda w młodzieńczych latach przeszła przez piekło więzień i obozów koncentracyjnych. W tym tyglu cierpienia i poniżenia wyłoniło się jednak złoto jej miłości i służby

– kard. Stanisław Dziwisz na 100. urodziny Wandy Półtawskiej

Zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32 PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/NURPHOTO VIA AFP/EASTNEWS, WIRESTOCK CREATORS/SHUTTERSTOCK

nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

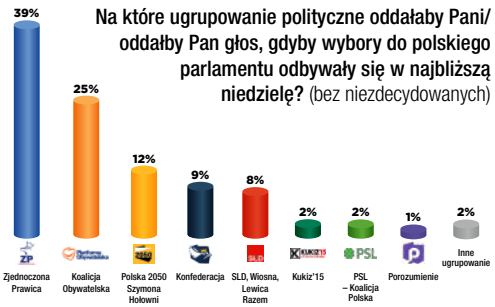

Kto według Pani/Pana będzie rządził w Polsce po najbliższych wyborach parlamentarnych, które odbędą się w 2023 r.?

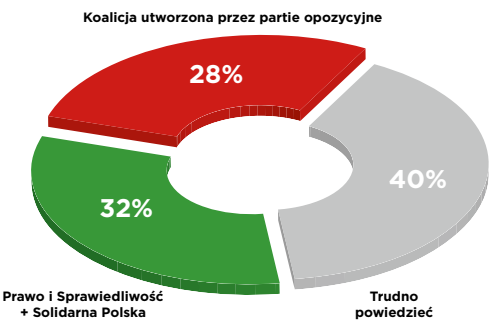

Czy zgadza się Pani/Pan z opinią, że Donald Tusk jest politykiem działającym w interesie Niemiec i pod wpływem niemieckich polityków?

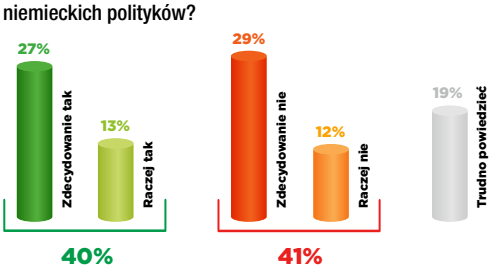

Czy w razie wojny podjęłaby Pani/podjąłby Pan aktywną walkę w obronie ojczyzny?

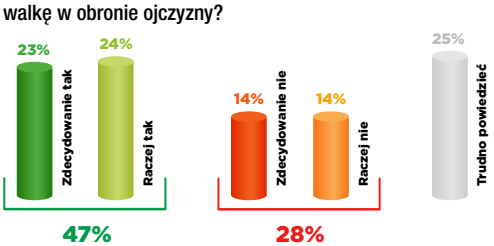

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1059.

Zakres czasowy badania 29 października–2 listopada 2021 r.

eprasa.pl 0bebdbdc49

O wymagającej służbie Straży Granicznej, wojnie hybrydowej, prowokacjach białoruskiego reżimu i determinacji, która pozwoli nam przetrwać trudny czas próby, mówi komendant główny SG gen. dyw. *Tomasz Praga* w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą

Musimy ochronić Polskę

Panie generale, narracja niektórych mediów na temat tego, co się dzieje na granicy, jest coraz ostrzejsza. Nielegalnych imigrantów porównuje się do „więźniów obozów koncentracyjnych", którzy są „łapani jak w łapance" albo do „Żydów wydawanych w czasie wojny". Jest mowa o „okupacyjnej rzeczywistości" w pasie nadgranicznym, którego bronicie. Czy da się w takim momencie wyłączyć emocje i robić swoje?

Tomasz Praga: W większości odbieramy pozytywne komentarze, wiele osób do nas dzwoni i pisze z wyrazami poparcia. Niestety wylewa się też na nas sporo hejtu. To są słowa, które nas wszystkich ranią. Wiem, że one wynikają z emocji i niejednokrotnie z niewiedzy, ale przede wszystkim są nieprawdziwe. Mamy kumulację nerwów i trudno wytłumaczyć zachowania części osób, które powinny sobie zdawać sprawę z tego, że sytuacja na granicy białoruskiej jest nadzwyczajna i mamy do czynienia ze sztucznie wytworzonym przez Białoruś szlakiem migracyjnym, który reżimowi Łukaszenki przynosi ogromne dochody.

Zdajemy sobie z tego sprawę, ale mimo to hejt nie ustaje, a nawet się wzmaga. Jak to działa na morale ludzi na służbie?

Funkcjonariusze czytają te obraźliwe opinie. Można nawet powiedzieć, że są przez ten hejt osaczani, nie ogranicza się on bowiem do wpisów w internecie czy sprejem na murach. Jedna ze stacji telewizyjnych docierała na Podlasiu do domów strażników granicznych, do ich rodzin. Pukali do ich drzwi, prosili o wywiady, a nawet oferowali za to pieniądze. To szukanie sensacji tam, gdzie jej nie ma. Robimy to, do czego zostaliśmy powołani, bronimy granic naszej ojczyzny, naszego domu. Dlatego wszystkim funkcjonariuszom, którzy w takich

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bebdbdc49

warunkach pełnią tę codzienną, ważną i niebezpieczną służbę, należą się ogromne podziękowania.

Niektóre media są wobec was bezwzględne, epatują historiami o „dzieciach zamarzających w lesie", piszą, że „wśród mundurowych są sadyści, którym sprawia przyjemność znęcanie się nad ludźmi z granicy". Co by pan powiedział autorom takich artykułów?

Przytoczyłbym im moją niedawną rozmowę z funkcjonariuszem z Nadbużańskiego Oddziału SG, którego patrol towarzyszył nam na granicy. Powiedział mi wprost: „Panie komendancie, ja tu jestem dla mojej żony i moich dzieci. Dobrze wykonując swoją pracę, dbam o ich bezpieczeństwo. Chronię swój dom". To mnie bardzo podbudowało. Kiedy opadną emocje, nasza praca zostanie uczciwie oceniona i niektórzy zmienią negatywne zdanie na nasz temat.

Podstawą tej krytycznej narracji ma być pokazanie, że strażnicy graniczni są bezwzględni wobec ludzi potrzebujących ratunku.

Ależ my tym ludziom pomagamy! Z tłumu szturmującego naszą granicę uratowaliśmy już wiele osób, m.in. takie, które były ofiarami przestępców trudniących się handlem ludźmi. Dziś o wszystkich szczegółach nie możemy mówić, kiedyś opinia publiczna będzie mogła je poznać. Nigdy nie odmawiamy pomocy medycznej, jedzenia, ubrania. Schemat działania jest taki: najpierw sprawdzamy, czy osoby, które już przekroczą naszą granicę, są w dobrym stanie zdrowotnym, czy potrzebują opieki lekarza, a dopiero potem podejmujemy kolejne działania.

Czy funkcjonariusze pracujący obecnie na granicy białoruskiej to ludzie mieszkający w tym regionie? Są u siebie?

W dużej mierze tak. Mamy dwa oddziały chroniące granicę z Białorusią: podlaski i nadbużański. Dzisiaj są tam spore siły: 4,5 tys. funkcjonariuszy SG i 7,5 tys. żołnierzy WP działających na pierwszej linii, przy samej granicy. Mamy też nieocenione wsparcie WOT i policji. Do Podlaskiego Oddziału SG oddelegowani są również funkcjonariusze z pozostałych oddziałów SG oraz Komendy Głównej SG. Delegacje trwają po kilka tygodni. Rotacja jest konieczna, by dać odpocząć tym, którzy są tam ciągle i stykają się z sytuacjami, które do tej pory nigdy nie zdarzały się na polskiej granicy. I jeszcze jedno, to tam zdobywa się doświadczenie, którego nie da się zastąpić żadnymi szkoleniami ani ćwiczeniami.

> Latem zaczął się szturm. Zanotowaliśmy już ponad 30 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy – 3,5 tys. w sierpniu, 7,6 tys. we wrześniu i ponad 17 tys. w październiku. Pierwsze dwa dni listopada to kolejne ponad tysiąc osób. Choćby po tych statystykach widać, że presja narasta i będzie narastała

Ciekawi nas, czy strażnicy, którzy pochodzą z tamtych terenów, mają poczucie, że bronią własnej ziemi, na której się wychowali, i że de facto biorą udział w wojnie?

Tak, to są ich małe ojczyzny, oni tam żyją i udzielają się nie tylko na płaszczyźnie służbowej. Jak mało kto mają świadomość, że to jest wojna hybrydowa. W „normalnym" czasie mieliśmy rocznie 300–400 prób przekroczeń na granicach Polski z Rosją, Białorusią i Ukrainą. W tym roku do lipca wszystko utrzymywało się mniej więcej w tych liczbach, ale latem zaczął się szturm i zanotowaliśmy już ponad 30 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy – 3,5 tys. w sierpniu, 7,6 tys. we wrześniu i ponad 17 tys. w październiku. Pierwsze dwa dni listopada to kolejne ponad tysiąc osób. Choćby po tych statystykach widać, że presja narasta i będzie narastała.

Co się dzieje, gdy straż graniczna spotyka w lesie grupę ludzi?

Uporządkujmy fakty. Najliczniejszą grupą są ci, którzy próbują przekroczyć granicę, ale im to naszymi działaniami uniemożliwiamy. Stan wyjątkowy i obecna zapora inżynieryjna z drutem concertina bardzo nam w tym pomagają. Takie osoby, gdy napotkają nasz opór, są zazwyczaj agresywne. Gdy jest ich dużo, pierwsza linia funkcjonariuszy ich nie zatrzyma, byłoby to zresztą niebezpieczne. Mamy jednak linię drugą i tam łapiemy już każdego. Nawet jeśli rozbiegają się w różnych kierunkach, jesteśmy na to przygotowani. Ponad połowę zatrzymywanych osób stanowią młodzi mężczyźni w wieku 19–35 lat. Jeśli nie potrzebują pomocy medycznej ani nie chcą się zwrócić o ochronę międzynarodową, są zawracani w kierunku granicy. Jako ciekawostkę dodam, że wiele z tych osób jest zdziwionych, że są w Polsce. Ktoś ich okłamał, że to już powinny być Niemcy.

Wiemy, kim oni są?

Legitymowanie często nie jest możliwe, gdy spotykamy w środku nocy grupę kilkunastu czy kilkudziesięciu mężczyzn. Zazwyczaj nie mają nawet dokumentów. Najważniejszy jest dla nas stan ich zdrowia oraz fakt, czy chcą się ubiegać o ochronę międzynarodową w Polsce. Jeżeli nie oczekują pomocy od naszego kraju, otrzymują postanowienia o opuszczeniu terytorium Polski i są doprowadzani do granicy. Deklaracje i oświadczenia, które składają, nie pozostawiają wątpliwości: w większości ich krajem docelowym są Niemcy, czasem Francja lub Szwecja. Nie ma to nic wspólnego z szukaniem przez nich bezpieczeństwa, jak próbuje nam się wmawiać. Po prostu świadczenia socjalne, które mogą dostać w tych krajach, są nieporównywalne z polskimi.

Są tacy, którzy chcą zostać u nas?

Takie osoby też się zdarzają. Nie wszyscy od razu to mówią. Ale nasi

eprasa.pl 0bebdbdc49

funkcjonariusze mają ogromne doświadczenie i z własnej obserwacji czy nawet strzępków słów są w stanie wywnioskować, czy mają do czynienia z kimś, kto realnie potrzebuje pomocy. Mieliśmy do czynienia z grupami osób, które prowadzone przez kurierów miały trafić do Niemiec, ale wyłuskaliśmy stamtąd tych, którzy byli prowadzeni wbrew swej woli. Wystarczy słowo, pewne zachowania, które my jesteśmy w stanie dostrzec, i od razu reagujemy. O ochronę międzynarodową musi się osobiście zwrócić cudzoziemiec, który jest już na terenie Polski, a nie przed linią granicy, choćby było to bardzo blisko, jak np. w Usnarzu.

Co tam dziś się dzieje? Ta wioska stała się symbolem kryzysu na granicy.

Nie ma tam nikogo. Zostało trochę namiotów, czasem pojawia się białoruski patrol.

Wróćmy do tych, którzy deklarują chęć pozostania w Polsce. Jaka jest dalsza ścieżka?

Proszę pamiętać, że Straż Graniczna przyjmuje wnioski o objęcie ochroną międzynarodową również od osób, które legalnie dostały się na terytorium Polski. W tym roku łącznie takie wnioski przyjęliśmy już od prawie 6 tys. osób – od tych, którzy dostali się na terytorium Polski drogą legalną oraz nielegalną, to już ponad dwa razy więcej niż rok temu. W strzeżonych ośrodkach jest ok. tysiąca osób, które złożyły wniosek o ochronę międzynarodową w Polsce. Cudzoziemcy, którzy nielegalnie przekroczą granicę, są przez nas zatrzymywani. Jeżeli chcą złożyć wniosek o ochronę w Polsce, to zwracamy się do sądu, który decyduje o umieszczeniu ich w strzeżonych ośrodkach. Tylko w ten sposób możemy ich sprawdzić pod kątem potencjalnego zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa oraz porządku publicznego, potwierdzić tożsamość i po sprowadzeniu tłumacza przesłuchać. To jest konieczne, bo wśród tej masy ludzi mogą być tacy, którzy pracują dla obcych służb. Musimy być więc bardzo ostrożni, gdy już decydujemy się kogoś wpuścić do Polski. Takie osoby za naszym pośrednictwem składają wniosek o ochronę międzynarodową w RP do szefa Urzędu ds. Cudzoziemców.

Wydaje się, że tysiąc osób, które chce zostać w Polsce, to niewiele.

Bądźmy precyzyjni, mówimy tu tylko o osobach, które przekroczyły granicę nielegalnie z Białorusi do Polski, są w strzeżonych ośrodkach i zadeklarowały, że chcą złożyć wniosek o ochronę międzynarodową w Polsce. Ale od 18 sierpnia ub.r. Polska przyjęła prawie 19 tys. (dane do 31.10.2021) obywateli Białorusi, którzy zgłosili się albo do naszych placówek dyplomatycznych, albo złożyli deklarację na przejściu granicznym. Osobiście wydałem polecenie, by wszyscy obywatele Białorusi, którzy chcą wjechać do Polski, byli wpuszczani i mogli złożyć wniosek. To skuteczna droga. W tym czasie na „zielonej granicy" zanotowaliśmy tylko dwa przypadki nielegalnego przekroczenia przez Białorusinów. A przecież to są ludzie, których życie i zdrowie jest realnie zagrożone, reżim Łukaszenki jest dla nich naprawdę bezwzględny.

> Ponad połowę zatrzymywanych osób stanowią młodzi mężczyźni w wieku 19–35 lat. Jeśli nie potrzebują pomocy medycznej i nie chcą się zwrócić o ochronę międzynarodową, są zawracani w kierunku granicy. Jako ciekawostkę dodam, że wiele z tych osób jest zdziwionych, że są w Polsce. Ktoś ich okłamał, że to już powinny być Niemcy

Mówi pan, że dla Mińska ten kanał przerzutowy ma, poza politycznym, cel zarobkowy. To rzeczywiście tak dochodowy interes?

Myślę, że mówimy o milionach dolarów. Nawet gdy odliczy się koszty połączeń samolotowych i opłacenie pobytu tych ludzi na terenie kraju. Widać też, że Mińsk ten przestępczy proceder rozwija. W ostatnim czasie się okazało, że za naszą wschodnią granicą zaczynają się pojawiać nawet przybysze z Kuby. Nie jest ich jeszcze wielu, ale połączenie zostało otwarte.

A ilu „turystów" na Białorusi wciąż czeka, by ruszyć na naszą granicę?

Według naszych służb od 15 do 20 tys., ale pamiętajmy, że te loty są kontynuowane, że oni nadal napływają. Należy w tym miejscu podkreślić, że mamy do czynienia z sytuacją precedensową. Po raz pierwszy na świecie otwarty został szlak przemytniczy, który wykorzystuje linie lotnicze w tak ogromnej skali.

I nie da się z tym nic zrobić? Nie pomoże Unia Europejska, sprawa dotyczy przecież granicy całej wspólnoty?

Jednym z rozwiązań jest, aby UE zwróciła uwagę na przewoźników lotniczych, którzy są zaangażowani w ściąganie nielegalnych imigrantów. UE powinna jasno powiedzieć: skoro bierzecie udział w tym haniebnym procederze, udostępniacie swoje samoloty reżimowi Łukaszenki do realizowania czarterów i uważacie, że to jest dla was najlepszy biznes, to może przestaniecie latać do Unii albo nad Unią? Nie wyobrażam sobie, by większość z tych linii taki sygnał zignorowała. A bez samolotów nie ma jak zasilić Białorusi nielegalnymi migrantami.

Na razie Europa wspiera nas bezobjawowo. Kończy się na komunikatach.

Straż Graniczna nie potrzebuje dziś fizycznego wsparcia Frontexu, choć współpracujemy z tą unijną agencją. Mało kto wie, że korzystaliśmy np. z jej zdjęć satelitarnych. Codziennie wymieniamy się informacjami. Wspólnie z Agencją Frontex organizujemy loty dla cudzoziemców, którzy otrzymali decyzje zobowiązujące ich do powrotu do krajów pochodzenia. Na przejściach granicznych non stop obecni są funk-

eprasa.pl 0bebdbdc49

Fot. Andrzej Wiktor

cjonariusze Frontexu. Tyle że zdolności operacyjne Frontex osiągnie dopiero za sześć lat. W ubiegłym roku to my szkoliliśmy pierwszą grupę ich funkcjonariuszy, bo wygraliśmy konkurs – okazało się, że zrobimy to najlepiej.

Jak wygląda współpraca z białoruską strażą graniczną? W końcu to nasza wspólna granica.

Trzeba przyznać, że do tej pory ochrona granicy przez Białorusinów była bardzo stabilna. Dzisiaj system się zmienił. Funkcjonariusze białoruscy biorą w przemytniczym procederze czynny udział i czerpią z tego korzyści. Stali się de facto przemytnikami, są ogniwem w tym łańcuchu. Teraz to tylko nasza strona chroni granicę polsko-białoruską. Początkowo zachowywano jeszcze jakieś pozory, był jakiś kamuflaż. To się skończyło, w biały dzień podjeżdżają samochodami, są umundurowani, podstawiają migrantów i odjeżdżają, nie kryją się. Czasem nawet przebierają w mundury tych cudzoziemców, co jest bardzo niebezpieczne, bo sprawia, że nie zawsze wiemy, z kim mamy do czynienia.

Jak ostatnio, gdy patrol spotkał trzech umundurowanych mężczyzn z długą bronią, którzy nocą przeszli na teren Polski.

Gdy zostali zauważeni, wezwaliśmy ich do identyfikacji specjalnym kodem. Wtedy oni przeładowali broń i po chwili konsternacji cofnęli się na stronę białoruską. To pokazuje, że żadna nasza ostrożność nie jest przesadzona. Ten konflikt eskaluje, wchodzimy na wyższy poziom napięcia na linii granicy. Po obu stronach mamy ogromne siły straży granicznej, wojska i policji. Ludzie są uzbrojeni w ostrą amunicję, działają pod ogromną presją. Po umundurowaniu widać, że są w tę operację zaangażowane także białoruskie służby specjalne.

> Musimy być bardzo ostrożni, gdy już decydujemy się kogoś wpuścić do Polski, bo wśród tej masy ludzi mogą być tacy, którzy pracują dla obcych służb

W komunikatach czytamy co jakiś czas, że pojawiają się strzały. Ktoś próbuje was przestraszyć?

Rzeczywiście, co chwilę mam doniesienia, że nasze patrole słyszały wystrzały. I sprawa jest poważna, bo poza pojedynczymi strzałami pojawiały się serie z broni maszynowej. Ktoś może to zlekceważyć, ale wystrzelono też w kierunku naszego patrolu racę z pistoletu sygnałowego, która spadła dosłownie cztery metry od funkcjonariuszy. Po każdym takim przypadku piszę pismo do mojego białoruskiego odpowiednika z żądaniem wyjaśnienia.

Co pan czyta w odpowiedziach?

Ostatnio odpisał, że u nich broni nie używano, niczego nie odnotowano, nic takiego się nie zdarzyło. I tak jest w zasadzie za każdym razem. Pamiętacie panowie tę tragiczną sytuację, gdy na Bugu utonął cudzoziemiec? Też interweniowałem. I wtedy stwierdzono, że na linii granicy w ogóle nie odnotowano takiego zajścia.

Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę o budowie trwałej bariery na granicy polsko-białoruskiej. Czy poza oczywistym uszczelnieniem ma to też być sygnał wysłany do krajów, z których przybywają cudzoziemcy, że przez Polskę przejścia nie ma?

Tak, to najważniejsza kwestia. Bardzo się cieszę, że ustawa została uchwalona przez Sejm i podpisana przez pana prezydenta. To dobra decyzja. Wysoka na pięć metrów konstrukcja zwieńczona drutem concertina już sama z siebie będzie lepiej chroniła naszą granicę i zapewne w zdecydowanej większości wyeliminuje próby przedzierania się do Polski, zwłaszcza gdy tę infrastrukturę wzmocnimy patrolami Straży Granicznej – wyślemy czytelny sygnał, że tutaj szlak został zupełnie zamknięty.

Jak bardzo zaawansowana będzie to konstrukcja?

Nie mogę zdradzić szczegółów technicznych, ale to będzie system połączonych z sobą czujników ruchu i kamer.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Także działających, co oczywiste, w nocy, wyczuwających każdy ruch. Poza obecnym problemem przerzutu ludzi nie zapominamy też o przemycie towarów, z którym walczymy. Ta zapora praktycznie całkowicie go wyeliminuje.

Do kogo będzie należało ostatnie słowo, w jakie elementy ma być wyposażona ta bariera?

Tylko Straż Graniczna ma pełną wiedzę, czego tak naprawdę potrzeba, by granicę Polski maksymalnie uszczelnić, by ją realnie chronić. Wiemy, jakie należy zastosować rozwiązania techniczne, zaproponowaliśmy je i zostały one zaakceptowane. Bardzo cieszy mnie to, że politycy w tej kwestii opierają się na naszym doświadczeniu.

wizualizacja zabezpieczenia granicy państwowej/Straż Graniczna

Straż Graniczna obchodzi 30-lecie istnienia. Wielu funkcjonariuszy, pan także, to ludzie mający duży staż pracy w terenie. Jak bardzo to doświadczenie pomaga w kierowaniu służbą w tych wymagających czasach?

Rzeczywiście, rozpocząłem służbę w 1992 r. w Bieszczadzkim Oddziale Straży Granicznej, w ramach służby wojskowej. Spędziłem tam półtora roku. Zaczynałem w plutonie wartowniczym. Później byłem pomocnikiem oficera operacyjnego oddziału. Tam się nauczyłem służby na mapach, na radiostacjach, koordynacji wymiany informacji w czasie działań granicznych. Zdecydowałem się zostać w SG. Moim pierwszym przydziałem była strażnica w Hermanowicach. Utkwiła mi w głowie pierwsza Wigilia w służbie. Pamiętam, że gdy w miejscowości Malhowice zobaczyłem w oddali światła w domach, krzątających się ludzi, naszła mnie refleksja, że to, co robimy, ma ogromne znaczenie. To, że my tu marzniemy, pozwala tym ludziom w domach spokojnie spędzać święta. Wtedy poczułem głęboki sens naszej służby. Zanim trafiłem do Komendy Głównej, byłem jeszcze chorążym operacyjnym, pracowałem na przejściu w Medyce i dopiero potem w sztabie i w kancelarii tajnej. Dlatego bawi mnie, gdy ktoś twierdzi, że wziąłem się znikąd, że tylko siedziałem za biurkiem.

> Wysoka na pięć metrów konstrukcja zwieńczona drutem concertina już sama z siebie będzie lepiej chroniła naszą granicę i zapewne w zdecydowanej większości wyeliminuje próby przedzierania się do Polski, zwłaszcza gdy tę infrastrukturę wzmocnimy patrolami SG

Wróćmy do granicy i najtrudniejszego do upilnowania odcinka na Bugu – jak chce pan zapewnić tam szczelność?

Granica przebiega środkiem nurtu, więc na rzece nic nie postawimy. Ale Bugiem nie da się przekroczyć granicy tak dynamicznie jak na lądzie. Co możemy zrobić? Analizujemy możliwości skutecznego zastosowania najnowszych rozwiązań technologicznych do ochrony granicy państwowej, również z wykorzystaniem doświadczeń międzynarodowych w tym zakresie. Celem jest pozyskanie skutecznego narzędzia do zabezpieczenia tego odcinka. By być precyzyjnym, dziś w statystykach Bug nie jest problemem. Na prawie 30 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy z Białorusią w oddziale nadbużańskim mieliśmy tylko ok. 300.

Ten cały system składający się na nową barierę to będzie zupełna nowość dla Straży Granicznej?

Nie. M.in. w bieszczadzkim oddziale funkcjonuje perymetria między placówkami w Medyce i Korczowej. W tej chwili jest w trakcie odbiorów technicznych. To ponad 30 km instalacji, bez dodatkowego ogrodzenia. Kabel perymetryczny z detektorami zakopany w ziemi, pas orny, kamery z własnym zasilaniem itd.

Co ta perymetria nam daje? Jak to działa?

To system składający się z kabla wyposażonego w różnego typu sensory. On znajduje się praktycznie na linii granicy. Dalej jest pewna przestrzeń i system stacjonarnych kamer, na wysokości ok. 7 metrów. Stoją w odległości 100 metrów od siebie, każda „widzi" kolejną, a tym samym chroni ją przed zniszczeniem. Mają też możliwość komunikacji z kamerami na wyższych wieżach, kilkudziesięciometrowych, byśmy mogli natychmiast dostać szerszy obraz i zobaczyć, co się dzieje na większym obszarze. Dodatkowo te kamery reagują na sygnały z przewodu perymetrycznego, który zabezpiecza nas również przed podkopami, bo wyczuwa nawet mały ruch czy drgania.

eprasa.pl 0bebdbdc49

A nie wyczuje ruchu żubra czy rysia?

Oczywiście. Jednak zanim system wejdzie do użytku, zostanie skalibrowany. I będzie wiedział, czy ma do czynienia z człowiekiem, czy ze zwierzęciem. Rozpozna też nasz patrol. Ponadto działa to w ten sposób, że kamera natychmiast przekazuje sygnał do centrali i u dyżurnego wyświetla się alert. To operator weryfikuje, czy należy podjąć działania. I w razie potrzeby informuje grupę szybkiego reagowania.

Wyłapiemy każdego?

Nie, bo nikomu to się nie udaje. Ale ograniczymy do minimum liczbę nielegalnych przekroczeń granicy. Kilka lat temu byłem zaproszony przez mojego amerykańskiego odpowiednika na granicę z Kanadą, widziałem, jak Amerykanie tam pracują, ich centrum operacyjne pod Waszyngtonem robi ogromne wrażenie. Ale my nie mamy się czego wstydzić.

Gdy w grudniu skończy się stan wyjątkowy, na granicy będzie już spokój?

Chciałbym, lecz to mało prawdopodobne. Mamy sygnały o tym, że część „turystów" wraca już z Białorusi do Bagdadu. Sprzyjać nam będzie pogarszająca się pogoda, efekty przynoszą nasze działania i zapowiedzi wzmocnienia granicy. Widzimy też na forach, na których komunikują się ci migranci, że są oni coraz bardziej sceptyczni, jeśli chodzi o możliwość dostania się do Polski. Miesiąc temu sami szacowali, że ok. 10 proc. ludzi jest w stanie wedrzeć się do naszego kraju. Dziś piszą już tylko o 1 proc. Ale musimy jeszcze chwilę poczekać, by się przekonać, czy Łukaszenka odpuścił. My szykujemy się na najtrudniejsze scenariusze.

Część mieszkańców strefy przygranicznej, mówiąc, że kieruje się sercem, pomaga w lasach ludziom, którym udało się przejść przez granicę. Pana zdaniem to dobrze czy źle?

Te organizacje, które działają przy granicy, nie zdają sobie sprawy, że mogą stać się narzędziem w rękach przestępców.

Ale pytamy o zwykłych ludzi, którzy ugotują zupę, zaniosą do lasu koce, ciepłe ubrania, powerbanki do komórek. Jakkolwiek by patrzeć, pomagając nielegalnym migrantom, łamią prawo, umożliwiają im ukrywanie się przed strażą graniczną. Lecz dla nich ważniejsze jest, by pomóc dzieciom w lesie. Jak pan to ocenia?

Większość ludzi w strefie rozumie tę ciężką sytuację, wspiera nas. Tej mniejszości chciałbym zadać jedno pytanie: dlaczego do nas nie zadzwonicie? My się nimi naprawdę zaopiekujemy. Jeśli ktoś będzie potrzebował pomocy, otrzyma ją od nas. Rozumiem odruchy serca, wrażliwość na krzywdę innych. Niektórzy nie zgadzają się z powstaniem strefy, inni chcieliby, żeby wszystkich wpuścić i później dopiero się zastanowić, z kim mamy do czynienia. Ale jeśli byśmy to zrobili, to dziś nie rozmawialibyśmy o 30 tys. ludzi, lecz o 300 tys., a może i milionie. Reżim Łukaszenki czerpałby z tego korzyści, a my byśmy za to płacili.

Rozumiem odruchy serca, wrażliwość na krzywdę innych. Niektórzy nie zgadzają się z powstaniem strefy, inni chcieliby, żeby wszystkich wpuścić i dopiero później się zastanowić, z kim mamy do czynienia. Ale jeśli byśmy to zrobili, to dziś nie rozmawialibyśmy o 30 tys. ludzi, lecz o 300 tys., a może i milionie

Widzi pan w tle tych „odruchów serca" politykę?

Trudno jej nie widzieć, skoro mieliśmy zachowania niektórych osób niepotrzebne i dalece nierozważne. Mój litewski odpowiednik sam zapytał: „Co się u was dzieje? U nas wszyscy są razem, opozycja krytykuje jakieś drobiazgi, ale zasadniczo wspiera rząd w obronie granicy".

I co pan mu odpowiedział?

Że jest mi po prostu przykro, iż część społeczeństwa nie widzi zagrożeń, eskalacji tej agresji, że mamy czas próby. Dla mnie to wielki zawód, że nie jesteśmy w tym razem.

Wygramy tę wojnę?

Tak! Nie mam najmniejszych wątpliwości. Pytanie tylko, jak mocno poobijani z tego wyjdziemy. Mam tu na myśli nasze wewnętrzne spory. Ale na pewno to wygramy. Wiecie, skąd we mnie ta pewność? Nie obserwujemy, aby wśród funkcjonariuszy na granicy wzrosła liczba zwolnień lekarskich. Mimo tych nieprawdziwych informacji, że funkcjonariusze zaczynają odchodzić, na koniec roku będziemy mieć więcej przyjęć niż odejść. Ludzie chcą założyć mundur SG i to jest budujące.

De facto zostaliście zaatakowani z różnych pozycji – i z zewnątrz, i na scenie wewnętrznej.

Ale to nas nie złamie. Mimo ataków niektórych mediów funkcjonariusze stoją niezłomnie. Dostaję wiele esemsów od znajomych, których dawno nie widziałem. Piszą, byśmy dalej tak trzymali. Komendanci z placówek na pierwszej linii otrzymują z całej Polski maile, kartki, gdzieś kwiaty przyszły z podziękowaniami za nasze działanie. To tylko buduje. Musimy ochronić Polskę – naszą ojczyznę, która nas wychowała, dała pracę, a dziś mówi: „Sprawdzam, potrzebuję was!". Po co walczyli nasi dziadowie, pradziadowie? Czy mamy zapomnieć, że jesteśmy spadkobiercami przedwojennej Straży Granicznej, Korpusu Ochrony Pogranicza? Będziemy chronić naszą ojczyznę i będziemy wierni rocie ślubowania: „Strzec nienaruszalności granicy państwowej, nawet z narażeniem życia".

eprasa.pl 0bebdbdc49

11 listopada: Polska wychodzi na ulice

eprasa.pl 0bebdbdc49

A jeśli to coś więcej niż uliczna demonstracja przywiązania do polskości? A jeśli kod kulturowy Polaków właśnie wymyka się spod politycznych pojęć? Wiele wskazuje na to, że 11 listopada odbywa się coś wielkiego, z czego jeszcze nie zdajemy sobie sprawy

Oni bali się Marszu Niepodległości od początku. Zanim wydarzenie zgromadziło tłumy, przeciwko manifestacjom narodowców występowali lewicowi aktywiści. W 2010 r. Robert Biedroń, wraz z grupą anarchistów, próbował zablokować pochód, za co został zatrzymany i oskarżony o naruszenie nietykalności cielesnej policjanta. Lewica chciała zgasić patriotyczne demonstracje, tymczasem rozpaliła narodowy gniew – od tej pory liczba uczestników marszu zaczęła lawinowo rosnąć. Tak rozpoczęło się zjawisko, którego reżyserem nie jest żaden polityk czy prawicowy działacz. Polacy ruszyli świętować niepodległość w takiej skali, która u polityków wszystkich opcji wywołała dezorientację, a wśród salonowych elit – blady strach.

LEWICOWE GASZENIE NIE DZIAŁA

– Wydaje się, że marsz jest zjawiskiem innego porządku niż politycznego – mówi tygodnikowi „Sieci" prof. Andrzej Zybertowicz, socjolog, doradca prezydenta RP. – Istotnym elementem każdej polityki jest wypracowanie kompromisu, a dla wielu uczestników marszu ta manifestacja polskości jest bezkompromisowa – dodaje.

Faktycznie członkowie każdej z sejmowych opcji byli ostrożni w komentowaniu wydarzenia. Lewicę oficjalnie razi brak poczucia bezpieczeństwa i właśnie bezkompromisowość.

– Nie wybieram się na marsz przede wszystkim dlatego, że jeśli zostanie zorganizowany, to będzie to nielegalne zgromadzenie, takie jest bowiem rozstrzygnięcie sądu, ale i z obawy o bezpieczeństwo – odpowiada Karolina Pawliczak, posłanka z Nowej Lewicy. – Na wielu poprzednich marszach doszło do aktów wandalizmu i choć nie dotyczy to wszystkich uczestników, to jednak te incydenty odstraszają. Chciałabym, aby było to święto wszystkich Polek i Polaków, a dziś zawłaszczone jest głównie przez narodowców i skrajną prawicę.

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Pawliczak przekonuje, że takie ekscesy stają się w Polsce symbolem obecnych czasów, w których „jest przyzwolenie na agresję, zwłaszcza ze strony polityków prawicy".

Na marsz przyjeżdżają także przedstawiciele różnych organizacji z innych krajów Europy, a co jakiś czas w stutysięcznym tłumie znajduje się ktoś, kto wda się w przepychanki. Nie zapominajmy jednak, że na 11 listopada przybywają jeszcze inni, specyficzni goście. Ultralewacka Antifa, która jest szkolona do walk ulicznych, kilkukrotnie wzniecała bójki i zadymy, a środowiska kibicowskie uczestniczące w marszu nie przyglądały się temu bezczynnie. Prasa naszego zachodniego sąsiada już w 2011 r. przyznawała, że środowiska anarchistyczne przyjeżdżają z Niemiec, by „walczyć z faszyzmem". I znów próba stłumienia parady biało-czerwonych flag była kontrskuteczna – rok później uczestników było dwa razy więcej.

PATRIOTYZM BEZKOMPROMISOWY

Teza Zybertowicza o bezkompromisowości wielu uczestników Marszu Niepodległości potwierdza się w rozmowach z kolejnymi politykami. Marek Dyduch, wiceprzewodniczący Nowej Lewicy, dawniej członek PZPR, nie widzi tam dla siebie miejsca: – Jak dla mnie jest tam za dużo skrajności i radykalizmu, a właściwie wykluczenia środowisk lewicowych i obraźliwych haseł kierowanych do tej strony politycznej. Dla mnie to jest przerażające – wyznaje tygodnikowi „Sieci". Polityk liczy na złagodzenie dyskusji: – Chciałbym, żeby Polska była krajem tolerancyjnym, w którym będzie można obchodzić święta w sposób pokojowy. Z kolei nie podzielam chęci do zakazania marszu, bo to jest druga skrajność, która udowadnia, że w Polsce jest za mało dialogu i to jest jednym z głównych grzechów życia publicznego. Takie wydarzenia jak ta manifestacja przyczyniają się tylko do wzrostu nieufności w społeczeństwie – komentuje.

Strategią umiarkowanej lewicy od lat jest łagodzenie języka – już w latach 90. stare SLD rozmywało kwestie rozliczeń z czasów PRL, aby uniknąć dyskusji wokół – także własnej – przeszłości.

Faktycznie 11 listopada na ulicach Warszawy słychać antykomunistyczne czy antylewackie hasła: „Nie czerwona, nie tęczowa, tylko Polska narodowa" – rozbrzmiewa nieraz. „Śmierć wrogom ojczyzny" – oto jeden z napisów na którymś z transparentów. Lewica może mieć jednak problem w dyskusji nad tym hasłem, było ono bowiem jednym z zawołań Narodowych Sił Zbrojnych – podziemnej organizacji, która w czasie II wojny światowej i zaraz po niej walczyła z Niemcami i z Sowietami. To tak jak w stanie wojennym ludzie Solidarności pocieszali się hasłem, że „na wiosnę, zamiast liści będą wisieć komuniści" – nie było w tym krzty przemocy.

Na przypomnienie bezkompromisowych haseł Robert Bąkiewicz uśmiecha się i mówi: – Trudno się dziwić, że na marszu nie ma jakiejś szczególnej sympatii do ludzi, którzy swoimi poglądami lewicowymi lub liberalnymi traktują tradycję i wspólnotę narodową jako wroga.

Narodowiec współorganizuje wydarzenie od kilku lat, ostatnio stał się jednym z głównych „wrogów publicznych" salonu III RP – atakowany za kontrmanifestację wobec Donalda Tuska czy zorganizowanie Straży Narodowej, broniącej kościołów w czasie ataków Strajku Kobiet. – Jeśli mamy w kraju ludzi, którzy nie są przywiązani do polskich wartości, to faktycznie Marsz Niepodległości może im nie pasować – mówi. Na brzmienie jego nazwiska wielu polityków podnosi głos.

Fot. Karol Makurat/Reporter

eprasa.pl 0bebdbdc49

„MARSZ DOBRY, ALE…”

Politycy szeroko rozumianego centrum odcinają się od tych obchodów w inny sposób. – W tym roku się nie wybieram, gdyż będę uczestniczył w uroczystościach w Krakowie – mówi Miłosz Motyka, rzecznik prasowy PSL. Polityk przyznaje, że do tej pory w ten sposób nie obchodził 11 listopada ze względu na udział w innych uroczystościach. – Ale – jak dodaje Motyka – nie miałbym problemu, żeby w marszu uczestniczyć, może z wyjątkiem 2019 r., gdy na wydarzenie zostali zaproszeni neofaszyści z Włoch. Rzecznik PSL stwierdza też, że w Polsce nie można zakazywać marszu pod biało-czerwoną flagą, choć wyraża zrozumienie dla obaw ratusza – że może dojść do zamieszek.

Jan Strzeżek, rzecznik Koła Parlamentarnego Porozumienie, nie pójdzie na marsz – jak przekonuje – ze względu na Bąkiewicza. – Zmieniały się twarze wydarzenia, ale ta obecna jest dla mnie nie do zaakceptowania. Bąkiewicz stał się symbolem zaostrzenia dyskusji politycznej, jego zagłuszanie przemówienia powstaniec warszawskiej Wandy Traczyk-Stawskiej czy skandaliczne wystąpienia jego ludzi na zgromadzeniu 1 sierpnia, tuż przed „godziną W”, mnie oburzają i zniechęcają.

Strzeżek ma na myśli przemówienia, w których narodowcy – w rocznicę powstania warszawskiego – ostro komentowali politykę Unii Europejskiej czy antycovidowe restrykcje. Padały hasła o Żydach, o nowej okupacji. – Bąkiewicz jest twarzą skrajnych emocji – przekonuje rzecznik.

Jeszcze ostrzej komentuje to Robert Kropiwnicki z Platformy Obywatelskiej. – Jest nieszczęściem, że organizacje nacjonalistyczne przyciągają zwykłych ludzi, przekonując ich, że są umiarkowani – mówi tygodnikowi „Sieci”. – Tymczasem na tej imprezie dominują takie hasła, jak „śmierć wrogom ojczyzny” czy „white power” – podsumowuje.

Dlaczego ze 100 tys. uczestników, rodzin z dziećmi, przyjezdnych z całej Polski, weteranów II wojny światowej, politycy mówią akurat o tej garstce?

COŚ GŁĘBSZEGO NIŻ POLITYKA

– Politycy zawsze powtarzają wyświechtane partyjne przekazy, ale w przypadku 11 listopada mają większy powód do zakłopotania – tłumaczy Zybertowicz. Profesor mówi, że poza złożeniem kwiatów nasi parlamentarzyści nie potrafią wiele więcej dodać do radosnego i dumnego święta.

Właściwie do tego przyznał się poseł Kropiwnicki. Na przypomnienie o orle z czekolady, którego prezydent Komorowski zaproponował na 11 listopada, polityk przyznaje, że ten pomysł był niefortunny, ale same obchody prezydenta Komorowskiego uważa za właściwe. – Głowa państwa składająca, wraz z przedstawicielami wszystkich partii, wieńce pod pomnikami wszystkich ojców niepodległości to właściwy kierunek – przekonuje. Poseł przyznaje przy tym, że faktycznie brakuje obchodów, w których mogliby uczestniczyć wszyscy Polacy. – Nie wypracowaliśmy formuły, w której i starsi, i dzieci, i rodziny mogliby razem świętować np. poprzez koncerty czy festyny – komentuje. – Jednak burdy i zadymy narodowców to nie jest wizja, która mnie przekonuje.

I znowu – politycy wskazują konkretne incydenty, czasem przejaskrawione przez media, czasem w ogóle nieprawdziwe, a nikt zdaje się nie pamiętać o skali i rozmachu niepodległościowego zgromadzenia.

NIE TYLKO NARODOWCY

Także członkowie i sympatycy Konfederacji miewają problem, by wznieść się ponad partyjne postrzeganie Marszu Niepodległości. 3 listopada Bąkiewicz delikatnie upomniał Ziemowita Przebitkowskiego, prezesa Młodzieży Wszechpolskiej, by nie odrzucał wsparcia innych polityków. Wszechpolak skrytykował organizatorów marszu, bo ci pochwalili się wsparciem Dariusza Mateckiego, kojarzonego z PiS. Bąkiewicz odpowiedział, że „kiedyś Młodzież Wszechpolska propagowała ideę »wszechpolską«, łączącą Polaków ponad podziałami, dziś te podziały tylko wzmacnia”.

Marsz Niepodległości, choć zaproponowany przez narodowców, nie stał się ich trampoliną do władzy. Ruch Narodowy wprowadził do Sejmu swoich przedstawicieli dopiero dekadę po sukcesie narodowych obchodów, po połączeniu z ludźmi Janusza Korwin-Mikkego, to nie marsze z 11 listopada im w tym dopomogły. Zdaje się, że na konfederacką wizję marszu Polacy odpowiedzieli szerszą propozycją demonstracji dumy narodowej. Z Robertem Winnickim, mimo dwukrotnego ustalenia terminu rozmowy, nie udało mi się skontaktować.

STOP NIEPODLEGŁOŚCI

Tegoroczny marsz stanął pod znakiem zapytania, gdy Rafał Trzaskowski odmówił zgody na wydarzenie. – Nie wiem, czy marsz się odbędzie, a w każdym razie nie wiem, czy odbędzie się w sposób legalny, bo na tę chwilę nie został zarejestrowany – komentuje Monika Beuth-Lutyk, rzeczniczka ratusza. – Wniosek organizatorów nie spełniał wymagań formalnych – dodaje. – Został on zgłoszony do wojewody jako impreza cykliczna, a tymczasem w zeszłym roku marsz nie odbył się legalnie, zatem cykl został przerwany i nie ma podstaw do rejestracji w tym trybie – co potwierdził sąd. Przepisy są precyzyjne w tej sprawie.

Bąkiewicz na wspomnienie tego argumentu znowu się ironicznie uśmiecha. – Stwierdzenie, że marsz nie jest imprezą cykliczną, jest absurdalne. To jest najsłynniejsza cykliczna manifestacja w Polsce, zdjęcia z marszu obiegają świat, a tu nagle władze Warszawy udają, że o tym nie wiedzą.

Beuth-Lutyk argumentuje inaczej: – Przedsięwzięcie powinno być zgłoszone jako wydarzenie zwykłe.

Urzędniczka jednocześnie przypomina inną decyzję Trzaskowskiego, która bezpośrednio uderza w organizatorów obchodów: – Prezydent Warszawy już w kwietniu złożył do sądu wniosek o delegalizację stowarzyszenia Marsz Niepodległości ze względu na narracje, hasła i zachowania, które towarzyszą wydarzeniom 11 listopada, jednak nie ma to związku z formalnymi działaniami wobec rejestracji wydarzenia w tym roku.

MARSZ 2021

Ale marsz się odbędzie. Organizatorzy zapowiadają „spontaniczny spacer”, czyli zachęcają do uczestnictwa. Któż zatrzyma Polaków w przechadzaniu się z biało-czerwonymi flagami?

– Nikt nie może nam odebrać możliwości manifestowania przywiązania do niepodległości i suwerenności państwa

eprasa.pl 0bebdbdc49

Fot. PAP/Leszek Szymański

polskiego, nawet jeśli to jest prezydent miasta stołecznego – mówi Bąkiewicz.

Nie tylko narodowcy zapowiadają obecność. Adam Borowski, antykomunistyczny opozycjonista, legenda warszawskiej Solidarności, mówi jasno: – Chodziłem co roku, bo nie chodziłem w „marszu Bąkiewicza", ale chodziłem w Marszu Niepodległości. Żałuję, że wśród organizatorów nie ma szerszego grona światopoglądowego, bo to jest świetny sposób świętowania. W tym roku pójdę tym bardziej, bo nie pozwolę na to, by ktokolwiek nam tego zabraniał.

Prof. Zybertowicz wśród uczestników marszu odnotowuje „odczucia metafizyczne". – Ta sytuacja, w której w marszu uczestniczą ludzie z małymi dziećmi, pokazuje ich chęć wzięcia udziału w sztafecie pokoleń. Czują się ogniwem w tej sztafecie i chcą, by ich dzieci były ogniwem następnym.

Socjolog porównuje takie świętowanie do obchodzenia Bożego Narodzenia, w którym przekazuje się młodym dawne obyczaje. Stwierdza też, że na marszu dostrzegamy poważny zasób kulturowy, którego bez szczegółowych badań nie da się naukowo zrozumieć. – Utrzymująca się popularność tego przedsięwzięcia świadczy o tym, że kulturowy gen polskości domaga się uznania swojej prawomocności i obecności. Zybertowicz porównuje tłumy z 11 listopada do tłumów manifestujących przeciwko stanowi wojennemu. – Wtedy wielu z nas nie wierzyło w zwycięstwo, ale gromadziliśmy się, żeby dać świadectwo naszego przywiązania do wolnej Polski.

Także Borowski kojarzy współczesne obchody z oporem przeciwko komunizmowi. – My przecież żyjemy w bardzo podobnym sporze. Wtedy walczyliśmy o Polskę, śniliśmy o niej, a dziś musimy jej bronić, bo chcą nam ją zwyczajnie zabrać – podkreśla.

KTO NAM ZATRUWA POLSKOŚĆ

Tymczasem od lat słuchamy wyzwisk. Na łamach „Gazety Wyborczej", w portalu Onet czy programach TVN porównuje się maszerujących do faszystów. Reporterka stacji za radykalne hasło uznała okrzyk: „Bóg, Honor, Ojczyzna", a kamerzyści pojawiają się tam po to, by uchwycić groźnie wyglądający kadr. Prof. Andrzej Friszke nazwał marsz „faszystowskim w całej swej istocie". Jak tłumaczyć te szalone obelgi wobec świętujących?

Prof. Jacek Kurzępa, socjolog, nakreśla sytuację jako zmagania części elit z narodem, stolicy z „Polską pozawarszawską". – Z jednej strony mamy naturalny i spontaniczny ruch społeczny wobec niepodległości, ważności i transmisji tego dziedzictwa, a z drugiej strony mamy inżynierię społeczną, próby zdyskontowania społecznego entuzjazmu do własnych celów. Raz przebija się ta pierwsza narracja, innym razem przeciwna – komentuje badacz.

Ta inżynieria społeczna to, jak twierdzi uczony, „instrumentalne wykorzystanie tematyki niepodległości przez przeciwstawne stronnictwa polityczne". Słowem – jedni politycy chcą się jakoś do marszu przyczepić, a inni pokazać go jako faszystowski, by przestraszyć część Polaków i zaciągnąć ich do swojego stronnictwa.

Kurzępa ostrzega, by na marsz nie patrzeć z perspektywy Warszawy: – Sprawa troski o niepodległość rozlewa się na całą Polskę, włącznie z Polską prowincjonalną, gminno-powiatową. Socjolog jednoznacznie ostrzega: – Boję się prowokacji, bo to, co tętni w naturalnym krwiobiegu narodu, w tej Polsce pozawarszawskiej, jest odgórnie zatruwane toksynami, ten spektakl warszawski budowany manipulacjami wokół marszu, ma nas zasmucić, zirytować, sprawić, że poczujemy się zagubieni.

Walka o Marsz Niepodległości to zatem coś więcej niż konkretne nazwiska, twarze czy organizacje. Narodowcy pozostawali osamotnieni w swoich marszach, dopóki z lewej strony nie poleciały na nich wyzwiska za noszenie biało-czerwonej flagi. Wtedy Polacy ruszyli z odsieczą, stając się gospodarzem Narodowego Święta Niepodległości, zaskakując polityków wszystkich opcji i demonstrując zakorzenienie w polskości, z którym od dekad walczą antypolskie grupy interesu. Może więc z naszym narodem, szarpanym przez zewnętrzne i wewnętrzne siły, nie jest jeszcze tak źle?

eprasa.pl 0bebdbdc49

Kłopot z patriotyzmem

Z patriotyzmem problem polega na tym, że albo traktuje się go poważnie, albo się go odrzuca. Nie da się go też rozciągnąć na całą Europę, bo nie ma czegoś takiego jak narodowość europejska. Można oczywiście zrozumieć, wręcz pochwalić postawę krytycznej troski o własny kraj, nie powinno to jednak oznaczać krytyki totalnej i odrzucenia własnej tożsamości. Dopóki nasze liberalne elity tego nie pojmą, dopóty będą – i słusznie – oskarżane o brak patriotyzmu

Fot. Michał Dyjuk/Reporter

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Patriotyzm (łac. patria – ojczyzna, gr. patriotes) – postawa szacunku, umiłowania i oddania własnej ojczyźnie oraz chęci ponoszenia za nią ofiar i gotowości do jej obrony. Patriotyzm to również umiłowanie i pielęgnowanie narodowej tradycji, kultury czy języka. Taka definicja pojawia się w internetowej Wikipedii po wrzuceniu do wyszukiwarki hasła „patriotyzm". Jeśli przyjąć ją za obowiązującą i poprawną, a nie ma powodu, aby uważać inaczej, to wynika z tego, że z patriotyzmem mamy dziś w Polsce kłopot. Właściwie nie tyle my – jako cała zbiorowość Polaków – ile przynajmniej

eprasa.pl 0bebdbdc49

jej pewna część. Ta część, która polskości się wstydzi i uważa ją za obciążenie.

Najpewniej wynika to z naszej historii i położenia między dwoma znacznie silniejszymi sąsiadami: Niemcami i Rosją, które na przestrzeni wieków dążyły – niestety dość skutecznie – do zwasalizowania Polski. Brak własnego państwa lub – w zależności od epoki – jego słabość, podporządkowanie innym, zadziałały tu w dwojaki sposób: u jednych stworzyły podłoże pod postawy wojowniczego sprzeciwu, a wśród drugich wywołały rezygnację i kompleksy, prowadzące niekiedy do odrzucenia swojej tożsamości.

Dążenie do zmycia z siebie polskiego „piętna" objawia się najczęściej bezkrytycznym naśladownictwem cudzej, uważanej za lepszą, kultury i prowadzi do nadgorliwej służalczości wobec obcego suwerena. Widać to także w języku, w mówieniu o Polsce jako o „tym kraju" i o Polakach w trzeciej osobie. Można to porównać do postawy prezentowanej przez część ludzi z awansu społecznego, którzy uciekają od swoich korzeni i bezmyślnie łykają każdą brednię podsuniętą im przez elity, bo wydaje im się, że dzięki temu poprawią swój status i ukryją w ten sposób swoje „niskie" pochodzenie.

TRYBIK W CUDZEJ MASZYNIE

Ktoś powie, że nie ma nic złego w tym, że ludzie chcą podwyższać swój status. To prawda, pod warunkiem jednak, że nie prowadzi to do utraty samodzielnego myślenia. Pół biedy, jeśli dotyczy to zafascynowanego wielkim światem korporacyjnego leminga, spełniającego się w życiu dzięki zakupowi nowego modelu auta i mieszkania w apartamentowcu. On i tak jest niewiele znaczącym i niewiele rozumiejącym trybikiem w cudzej maszynie. Jeżeli jednak taka postawa – trybiku w cudzej maszynie – zaczyna dominować wśród opiniotwórczych elit: ludzi nauki, kultury czy polityków, to wówczas wkraczamy, jako państwo i społeczeństwo, na równię pochyłą. Bo oznacza to, że te elity są po prostu kiepskie i nie widzą we własnym pochodzeniu oraz we własnej kulturze niczego, co mogłoby mieć szczególną wartość. Są za to gotowe – niekoniecznie z materialnych powodów, choć i one często odgrywają tu rolę – do przyjmowania cudzych wzorców i ideologii, dzięki czemu zdołają – jak sądzą – doszlusować do postępowych europejskich salonów. Co więcej, w odróżnieniu od wspomnianego leminga robią to w pełni świadomie.

To m.in. stąd biorą się te wszystkie histeryczne nagonki na „populistyczny, pisowski reżim", który prześladuje mniejszości seksualne oraz kobiety (czytaj: sprzeciwia się uznaniu związków homoseksualnych za małżeństwa oraz aborcji na życzenie), wysługuje się klerowi (czytaj: broni tradycyjnej kultury), nie otwiera szeroko granic przed imigrantami ani nie przeprasza za grzechy przeszłości (czytaj: broni Polski przed fałszywymi zarzutami udziału w Holokauście).

Liberalny mainstream, który trzęsie dziś Zachodem i do którego tak wzdychają nasze biedaelity, jest oparty na wyznaniu wiary, bo chyba tak to trzeba nazwać, we wszystkie progresywne przesądy: od genderyzmu i ideologii woke, poprzez ekofanatyzm, na wielokulturowości kończąc. Trzeba to połknąć w całości i niczego nie roztrząsać. Najlepiej w ogóle nie myśleć. Bo nie ma tu miejsca na żadne kulturowe odrębności czy narodową tożsamość, która jest tolerowana jedynie jako folklor (i to regionalny, broń Boże narodowy). Jakiekolwiek wątpliwości lub odwoływanie się do narodowych tradycji, poczucia dumy czy patriotyzmu jest więc traktowane jako nacjonalistyczna, faszystowska prowokacja zakłócająca marsz ku świetlanej przyszłości i jedności rodzaju ludzkiego.

> Stawką obecnej walki o władzę w Polsce jest de facto przetrwanie polskiej tożsamości w jej dotychczasowym, tak znienawidzonym przez liberałów, wydaniu

Wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje każdego roku w dniu Święta Niepodległości. To smutne, że ten dzień, zamiast być okazją do chwilowego rozejmu, staje się pretekstem do przepychanek i burd. Nic jednak dziwnego, skoro – wydawałoby się neutralna politycznie – kwestia patriotyzmu i niepodległości stała się przedmiotem ostrego, ideologicznego sporu wywołanego, co trzeba podkreślić, przez nasze, aspirujące do zachodniego mainstreamu i wstydzące się polskości liberalne elity.

STOPIENIE Z ZACHODEM

Polskość, w rozumieniu liberalnych elit, powinna być czymś w rodzaju góralskiego kapelusza sprzedawanego na podhalańskich targach. Można go kupić, założyć na głowę do zdjęcia, a po powrocie do domu odłożyć do szafy lub wyrzucić do kosza. Ot, taka zabawna, niezobowiązująca pamiątka, której nikt przecież nie bierze na poważnie. Patriotyzm zaś – jeżeli już użyć tego pojęcia – powinien się opierać na modernizacji państwa, ale nie tylko w materialnym znaczeniu, lecz przede wszystkim kulturowym, tak aby definitywnie się wtopić w Zachód i zlikwidować w ten sposób dzielące nas odrębności. Dopiero wtedy – jak twierdzą liberałowie – wyzwolimy się z historycznej niemocy i staniemy się pełnoprawną częścią europejskiego społeczeństwa, co ma nam zapewnić pomyślność i bezpieczeństwo na wieki. Nasza tożsamość ma być „nowoczesna" europejska, a nie „zacofana" polska.

Dążenie liberalnych elit do redefinicji polskości – bez względu na ich intencje – osłabia nasze państwo i jest oczywiście znakomicie rozgrywane za naszymi granicami. Bo to nie jest tak, jak zdają się sugerować progresiści, że nasze wtopienie się w Zachód – oczywiście po wcześniejszej ekspiacji za wszystkie wyimaginowane grzechy oraz po intensywnym kursie bycia nowoczesnymi Europejczykami – automatycznie zniweluje dzielące nas różnice i podwyższy tym samym nasz status. Przecież to nie my rozdajemy karty w tej grze i to nie my mamy być jej beneficjentami. Czy ktokolwiek się spodziewa, że Niemcy, Francuzi czy Holendrzy dadzą się tak łatwo „stopić" z sobą? Przeciwnie, to my, „barbarzyńcy" z Europy Środkowo-Wschodniej, mamy być przez te narody „cywilizowani", asymilowani

eprasa.pl 0bebdbdc49

i „stapiani". A zatem jeśli ktokolwiek ma się wyłonić na końcu tej drogi, to nie tyle będzie nim Polak przekształcony w Europejczyka, ile raczej Polak zasymilowany przez inne narody.

My będziemy mieli swoje góralskie kapelusze, a oni swoją kulturę, język, literaturę oraz technologię. Łatwo dostrzec, kto będzie miał większe aktywa. Różnice między nami nie tylko się nie zmniejszą, lecz zamienią w trudną do pokonania przepaść. Wtedy bycie Polakiem rzeczywiście może się stać powodem poważnej frustracji. Ale może o to właśnie chodzi?

POSTAWA KUJONA

Na ten proces nakłada się jeszcze bieżąca gra polityczna. Głównym orężem opozycji w walce z rządem PiS jest wsparcie europejskich instytucji niemal w całości już zmonopolizowanych przez liberalny mainstream. Instytucje unijne od chwili zwycięstwa PiS w 2015 r. wspierały opozycję, ale początkowo unikały otwartego zaangażowania w wewnętrzne spory w Polsce. Dopiero naciski wywierane na unijnych polityków przez liderów opozycji oraz ich niezdolność do pokonania PiS w demokratycznych wyborach spowodowały, że Unia włączyła się do politycznej wojny w Polsce, nie bacząc na to, że w konsekwencji może to doprowadzić do osłabienia ciągle wysokiego poparcia Polaków dla członkostwa w UE. Być może dlatego, że kampania wojenna ma być krótka.

Wspólnym celem unijnych polityków oraz naszej opozycji jest doprowadzenie do jak najszybszej zmiany władzy w Polsce. Jak przyznał niedawno „Der Tagesspiegel", „najłatwiejszym sposobem rozwiązania konfliktu z Polską byłaby przegrana PiS w kolejnych wyborach i dojście do władzy sił proeuropejskich". Sił proeuropejskich, a więc takich, które otwarcie podporządkowałyby się Unii, oczywiście w ramach „stapiania się" Polski z Zachodem. Politycznie oznaczałoby to w praktyce zwasalizowanie Polski przez Niemcy. Stawką obecnej walki o władzę w Polsce jest więc de facto przetrwanie polskiej tożsamości w jej dotychczasowym, tak znienawidzonym przez progresistów, wydaniu.

Skoro jednak ta obecna polskość nie jest – zdaniem liberalnych elit – warta obrony, to nie ma żadnego powodu, aby dla niej poświęcać własne przywileje lub kariery. Przeciwnie, jedynie postawa uległości lub – jak to się ładnie mówi – internalizacja cudzych wzorców jest najlepszą gwarancją zachowania wysokiej pozycji albo udanej wspinaczki w górę.

Pokaz takiej strategii dał nam niedawno były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, który podczas odbierania nagrody w Getyndze, posługując się cytatem z „Małego Księcia", bez najmniejszego zażenowania porównał Polaków do „dzikiego zwierzęcia", za które Niemcy powinni „wziąć odpowiedzialność". „Polska kultura prawna i przemiany po 1989 r. zostały zainspirowane i były wspierane przez niemiecką myśl prawniczą – umizgiwał się zupełnie bez podstaw w faktach Bodnar. – Na tym opierało się konstruowanie w Polsce nowoczesnego państwa prawa, mechanizmów ochrony praw człowieka i demokracji. Na tym opieraliśmy naszą integrację europejską. Ale to powoduje – po stronie mentora – także szczególną odpowiedzialność. Jak w przypowieści z »Małego Księcia«. Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić".

> Dążenie liberalnych elit do redefinicji polskości – bez względu na ich intencje – osłabia nasze państwo i jest skutecznie rozgrywane za naszymi granicami

Zatem – jak można wyczytać ze słów Bodnara – Niemcy są naszym mentorem, a my zwierzątkiem lub uczniem, który powinien pilnie słuchać poleceń nauczyciela.

Oczywiście takie słowa są jak miód dla uszu Niemców, którzy dokładnie tak postrzegają swoją „cywilizacyjną" misję wobec wschodnich sąsiadów, i Bodnar o tym dobrze wie. Podobnie jak Donald Tusk, który wcześniej popisał się równie hołdowniczą przemową wobec CDU. A jeszcze wcześniej Radosław Sikorski, który jako minister spraw zagranicznych w rządzie PO-PSL nawoływał Niemcy do wzięcia większej odpowiedzialności za Europę.

Ktoś kiedyś zauważył (niestety, nie pamiętam kto), że postawa, jaką prezentuje Bodnar czy Tusk, nie jest – jak twierdzi część prawicowego elektoratu – postawą zdradziecką, lecz raczej postawą kujona, który bardzo chce zasłużyć na pochwały pani nauczycielki. Jednak niezależnie, jak to nazwać, jest to ewidentnie postawa bezwarunkowego podporządkowania, nieudolnie tylko zamaskowana kilkoma sloganami o europejskiej solidarności, jedności i praworządności.

WIARYGODNY JAK CZEKOLADOWY ORZEŁ

Oczywiście opozycja, przynajmniej ta bardziej centrowa, ma z tym kłopot. Bo bardzo drażnią ją padające z prawej strony ciężkie porównania do targowicy. Próbuje więc przekonywać, chyba wyłącznie swoich zwolenników, że wszystko co robi, robi wyłącznie z troski o przyszłość Polski. To dlatego PO wyciągnęła ostatnio na forum publiczne atakującą PiS uczestniczkę powstania warszawskiego Wandę Traczyk-Stawską, po to aby odebrać prawicy, choć raczej bez większego powodzenia, monopol na patriotyzm. Także dlatego Donald Tusk opowiadał w Płońsku o znaku krzyża wykonywanym nad bochenkiem chleba. Wszystko to jednak jest równie przekonujące jak różowe okulary na nosie Tomasza Nałęcza i czekoladowy orzeł z czasów prezydentury Bronisława Komorowskiego.

Z patriotyzmem problem polega na tym, że albo traktuje się go poważnie, albo się go odrzuca. Nie da się go też rozciągnąć na całą Europę, bo nie ma czegoś takiego jak narodowość europejska. Można oczywiście zrozumieć, wręcz pochwalić postawę krytycznej troski o własny kraj, nie powinno to jednak oznaczać krytyki totalnej i odrzucenia własnej tożsamości. Dopóki nasze liberalne elity oraz związana z nimi część opozycji tego nie pojmą, dopóty będą – i słusznie – oskarżane o brak patriotyzmu.

Reklama | 1/0321/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

ORLEN

Całym *sercem* zaśpiewajmy

W południe **11 listopada** zaśpiewajmy wspólnie hymn – w ramach akcji

„Niepodległa do hymnu!"

niepodległa

eprasa.pl 0bebdbdc49

„Partia Niemiecka” w Polsce

Po powrocie Donalda Tuska Polska znowu ma się stać najbardziej proniemiecką częścią Unii Europejskiej

STANISŁAW JANECKI

Fot. Andrzej Wiktor

Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich w latach 2015–2021, wygłaszający w Niemczech kuriozalne tezy o tym państwie jako swego rodzaju właścicielu (panu) oswojonego przez siebie dzikiego zwierzęcia (Polski), więc zobowiązanego do szczególnej opieki na tym zwierzęciem (co ma wynikać z metafory zawartej w „Małym Księciu”), nie jest wyjątkiem ani ekstrawagancją. Laureat nagrody Dialog-Preis (za 2020 r., przyznanej jednak dopiero w październiku 2021 r.) wpisuje się na długą listę publicznych osobistości z Polski, które nie tylko czują szczególną zależność od Niemiec, ale są wdzięczne za tę podległość. Ma ona bowiem ustanawiać wyższe standardy w każdej dziedzinie (Bodnarowi chodziło akurat o prawo) i awansować Polskę cywilizacyjnie. Dlatego wobec Niemiec jako dobrodzieja i awangardy postępu wymagana jest szczególna lojalność.

I ta lojalność jest gorliwie demonstrowana, szczególnie wtedy, gdy między Polską a Niemcami dochodzi do konfliktu interesów bądź polski premier czy prezydent wypowiadają się krytycznie o Niemczech, ich przywódcach i ich działaniach. Wtedy obiektem ataków stawali się prezydenci Lech Kaczyński i Andrzej Duda oraz premierzy Jarosław Kaczyński, Beata Szydło i Mateusz Morawiecki. Nigdy Helmut Schmidt, Helmut Kohl, Angela Merkel czy Horst Köhler, Christian Wulff albo Frank-Walter Steinmeier. Całkiem liczne środowiska w Polsce tworzą coś, co można by nazwać „Partią Niemiecką” w Polsce. Do tego stopnia, że interesy Niemiec bywają dla niej ważniejsze niż los własnego kraju. A aktów strzelistych wobec Niemiec wygłaszanych przez Tadeusza Mazowieckiego, Donalda Tuska, Radosława Sikorskiego czy ostatnio Adama Bodnara próżno szukać pośród niemieckich polityków.

Niemiecka partia w Polsce powstała tuż po 1989 r., a skutkiem jej działania były nierówne prawa przyjęte w traktacie o dobrym sąsiedztwie w 1991 r. To w tym traktacie Polska uznała prawa niemieckiej mniejszości i obdarowała ją przywilejami, łącznie z miejscami w Sejmie na specjalnych warunkach, i finansowaniem nauki niemieckiego. A Polacy w Niemczech zostali „porzuceni". Władze Niemiec nawet nie zechciały anulować „bandyckich" dekretów Göringa z 1940 r., bezprawnie odbierających polskim organizacjom w Niemczech majątek, w tym wartościowe nieruchomości.

DOBRZY NIEMCY, ŹLI POLACY

Gdy na początku września 2017 r. ówczesna premier Beata Szydło w wywiadzie dla tygodnika „Sieci" powiedziała: „Jeżeli w interesie Niemiec będzie osłabienie Polski, to PO zrobi wszystko, czego od niej zażądają", natychmiast rzucili się na nią politycy Platformy oraz dziennikarze z odwodów tej partii. Borys Budka stwierdził: „Będę namawiał zarząd PO do złożenia pozwu przeciwko Beacie Szydło". A Tomasz Siemoniak napisał na Twitterze: „Sugerowanie przez premier Szydło, że PO działa w interesie Niemiec, absolutnie haniebne. Żałosna marionetka!". Tyle tylko, że haniebne i żałosne jest akurat uznawanie niemieckiej hegemonii i polskiej podległości. Taka pozycja „Partii Niemieckiej" w Polsce była skutkiem pomocy finansowej z Niemiec, szkoleń, stypendiów i grantów. Skutkiem urabiania ważnych polityków i liderów opinii, co wiązało się z zapraszaniem ich na wysoko płatne wykłady czy telewizyjne debaty. Wiązało się z wydawaniem książek w Niemczech, zamawianiem artykułów w poczytnych gazetach, organizowaniem wystaw. Wiązało się też z budowaniem wysokiej pozycji społecznej poprzez przyznawanie odznaczeń, wręczanie nagród, zapraszanie w roli ekspertów, szczególnie w ramach programów niemieckich fundacji oraz niemieckich instytucji kulturalnych i edukacyjnych. Wreszcie wiązało się to z „pompowaniem" niektórych polityków z Polski (zarówno w niemieckich mediach, jak i poprzez dyplomację), czego najlepszym dowodem jest wypromowanie w 2014 r. Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej, a wcześniej (w 2009 r.) Jerzego Buzka na przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. W efekcie po przejęciu władzy w Polsce przez Platformę Obywatelską (16 listopada 2007 r.) różne niemieckie instytucje i media zaczęły pełnić funkcję biura karier wobec polityków z Polski oraz wobec ludzi kultury czy nauki.

> Za uzyskiwaną pomoc i wsparcie „Partia Niemiecka" w Polsce odwdzięcza się obroną niemieckich interesów, przeważnie pod szyldem europejskich wartości. I tak np. przez prawie całe lata 90. lansowała landowy model samorządu w Polsce, forsowała model rozwoju naszego kraju jako zaplecza Niemiec

Utrwalanie zależności Polski od Niemiec kulminowało 28 listopada 2011 r., gdy specjalny odczyt, zwany od tego czasu „hołdem berlińskim", wygłosił ówczesny szef MSZ oraz wiceprzewodniczący PO Radosław Sikorski. „O co prosimy Niemcy?" – pytał Sikorski. I odpowiadał: „Z racji rozmiarów i historii waszego kraju, ponosicie specjalną odpowiedzialność, aby chronić pokój i demokrację na naszym kontynencie. [...] Największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa i dobrobytu Polski byłby upadek strefy euro. I domagam się od Niemiec tego, abyście – dla dobra waszego i naszego – pomogli tej strefie euro przetrwać i prosperować. Dobrze wiecie, że nikt inny nie jest w stanie tego zrobić. Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: Mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa". Sikorski przyznał Berlinowi historyczną misję przewodzenia Europie. W komentarzach pojawiły się nawiązania do Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego we współczesnej wersji, czyli plan przerobienia Unii Europejskiej w niemiecką Europę.

NIEMIECKA POŻYCZKA

Zapowiedź tego, co o roli Niemiec sądzi nie tylko rząd Donalda Tuska, lecz ówczesny mainstream polskiej polityki, czyli szerokie zaplecze „Partii Niemieckiej" w Polsce, mieliśmy 6 października 2011 r. Wówczas byli ministrowie spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski, Włodzimierz Cimoszewicz, Andrzej Olechowski, Dariusz Rosati i Adam Rotfeld napisali list, w którym wystąpili przeciw byłemu premierowi własnego państwa Jarosławowi Kaczyńskiemu, a w obronie szefa obcego rządu – kanclerz Angeli Merkel. Napisali m.in.: „Jako byli szefowie dyplomacji niepodległej RP czujemy się w obowiązku wyrazić głęboki sprzeciw wobec ostatnich wypowiedzi prezesa Jarosława Kaczyńskiego o stosunkach polsko-niemieckich. Szczególny niepokój budzi insynuacja, że wybór na urząd kanclerza pani Angeli Merkel »nie był wynikiem czystego zbiegu okoliczności«, oraz zdanie: »ważne jest, że od Polski Merkel chce przede wszystkim może miękkiego, ale jednak podporządkowania«". Miało to być „dla Polski szkodliwe", gdyż „kanclerz Merkel osobiście należy do najbardziej Polsce przychylnych polityków niemieckich". Wobec tego „czujemy moralny obowiązek powiedzenia Pani Kanclerz Merkel: solidaryzujemy się z Panią". Prominentni członkowie „Partii Niemieckiej" w Polsce oczekiwali, że

eprasa.pl 0bebdbdc49

przywódca obcego państwa naprawi ułomną polską demokrację, odsunie od władzy tych, którzy zostali wybrani, i zastąpi ich kimś, z kogo Angela Merkel będzie zadowolona.

W kwietniu 2014 r. ukazał się wywiad rzeka „Między nami liberałami", w którym były ważny działacz Platformy Obywatelskiej Paweł Piskorski mówił m.in., iż był świadkiem, jak na początku lat 90. Kongres Liberalno-Demokratyczny, kierowany przez Donalda Tuska, otrzymał milion marek od niemieckiej CDU. Formalnie była to pożyczka, a de facto darowizna. Pytany o ten milion marek współzałożyciel PO Andrzej Olechowski stwierdził: „Pieniądze mogły być, bo wtedy pieniędzy zagranicznych było w Polsce dużo". W związku z tym Krzysztof Wyszkowski, na początku lat 90. członek KLD, złożył 4 marca 2016 r. zawiadomienie do prokuratora generalnego „o podejrzeniu popełnienia przestępstwa zdrady głównej na rzecz RFN przez Donalda Tuska; dowód: pobieranie pieniędzy od BND". Inny były działacz PO Janusz Palikot twierdził z kolei, że przed 2005 r. Donald Tusk był szkolony przez specjalistów pracujących dla CDU i po to wyjeżdżał do Niemiec. Nie dziwi zatem, że po 16 listopada 2007 r. polska polityka zagraniczna zaczęła podlegać coraz większej konwergencji z niemiecką. Kiedy 3 września 2017 r. wiceprzewodniczący PO Tomasz Siemoniak oburzał się na premier Beatę Szydło za słowa o „działaniu PO w interesie Niemiec", historyk z Instytutu Zachodniego prof. Stanisław Żerko tak to skomentował: „Ująłbym to inaczej: PO jest partią mocno proniemiecką, mało skłonną forsować polskie interesy, gdyby wymagało to konfrontacji z Berlinem". Wydawany wtedy przez niemieckiego Springera „Newsweek Polska" 13 listopada 2011 r. opublikował artykuł „Donald Merkel. Żywoty równoległe", gdzie pokazano daleko idące podobieństwo, taką samą „polityczną ewolucję", „chemię" i „przyjaźń" obojga polityków.

POLSKI HUB

Przez lata proniemieccy polscy politycy oraz liderzy opinii byli dopieszczani przez niemieckie fundacje, przede wszystkim powiązaną z CDU Fundację Konrada Adenauera, bogatą Fundację im. Roberta Boscha, związaną z FDP Fundację im. Friedricha Neumanna oraz związaną z SPD Fundację im. Friedricha Eberta. Z fundacji Boscha 132 tys. marek otrzymał np. pod koniec lat 90. Władysław Bartoszewski – na przygotowanie i wydanie książki. Pieniądze na ten projekt wpływały także wtedy, gdy Bartoszewski był szefem polskiego MSZ (czyli po 30 czerwca 2000 r.). Niemieckie fundacje wciąż promują wybranych polityków, naukowców, ludzi kultury czy liderów opinii.

Za uzyskiwaną pomoc i wsparcie „Partia Niemiecka" w Polsce odwdzięcza się obroną niemieckich interesów, przeważnie pod szyldem europejskich wartości i świetlanej przyszłości UE pod niemieckim przywództwem. „Partia Niemiecka" w Polsce przez prawie całe lata 90. lansowała landowy model samorządu w Polsce, związanie polskich regionów zachodnich z Niemcami. Forsowała model rozwoju naszego kraju jako zaplecza Niemiec: hubu dostarczającego podzespoły, tanią siłę roboczą, tworzącego magazyny i odpowiednią logistykę. Dążyła do oparcia na Niemczech nie tylko polskiej polityki i gospodarki, lecz również kultury i obyczajów, a przede wszystkim mediów, które wręcz stały się w dużej części niemieckie. „Partia Niemiecka" w Polsce apogeum swoich wpływów osiągnęła w latach 2007–2014 – za rządów Donalda Tuska. A powrót Tuska do polskiej polityki w lipcu 2021 r. ma wpływy niemieckie przywrócić i uprawomocnić. Oczywiście chodzi o wpływy pozytywne cywilizacyjnie i wzorcowe pod względem prawnym czy ustroju państwa. O utracie suwerenności czy niepodległości w ogóle się nie mówi.

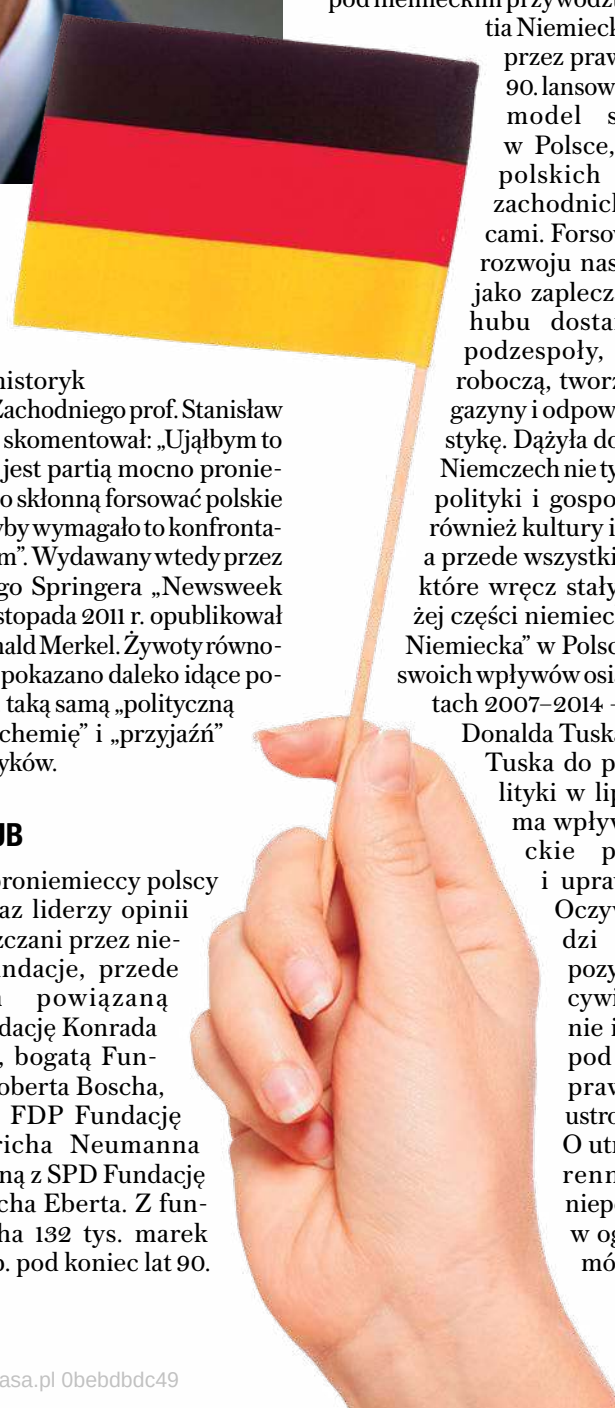

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com; Shutterstock

Reklama | 69/0821/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

PRZYSZŁOŚĆ JEST
Z MIEDZI

www.kghm.com

KGHM POLSKA MIEDŹ

Wierzymy, że przyszłość jest z miedzi! Miedź jest trwała, odporna na rdzę, doskonale przewodzi ciepło i elektryczność. To surowiec niezbędny w fotowoltaice, energetyce wiatrowej, przemyśle motoryzacyjnym, medycynie oraz innych gałęziach nowoczesnego przemysłu. KGHM to Odkrywca – Gigant – Wizjoner. Działalność wydobywczą i przetwórczą prowadzimy od 60 lat, będąc w niej globalnym liderem. Z pasją i wizją budujemy potęgę KGHM na całym świecie.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Dramat w Pszczynie

Tą tragedią żyje cała Polska. To nie miało prawa się zdarzyć. 22 września w Szpitalu Powiatowym w Pszczynie zmarła 30-letnia kobieta, która była w 22. tygodniu ciąży. Osierociła córkę. Wszystkie okoliczności tej śmierci muszą być wyjaśnione ponad wszelką wątpliwość

DOROTA ŁOSIEWICZ

Kobieta zgłosiła się do szpitala z żywą ciążą z powodu odpłynięcia płynu owodniowego. „Przy przyjęciu stwierdzono bezwodzie i potwierdzono zdiagnozowane wcześniej wady wrodzone płodu. W toku hospitalizacji płód obumarł. Po niespełna 24 godzinach pobytu w szpitalu zmarła także pacjentka. Przyczyną śmierci był wstrząs septyczny. Zmarła pozostawiła męża i córkę" – brzmi fragment komunikatu, który opublikowała w poniedziałek pełnomocniczka rodziny zmarłej kobiety Jolanta Budzowska.

„GORĄCZKA WZRASTA, OBY NIE DOSTAĆ SEPSY"

Nim 30-latka trafiła do szpitala, spędzała czas ze swoją córką, która, jak ustaliła stacja TVN, przewróciła się podczas zabawy i dostała krwotoku z nosa. Pani Iza, bo tak miała na imię kobieta, pojechała z dzieckiem do szpitala do Bielska-Białej. Prawdopodobnie z emocji i stresu pani Izie odeszły wody, o czym poinformowała mamę. Także o tym, że do szpitala ma trafić następnego dnia.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Fot. Kasia Zaremba / Super Express

Fot. Google.com / Hair Izabela S.

„Z badań, które wykonała na początku września, wynikało, że dziecko może mieć liczne wady. Mimo tego zdecydowała się donosić ciążę" – powiedziała „Uwadze" TVN mama zmarłej. Rodzina poinformowała media, że kobieta już w trakcie pobytu w szpitalu relacjonowała rodzinie, iż lekarze przyjęli wobec niej postawę wyczekującą. Powstrzymywali się od opróżnienia jamy macicy do czasu obumarcia płodu, co pacjentka wiązała z obowiązującymi przepisami ograniczającymi możliwości legalnej aborcji. „Gorączka wzrasta, oby nie dostać sepsy, bo stąd nie wyjdę" – pisała do rodziny. Napisała też do mamy: „Dziecko waży 485 gramów. Na razie dzięki ustawie aborcyjnej muszę leżeć. I nic nie mogą zrobić. Zaczekają, aż umrze lub coś się zacznie, a jeśli nie, to mogę spodziewać się sepsy. Przyspieszyć nie mogą. Musi albo przestać bić serce, albo coś się musi zacząć".

DLACZEGO NIE RATOWALI MATKI?!

W tej sprawie kontrolę wszczął Narodowy Fundusz Zdrowia, by ocenić prawidłowość udzielonych zmarłej świadczeń leczniczych oraz zajęła się nią prokuratura Prokuratura Regionalna w Katowicach. Nim jednak coś ustalono ponad wszelką wątpliwość, część środowisk politycznych ruszyła do ataku i błyskawicznie znalazła winnego: „Śmierć kobiety w terminalnej ciąży w wyniku nieludzkiego prawa i prokuratury w rękach fanatyków. Czy może być większa ohyda tych rządów, które mają na ustach frazesy, a spowodowały lęk przed ciążą Polek?". Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny zorganizowała akcję pod hasłem #AniJednejWięcej. W wielu miejscach w Polsce zapłonęły znicze. „Co za manipulacja związana ze śmiercią kobiety w 22. tygodniu ciąży! Manipulatorzy chcą doprowadzić do powtórzenia sprawy irlandzkiej sprzed kilku lat. Upowszechniane są fałszywe informacje" – napisał na Facebooku prof. Bogdan Chazan.

Dlatego kluczowa jest odpowiedź na pytanie, dlaczego lekarze nie ratowali życia kobiety, skoro i lekarze, i ona, co jasno wynika z esemesów, zdawali sobie sprawę z zagrożenia życia pacjentki. A przecież w takiej sytuacji lekarze mają obowiązek ratować matkę kosztem dziecka. Przypomnijmy, że przepisy prawa dotyczącego aborcji zostały zmienione na skutek wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. Wcześniej obowiązująca od 1993 r. Ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży zezwalała na dokonanie aborcji w trzech przypadkach: w sytuacji, gdy ciąża stanowiła zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety, gdy ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego (gwałt, kazirodztwo) oraz w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Jedynie ta ostatnia przesłanka została uznana przez Trybunał za niekonstytucyjną, ale nie ma wątpliwości, że przepisy nadal dopuszczają możliwość przerywania ciąży w przypadku, gdy stanowi ona zagrożenie dla życia i zdrowia kobiety, a także gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża jest skutkiem czynu zabronionego, m.in. gwałtu. Mimo tego lekarze woleli zwlekać.

TO BŁĄD MEDYCZNY

„Jestem daleka od sformułowania, że śmierć tej pacjentki to prosta konsekwencja wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Sformułowanie »konsekwencja« oznacza zależność przyczynowo-skutkową, czyli gdyby nie wyrok, to pacjentka by nie zmarła. O takim związku nie możemy tutaj mówić" – stwierdziła w rozmowie z Interią mecenas Jolanta Budzowska, pełnomocniczka rodziny zmarłej kobiety. Poinformowała także, że postępowanie przygotowawcze jest prowadzone pod kątem błędu medycznego. „Błąd

eprasa.pl 0bebdbdc49

medyczny może mieć różne tło, takie jak zła organizacja szpitala, przemęczenie lekarza, braki kadrowe czy dylemat lekarza, który boi się podjęcia określonej decyzji i źle ocenia ryzyko dla pacjentki ze strachu przed odpowiedzialnością karną" – mówiła mec. Budzowska. Jednocześnie w rozmowie „Dziennikiem Gazetą Prawną" mecenas zauważyła, że „to druga podobna sprawa w ostatnim czasie. W obu źródłem zagrożenia życia dla kobiet w ciąży był wstrząs septyczny, związany z przedwczesnym odpłynięciem wód płodowych przed 23. tygodniem ciąży. Obie pacjentki straciły ciążę. Jedna z nich zmarła. Druga przeżyła, ale przez długi czas walczyła o życie. Usunięto jej macicę i nerkę". Według prawniczki lekarz nie może się zasłaniać prawem mówiącym o ograniczeniu aborcji, tylko musi ratować życie, więc zawsze zachowanie lekarza będzie w pierwszej kolejności weryfikowane pod kątem błędu medycznego. Jednak zdaniem mecenas nie można pominąć otoczenia prawnego, w jakim poruszamy się po orzeczeniu Trybunału.

Z kolei zdaniem mecenasa Jerzego Kwaśniewskiego, prezesa zarządu i współzałożyciela Instytutu Ordo Iuris, ta historia nie ma związku z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, gdyż „prawo tutaj niezmiennie od kilkudziesięciu lat pozwala podjąć się leczenia matki nawet kosztem życia dziecka. Tutaj nic się nie zmieniło, stąd ludzie, którzy się gromadzą przed Trybunałem Konstytucyjnym, są w głębokim błędzie. Trybunał Konstytucyjny w tej sprawie się nie wypowiadał. Trybunał Konstytucyjny na tę sprawę nie ma żadnego wpływu. Tutaj kwestia toczy się pomiędzy lekarzami a pacjentem i chodzi o to, czy czynności podejmowano zgodnie z najlepszą wiedzą lekarską, czy też nie. Czy doszło do jakiegoś niespodziewanego powikłania, któremu nawet lekarze nie mogli zapobiec, czy można było to przewidzieć i mamy do czynienia z błędem lekarskim" – mówił prawnik w rozmowie z wPolityce.pl.

Wojciech Biedroń, który bacznie przygląda się pracy prokuratury, zastanawia się, na jakiej podstawie lekarze mogli się obawiać konsekwencji prawnych? – Przecież TK nie zmienił zapisów związanych z ratowaniem zdrowia i życia matki. Jeżeli ktoś miałby się obawiać, że organy mogłyby wszcząć postępowanie związane z usunięciem ciąży z powodu przesłanki embriopatologicznej, którą zniósł TK, należałoby te obawy oprzeć na skali tego typu postępowań prowadzonych w kraju. Tymczasem taka sprawa była jedna i błyskawicznie została umorzona. Prokuratura nie prowadzi polowania na czarownice. Wręcz przeciwnie, jest raczej ciche przyzwolenie, by prokuratura nie zajmowała się sytuacjami, gdy zachodzi przesłanka zdrowotna przy usunięciu ciąży. To dziś doktryna prokuratury – tłumaczy Biedroń.

> „Jestem daleka od sformułowania, że śmierć tej pacjentki to prosta konsekwencja wyroku Trybunału Konstytucyjnego" – stwierdziła mecenas Jolanta Budzowska, pełnomocniczka rodziny zmarłej 30-latki

Na łamach „DGP" mec. Budzowska podkreśliła z kolei, że choć zagrożenie życia i zdrowia matki jest podstawą do aborcji, to jednak lekarze sami przyznają, że np. samo trwanie ciąży z płodem z wadami letalnymi ma wpływ na fizyczne zdrowie kobiety. „Inaczej odbywa się zaplanowane poronienie w II trymestrze ciąży, a inaczej poród dużego płodu skazanego na śmierć. Także podtrzymywanie takiej ciąży to często zwiększone ryzyko poważnych powikłań oraz zagrożenia życia i zdrowia kobiety ciężarnej. Problem jednak w ustaleniu momentu, kiedy to zagrożenie może się realnie ziścić. Powstała więc sytuacja niepewności medycznej i niepewności prawnej, której nie było, kiedy dopuszczalna była dodatkowo przesłanka embriopatologiczna" – tłumaczyła „DGP" adwokat.

DOPRECYZOWAĆ PRAWO

Wiele osób przypomina w obliczu dramatu z Pszczyny sprawę z Irlandii, wspomnianą przez prof. Chazana. W 2012 r. zmarła tam Savita Halappanavar. „Personel szpitala w Galway nie zgodził się na aborcję, choć dziecko i tak urodziłoby się martwe. Kobieta urodziła i zmarła. W leczeniu doszło do błędów medycznych, ale jednocześnie nikt nie miał wątpliwości, że do jej śmierci przyczyniło się restrykcyjne prawo aborcyjne i obawy lekarzy przed odpowiedzialnością prawną za przedłożenie życia matki nad życie płodu. Choć zgodnie z wykładnią irlandzkiego Sądu Najwyższego przerwanie ciąży było dopuszczalne w przypadku realnego i znacznego zagrożenia życia kobiety, w praktyce działał efekt mrożący. Ruch społeczny po jej śmierci doprowadził do referendum i zmiany prawa w Irlandii" – mówiła Budzowska.

O spokój przy wyjaśnieniu wszystkich okoliczności śmierci 30-latki apeluje na łamach wPolityce.pl mecenas Jerzy Kwaśniewski: „Sprawa przede wszystkim wymaga dużego spokoju i nie powinna być wykorzystywana w celu podburzenia ludzi do wystąpień ulicznych. Wiemy, że tak wcześniej robiono w Chile i w Irlandii, gdzie indywidualne tragedie wykorzystywano jako pretekst do ataku na obronę życia jako taką. Pamiętajmy przede wszystkim jeszcze jedno. W ciągu roku od wyroku TK blisko tysiąc dzieci zostało ocalonych, w tym większość to dziewczęta. Pamiętajmy, że to prawo chroni życie, o czym się często zapomina".

I z tego powodu trzeba się cieszyć. Gdyby jednak się okazało, że lekarze mogli się obawiać konsekwencji prawnych z powodu ratowania życia matki, należy wrócić do rozmowy o doprecyzowaniu zapisów prawa, tak by wykluczyć wspomnianą niepewność medyczną i niepewność prawną, jeśli faktycznie miałaby ona zachodzić. Jedno jest pewne: Polki nie powinny się bać zajścia w ciążę, bo to najpiękniejszy czas w życiu kobiety, a strach może go zniszczyć i na pewno nie jest sojusznikiem przyszłych mam.

Reklama | 61/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

Nawet dziecko wie...

#DobryKierowca dba o bezpieczeństwo pasażerów

Robert Kubica
kierowca wyścigowy i rajdowy

Dowiedz się więcej na www.orlen.pl

eprasa.pl 0bebd0dc49

Kilka redakcji to nie cała Polska, głośne manifestacje to nie wszyscy wyborcy

Jestem spokojny, że jeżeli nie popełnimy bardzo poważnych błędów, wdrożymy Polski Ład, to wygramy kolejną kadencję rządów

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Jerzym Szmitem, działaczem antykomunistycznym internowanym w stanie wojennym, szefem olsztyńskiego regionu Prawa i Sprawiedliwości

Co pan, człowiek Solidarności, który poświęcił jej dekadę swojego życia, całe lata 80., myśli, kiedy widzi, jak pod tą wielką ideę próbują się dziś podpiąć ruchy takie jak tzw. Strajk Kobiet? Albo środowiska totalnej opozycji?

Jerzy Szmit: Tzw. Strajk Kobiet jest zaprzeczeniem ideałów Solidarności. Jednym z najważniejszych nurtów tego wielomilionowego ruchu była afirmacja chrześcijaństwa i wynikająca stąd afirmacja życia. Mają do niego prawo wszyscy, od narodzenia do śmierci, jak nauczał św. Jan Paweł II. To dziedzictwo „S" i Jana Pawła II jest nadal aktualnym wezwaniem do ochrony życia. Organizacja pani Lempart wzywa do czegoś przeciwnego: wystawienia najbardziej bezbronnych poza nawias prawnej ochrony. Mówimy zresztą o całym zestawie wartości, które wiążę z prawdziwą Solidarnością: szacunku dla ludzkiej pracy, która musi być godnie wynagradzana, prawa do godnego życia każdego człowieka, konieczności wsparcia rodziny, wolności słowa i zgromadzeń, miłości do ojczyzny. O to właśnie walczyliśmy, za te wartości ludzie Solidarności płacili życiem, więzieniem, wygnaniem z kraju, złamanymi karierami. Czy ktoś z tzw. Strajku Kobiet poniósł jakikolwiek ofiary? Czy uliczne awantury wymagały poświęcenia?

Rok temu mieliśmy na ulicach często wulgarne i agresywne wobec chrześcijaństwa i Kościoła oraz formacji konserwatywnych wystąpienia. Czy dziś, spoglądając z dystansu, możemy spróbować podsumować istotę tych manifestacji?

Dla wielu uczestników była to zapewne okazja do wyjścia na ulicę, wykrzyczenia złości albo po prostu zrobienia awantury. Przypomnę, że mieliśmy wtedy dość restrykcyjny lockdown, szkoły były długo zamknięte, a młodzi szczególnie sfrustrowani. Część pewnie popchnęły do uczestnictwa wyrzuty sumienia, związane właśnie z tematem aborcji. Do tego nerwowo i groteskowo dołączyła opozycja, która w myśl zasady totalności wchodzi w każdą awanturę mogącą osłabić obóz rządzący. Ale na pewno były tam i takie panie, które – co potwierdzają nauki społeczne – nie czują wsparcia mężczyzn, co powoduje obawę o przyszłość w sytuacji np. konieczności opiekowania się chorym dzieckiem. Ten aspekt też powinniśmy dostrzec.

Rozmawiał pan z uczestnikami tych protestów?

W Olsztynie były to jedne z największych demonstracji od upadku komunizmu. Wraz ze środowiskami konserwatywnych katolików, kibicami Stomilu i ludźmi dobrej woli musieliśmy bronić olsztyńskiej katedry przed próbami jej zbezczeszczenia. Innym razem przed naszym biurem spotkałem młodą parę. Kobieta była w wyraźnej ciąży. Wywiązała się dyskusja, spokojna, ale ważna. Zapytałem ich, czy nie widzą tu sprzeczności? Zapytałem chłopaka, czy naprawdę uważa, że życie ich dziecka jeszcze w łonie matki, z którego zapewne się cieszą, to kwestia jakiegoś wyboru? Czy on uważa, że to tylko jej sprawa? Ojciec nic nie ma do życia dziecka? Odpowiedział, że tak. Że on uważa, iż to tylko jej wybór. Jednak gdy dopytywałem, czy wobec tego czuje się ojcem, widziałem, że zaczyna się wahać. Wtedy jego partnerka ostro przerwała rozmowę i oboje odeszli. Może z tej rozmowy wyniknie jakieś dobro. To były bardzo trudne dni.

Czy takie rozmowy w ogóle mają sens? Pęknięcie w myśleniu bardzo dużych grup społecznych ujawniło się też przy haśle „konstytucja". Do pewnego momentu była ona dla opozycji świętsza od Biblii, ale w pewnym momencie stała się mniej ważna niż wyrok pierwszego lepszego sędziego TSUE, którego nawet nazwiska nie znają.

Uważam, że mimo wszystko musimy się starać z sobą rozmawiać, odwoływać się do argumentów, wzajemnego szacunku. Także w sprawie konstytucji, która przez sześć lat była najważniejszym hasłem opozycji, z koszulkami noszonymi i przez sędziów, i przez Lecha Wałęsę. Dzisiaj się okazuje lokalnym dokumentem, bez większego znaczenia. Ważniejsza jest Bruksela, decyzje tam zapadające, nawet bez żadnych podstaw prawnych. Dla mnie to dowód

eprasa.pl 0bebdbdc49

na to, jak łatwo manipulować opinią publiczną, jak duże grupy społeczne w ogóle nie chcą rozmawiać z drugą stroną, chcą tylko powielać wulgarne osiem gwiazdek w kolejnych odsłonach. Ale z tym mierzymy się od lat, już po tragedii smoleńskiej pojawiła się teza, że wielu naszych rodaków nie tylko nie wie, co się zdarzyło, ale też nie chce się dowiedzieć. To nadal aktualne. Mogą machać konstytucją i unijną flagą, ale tak naprawdę nie chcą wiedzieć, co jest w naszej ustawie zasadniczej i na co pozwalają instytucjom brukselskim traktaty o Unii Europejskiej. Niechęć do obecnego rządu, przechodząca w nienawiść, często wynikająca z biografii, im wystarcza, aby na swój sposób pojmowali świat.

Jakie wnioski?

Po pierwsze, tym bardziej musimy się starać, by tę blokadę komunikacyjną przebijać. Wyniki wyborów pokazują, że mimo wszystko jest to możliwe. Po drugie, te wybuchy negatywnych emocji społecznych bywają silne, mocne, ostre, ale też niezwykle szybko się wypalają. Widzieliśmy to na przestrzeni ostatnich sześciu lat wielokrotnie. Choć też nie jest tak, że te uliczne demonstracje, ta wulgarność nie mają konsekwencji, zwłaszcza w młodym pokoleniu.

Był moment, że błyskawice pojawiły się nawet w małych wioskach warmińskich, choć niezbyt licznie. Teraz widać, że zanikają – i tam, i w wielkich miastach.

I dobrze, ale na pewno z tej sprawy warto wyciągnąć lekcję. Widzieliśmy, jak łatwo wyrok Trybunału Konstytucyjnego został przedstawiony nieprawdziwie. Musimy przemyśleć komunikację takich trudnych spraw, nie powinno być tak, że zawsze interpretację narzucają przeciwnicy, a my czekamy, aż oni to zrobią. I dopiero potem trzeba to odkręcać. To politycznie zbyt kosztowna strategia.

To był wyrok Trybunału Konstytucyjnego, trudno brać za niego odpowiedzialność partii rządzącej.

To prawda, to też był kontekst, który został przykryty przez niechętne nam media i środowiska. W ogóle skala manipulacji obrazem rządu jest przerażająca. Gdy przyjrzymy się części mediów, to codziennie mamy jakby obowiązkową porcję kłamstw, a często nienawiści. Na szczęście nie są to już jedyne media. Ludzie, którzy szukają informacji obiektywnej, którzy nie są napędzani wyłącznie negatywnymi emocjami, też już mają co czytać, oglądać, mają gdzie posłuchać normalnej dyskusji merytorycznej. Tu szersza uwaga: kilka redakcji to nie cała Polska, nawet głośne manifestacje to nie wszyscy wyborcy. Na ulice można wyprowadzić dziesiątki, a w skrajnych przypadkach setki tysięcy ludzi, ale głosują miliony. Ta często milcząca większość na szczęście nie daje się tak łatwo zmanipulować, umie ocenić rzeczywistość samodzielnie. Wszyst-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bebdbdc49

kie badania pokazują, że mimo tych codziennych negatywnych kampanii antypisowskich zaufanie wyborców jest ogromne.

Wygląda na to, że się pan uodpornił na medialne histerie.

Panowie, gdybym opierał swój osąd tylko na tym, co mówią w mediach, nie tworzyłbym Niezależnego Zrzeszenia Studentów na ówczesnej Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, nie wiązałbym się z Solidarnością, a potem z polityczną prawicą i wreszcie od 20 lat z PiS. Obraz malowany przez niechętne nam media zawsze jest taki sam: wszyscy są przeciw wam, nikt was nie lubi, nikt nie docenia tego, co robicie. A to nie tak. Mamy silną opozycję, to prawda, ale ta opozycja i jej media to nie jest cały kraj. Zdolność do robienia hałasu to niekoniecznie polityczna moc.

Pana słowa zdają się potwierdzać sondaże, także te realizowane przez pracownię Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl. Rok temu pokazywały poparcie dla Zjednoczonej Prawicy nawet chwilowo poniżej 30 proc., obecnie jest to 39–40 proc. Gdzie są pana zdaniem przyczyny tego wzmocnienia?

Widzę trzy. Pierwsza to to, że Polakom żyje się lepiej niż kilka lat temu. I to nie jest propaganda, bo wystarczy oderwać się od telewizora, komputera i porozmawiać z ludźmi, z rodzinami, emerytami, rolnikami. Przyznają to nawet osoby niechętne temu rządowi, pokazują to też dane dotyczące dochodów, zarobków, zatrudnienia. Po drugie, rząd jest przewidywalny i wiarygodny. Jeżeli coś zapowiada, to czasem z problemami, potknięciami, ale to realizuje. Po latach Tuskowej polityki, w której słowo nic nie znaczyło, ludzie to doceniają. Trzeci powód to zjawiska zewnętrzne: próba bezprawnego złamania Polski przez instytucje unijne, twarda postawa rządu i całkowita uległość opozycji wobec Brukseli i Berlina. Zostało to przez Polaków ocenione właściwie. No i oczywiście sprawa ataku na polskie granice. Postawa rządu, poważne traktowanie zagrożenia, troska o państwo są doceniana przez wyborców.

Fot. Andrzej Wiktor

Opozycja też wybrała ten temat na pole starcia politycznego. Z sukcesem?

Propozycja opozycji to otwarcie granic dla wszystkich, których nam władze w Mińsku zechcą podrzucić. To nie są proste sprawy, łatwe wybory, ale w postawie liderów i harcowników opozycji nie ma elementarnej powagi, troski o państwo i zwykłych Polaków, bo to oni zapłaciliby największą cenę za przebicie tu jakiegoś korytarza migracyjnego.

> W postawie opozycji nie ma elementarnej troski o państwo i zwykłych Polaków, bo to oni zapłaciliby największą cenę za przebicie tu korytarza migracyjnego

Społeczeństwo nie poszło za tymi, którzy grają emocjami, próbują nas przekonać, że człowieczeństwo wymaga kapitulacji przed białoruskim atakiem hybrydowym?

Moim zdaniem nie poszło. Grupy kontestujące politykę rządu, jedyną właściwie dziś możliwą, zdecydowaną, ale rozsądną, są hałaśliwe, wpływowe w mediach, ale w społeczeństwie marginalne.

Wróćmy do polityki krajowej. Programy społeczne i prorodzinne rządu zmieniły mapę polityczną Warmii i Mazur?

Tak. Wygrywamy tu wybory, co kiedyś było niewyobrażalne. Wyjątkiem były wybory prezydenckie, gdzie Andrzej Duda minimalnie przegrał w naszym regionie, ale to wynik tego, że był to okres wakacyjny i głosowało sporo ludzi z większych miast, tu odpoczywających. Program PiS jest jakby skrojony dla Warmii i Mazur, dla tych części Polski, które były zaniedbywane, skazywane na peryferyjność, brak dobrych dróg, przemysłu, rozwoju. Oferowano ludziom tu mieszkającym rolę wyłącznie usługową wobec pragnących odpoczynku i rozrywki mieszkańców bogatych metropolii. To oczywiście ważny segment gospodarczy, to ma znaczenie, ale to nie może być jedyna propozycja! Bo ona oznaczała wyludnianie, migrację, biedę. Od sześciu lat następuje u nas diametralna zmiana. Powstają drogi, kolej, wraca wojsko, przemysł, skończyło się skrajne ubóstwo, wróciła nadzieja.

Ci, którzy wyjechali, a z naszych roczników to niekiedy zostało na rodzinnej Warmii zaledwie kilka osób z klasy, mogą wrócić? Łatwiej dziś o pracę, lepsze zarobki?

Są ludzie, którzy wracają, ale prawda jest taka, że jak ktoś od 20 lat pracuje w jakimś kraju, wychowuje tam dzieci, ma przyjaciół, to o powrót trudno. Trzeba jednak do tego zachęcać, może pomyśleć o specjalnych programach, choćby dla tych, którzy już się dorobili, odchowali dzieci. Ale nie mam złudzeń, że to możliwe w masowej skali. Dziś przede wszystkim trzeba robić wszystko, by zatrzymać wyludnianie regionu. To są wielkie inwestycje drogowe, ściąganie przemysłu, który dziś spełnia najwyższe normy ekologiczne, ale też drobne sprawy. Mało

eprasa.pl 0bebdbdc49

kto wie, że przez wiele lat obowiązywała zasada, że zwrot kapitału wydanego na budowę sieci gazowej musi nastąpić w ciągu 20 lat. To wykluczało większość województwa warmińsko-mazurskiego, słabo zaludnionego. Dopiero premier Mateusz Morawiecki zmienił ten współczynnik na 30 lat i to spowodowało, że gazyfikacja wreszcie ruszyła. Podobnie jest z odbudowywaniem obecności wojska, za PO-PSL wyprowadzanego z Warmii i Mazur, także z Olsztyna. Dziś mamy sztab 16 Dywizji Zmechanizowanej w Olsztynie, wzmocnienie obecności wojska w Elblągu, Braniewie, Węgorzewie, Giżycku, Morągu, Orzyszu i Bemowie Piskim. Stacjonują wojska amerykańskie i NATO. Wspaniale rozwija się IV Brygada Wojsk Obrony Terytorialnej. A za wojskiem idą bezpieczeństwo, praca i rozwój.

Ludzie PiS często mają poczucie frustracji, że takie działania nie dają wyborczej premii, że wystarczy nakłamać w wielkich mediach, by cały ten wysiłek wywrócić. Pan jest przeciwnego zdania?

Oczywiście. Gdyby wyborcy nie umieli docenić takich działań, gdyby decydowały tylko medialne kampanie, nie wygralibyśmy żadnych wyborów po roku 2015. W naszym okręgu PiS zaczynało od jednego mandatu, w ostatnich wyborach zdobyliśmy ich już pięć, czyli połowę całej puli.

Ten obóz ma szansę zawalczyć o jeszcze jedną kadencję?

Jestem spokojny, że jeżeli nie popełnimy bardzo poważnych błędów, to kolejne wybory wygramy.

To znaczy utrzymacie władzę?

Tak, o tym mówię. Pamiętajmy, że wchodzi w życie program Polski Ład.

W sondażach oceniany krytycznie.

Tak, bo ludzie go nie widzą na razie wokół siebie, a tylko czytają jakieś fałszywe analizy. Za chwilę zniknie podatek od emerytur i rent, ponad 90 proc. Polaków otrzyma więcej pieniędzy przy wypłacie, ruszą potężne inwestycje.

Opozycja mówi: to wszystko zje inflacja.

Inflacja jest wysoka, w całej Europie, na całym świecie. Jej źródła są zewnętrzne, w tym nieprzemyślana polityka energetyczna Unii Europejskiej, jest też reakcja Narodowego Banku Polskiego w postaci kolejnego podniesienia stóp. To jest problem, ale to nie jest tak, że inflacja zjada wszystko, co Polacy zyskali za rządów Zjednoczonej Prawicy. Nie zjada nawet 10 proc. z tego wzrostu, który każdy odczuł w portfelu. To wynik dobrych rządów i zatrzymania potężnego złodziejstwa, które bezczelnie kwitło za naszych poprzedników. Byłem wtedy w sejmowej komisji finansów. Czytamy uważnie budżet, a tam zaplanowano... spadek przychodów z VAT! Przy rosnącej nominalnie gospodarce. Jak tak się rządziło, to nic dziwnego, że na nic „piniendzy" nie starczało.

> Polakom żyje się lepiej niż kilka lat temu. I to nie jest propaganda, bo wystarczy się oderwać od telewizora, komputera i porozmawiać z ludźmi. Przyznają to nawet osoby niechętne temu rządowi, pokazują to też dane dotyczące dochodów, zarobków, zatrudnienia

Z Olsztyna wywodzi się Michał Wypij, polityk, który wraz z Jarosławem Gowinem porzucił Zjednoczoną Prawicę, a dziś bierze udział w dość niesmacznych zawodach na to, który z nich mocniej przyłoży niedawnemu rządowi. A przecież był on kandydatem pana obozu na prezydenta Olsztyna. Dlaczego?

Dziś widać, o czym mówiłem wcześniej, że i Wypij i Maksymowicz raczej chcieli skonsumować pracę i sukces PiS, niż go dalej budować, dokładać do niego. Okazało się, że ich przywiązanie do programu, wartości naszej organizacji, ich lojalność szybko wyparowały. Dla mnie to już historia, spokojnie pracujemy dalej, żeby ten wynik poprawić, sądzę, że stać nas na zdobycie sześciu mandatów poselskich. Mam nadzieję, że układ list będzie taki, że po kolejnych wyborach nikt nie opowie się przeciw tym zmianom w Polsce, które powodują tak mocne poparcie dla obozu Jarosława Kaczyńskiego także na Warmii i Mazurach.

A to prawda, że dziś PiS jest jakoś szczególnie skłócony?

Panowie, wy się znacie na polityce, ja w niej jestem od lat. Wiemy wszyscy, że każda partia polityczna to też spory, konflikty, różnice interesów, nawet kłótnie. Bo jesteśmy tylko ludźmi, a polityka szczególnie przyciąga ludzi ambitnych. Nic poza takim normalnym życiem politycznym się nie dzieje.

PiS nie ulegnie pokusie, by się pogodzić ze światem, by zrezygnować z części programu, który wskutek presji lewicy może być oceniany jako „kontrowersyjny"?

Jest dla mnie oczywiste, że dopóki naszym liderem pozostaje premier Jarosław Kaczyński, dopóty dopuszczalne granice często koniecznego w polityce kompromisu, niezbędnej elastyczności, nie zostaną przekroczone. Walka o wolną, silną, szanującą swoją historię Polskę będzie kontynuowana.

Kandydat PiS może wygrać w Olsztynie wybory prezydenckie?

Oczywiście, że może, jak wszędzie. Zwracam tylko uwagę, że ponad 20 lat mamy w Olsztynie sytuację, w której rządzą w takim dość nieprzyjemnym tandemie dwie postaci: Czesław Małkowski i Piotr Grzymowicz, obaj z przeszłością komunistyczną. W każdych wyborach robią swego rodzaju ustawkę, w której dokonuje się wybór „mniejszego zła", czyli Grzymowicza. Będziemy robili wszystko, by przerwać ten zaklęty krąg. Z pokorą, bo to podstawowy warunek skutecznej pracy w polityce.

eprasa.pl 0bebdbdc49

NBP upamiętnia prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego banknotem kolekcjonerskim i złotą monetą

Narodowy Bank Polski oddaje hołd Lechowi Kaczyńskiemu – wielkiemu Polakowi i patriocie, prezydentowi RP w latach 2005–2010. Z okazji Święta Niepodległości od 9 listopada 2021 r. można kupić wartości kolekcjonerskie emitowane przez NBP: banknot oraz monetę z wizerunkiem tragicznie zmarłego prezydenta – „Lech Kaczyński. Warto być Polakiem"

Banknot „Lech Kaczyński. Warto być Polakiem" o nominale 20 zł oraz korespondująca z nim złota moneta o nominale 500 zł to najnowsze wartości kolekcjonerskie wyemitowane przez Narodowy Bank Polski.

– Przez emisję banknotu i monety, szczególnie ważnych dla milionów Polaków, a szczególnie ważnych także dla mnie osobiście, ponieważ miałem przyjemność współpracować z prezydentem RP prof. Lechem Kaczyńskim, chcemy oddać hołd wielkiemu człowiekowi, jakim był Lech Kaczyński, który całym swoim życiem potwierdzał, że „warto być Polakiem" – powiedział prof. Adam Glapiński, prezes NBP, podczas uroczystego podpisania banknotu, zatwierdzając 10 kwietnia 2021 r. jego emisję.

W DUCHU PATRIOTYZMU – KOLEKCJONERSKI BANKNOT I ZŁOTA MONETA

Banknot i moneta wyróżniają się bogatą symboliką, która została zawarta w warstwie wizualnej. Na przedniej stronie banknotu i na rewersie monety znajduje się portret prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego, wizerunek Orderu Orła Białego oraz Pałacu Prezydenckiego w Warszawie.

Na stronie odwrotnej można zobaczyć budynek Muzeum Powstania Warszawskiego, tłum strajkujących osób w Stoczni Gdańskiej w latach 80. XX w., napis „Solidarność" oraz zdjęcie Polskiego Cmentarza Wojennego w Katyniu. Moneta wybita w złocie najwyższej próby 999,9 ma nietypowy kształt prostokąta nawiązujący formą do banknotu kolekcjonerskiego.

Na banknocie zostały użyte najnowocześniejsze zabezpieczania obecnie dostępne na rynku.

– Oprócz znaku wodnego z filigranem, precyzyjnego mikrotłoczenia i mikrotekstu wykorzystano wielokolorowy efekt kątowy z wkomponowanym napisem NBP, specjalny raster, okienkowo umieszczoną w strukturze papieru dwukolorową nitkę zabezpieczającą z efektem ruchu, druk recto-verso przedstawiający Pałac Prezydencki, tło reliefowe, staloryt na obu stronach banknotu – m.in. wypukły na powierzchni papieru wizerunek guzika z oficerskiego munduru znalezionego w Katyniu, a na stronie odwrotnej pełnowymiarową numerację typograficzną widoczną w świetle dziennym oraz skróconą, widoczną zarówno w świetle dziennym, jak i UV, czy zabezpieczenie wykonane

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 64/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

farbą zmienną optycznie – wyjaśnia Barbara Jaroszek, dyrektor Departamentu Emisyjno-Skarbcowego NBP.

PRZYPOMINAŁ O POLSKICH BOHATERACH I PRZYWRACAŁ DUMĘ NARODOWĄ

Na banknocie i monecie widnieją również słowa Lecha Kaczyńskiego: „Warto być Polakiem". Jak przejawiały się one w działaniach podejmowanych przez prezydenta?

Prof. Andrzej Nowak, w folderze poświęconym banknotowi i monecie, zauważa, że Lech Kaczyński „prowadził konsekwentną politykę historyczną, która miała przypomnieć nowym pokoleniom Polaków dumę narodową i szacunek dla zapomnianych bohaterów walk o wolność Rzeczypospolitej. Uhonorował Orderem Orła Białego tak znakomite postaci jak abp Ignacy Tokarczuk, Andrzej Gwiazda i Anna Walentynowicz. Pośmiertnie odznaczył Zbigniewa Herberta, rtm. Witolda Pileckiego, gen. Augusta Emila Fieldorfa, ps. „Nil". Zainicjował ustanowienie Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Chciał upamiętnić bohaterską ofiarę żołnierzy polskich, zamordowanych w Katyniu, w 70. rocznicę tej zbrodni".

OD POCZĄTKU WALCZYŁ W SŁUSZNEJ SPRAWIE

Lech Kaczyński urodził się 18 czerwca 1949 r. w Warszawie, w inteligenckiej rodzinie o silnych tradycjach patriotycznych. Jak podaje prof. Andrzej Nowak: „Po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim przeniósł się w 1971 r. do Sopotu i podjął pracę naukową na Uniwersytecie Gdańskim. Specjalizował się w prawie pracy. W 1980 r. obronił rozprawę doktorską, a w 1990 r. habilitację; w 1996 r. został profesorem nadzwyczajnym.

W drugiej połowie lat 70. wszedł w krąg twórców Wolnych Związków Zawodowych. Uczył robotników na tajnych spotkaniach prawa pracy, pisywał do podziemnego »Robotnika Wybrzeża«. W tym czasie poznał swoją przyszłą żonę – Marię Helenę z domu Mackiewicz. Pobrali się w 1978 r.

W czasie sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej został jednym z doradców Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Współredagował zapisy statutu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego »Solidarność«, był szefem Biura Interwencyjnego gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego i członkiem Zarządu Regionu Gdańskiego. W stanie wojennym był internowany na blisko rok w Strzebielinku. Współorganizował strajki w maju i sierpniu 1988 r. w Stoczni Gdańskiej, torując drogę do legalizacji związku".

CIESZYŁ SIĘ DUŻYM POPARCIEM SPOŁECZNYM

Patrząc na rozwój kariery politycznej Lecha Kaczyńskiego od 1989 r., prof. Andrzej Nowak podkreśla: „W wyborach czerwcowych 1989 r. został senatorem, a równocześnie jako I zastępca przewodniczącego faktycznie kierował Solidarnością podczas zaangażowania Lecha Wałęsy w kampanię przed wyborami prezydenckimi. Wszedł do Kancelarii Prezydenta RP jako minister stanu ds. bezpieczeństwa narodowego. Wobec ostrego sporu z prezydentem odszedł z Kancelarii. Od II 1992 do VI 1995 r. pełnił funkcję prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

Jako minister sprawiedliwości od VI 2000 r. w rządzie Akcji Wyborczej »Solidarność« zyskał wielkie poparcie społeczne dzięki energicznej walce z przestępczością zorganizowaną i korupcją. Rok później został pierwszym prezesem nowej partii – Prawa i Sprawiedliwości. Jesienią 2002 r. wygrał wybory na urząd prezydenta Warszawy. Doprowadził do otwarcia 1 VIII 2004 r. Muzeum Powstania Warszawskiego, rozpoczęcia budowy Centrum Nauki »Kopernik«, a przede wszystkim do ograniczenia plagi korupcji przy zamówieniach publicznych w mieście".

BYŁ POLITYCZNYM WIZJONEREM

Analizując drogę Lecha Kaczyńskiego do prezydentury, prof. Andrzej Nowak zauważa: „Te sukcesy pomogły mu odnieść zwycięstwo w walce o urząd prezydenta w październiku 2005 r. Wobec szybko odbudowujących się wpływów imperialnych Rosji pod rządami Putina starał się stworzyć oś współpracy energetycznej, która uwolniłaby Europę Wschodnią od szantażu gazowego. Był inicjatorem akcji dyplomatycznej, która ocaliła Gruzję, kiedy rosyjskie czołgi zbliżały się do Tbilisi. Podtrzymywał szczególnie dobre stosunki z bezpośrednimi sąsiadami: Litwą i Czechami, starał się także o zachowanie strategicznych relacji z Ukrainą".

Realizację jego wizji Polski przerwała tragiczna śmierć. Wraz z 95 osobami towarzyszącymi mu na pokładzie prezydenckiego samolotu, w tym także jego żoną Marią, zginął w czasie podejścia maszyny do lądowania nad smoleńskim lotniskiem 10 IV 2010 r.

W 11. rocznicę tragedii smoleńskiej prezes NBP prof. Adam Glapiński złożył uroczyście podpis na banknocie kolekcjonerskim poświęconym śp. Lechowi Kaczyńskiemu.

Na każdym polskim banknocie widnieje podpis prezesa NBP. W ten symboliczny sposób prezes banku centralnego, jedynego emitenta polskich znaków pieniężnych, potwierdza, że są one prawnym środkiem płatniczym w Polsce.

eprasa.pl 0bebdbdc49

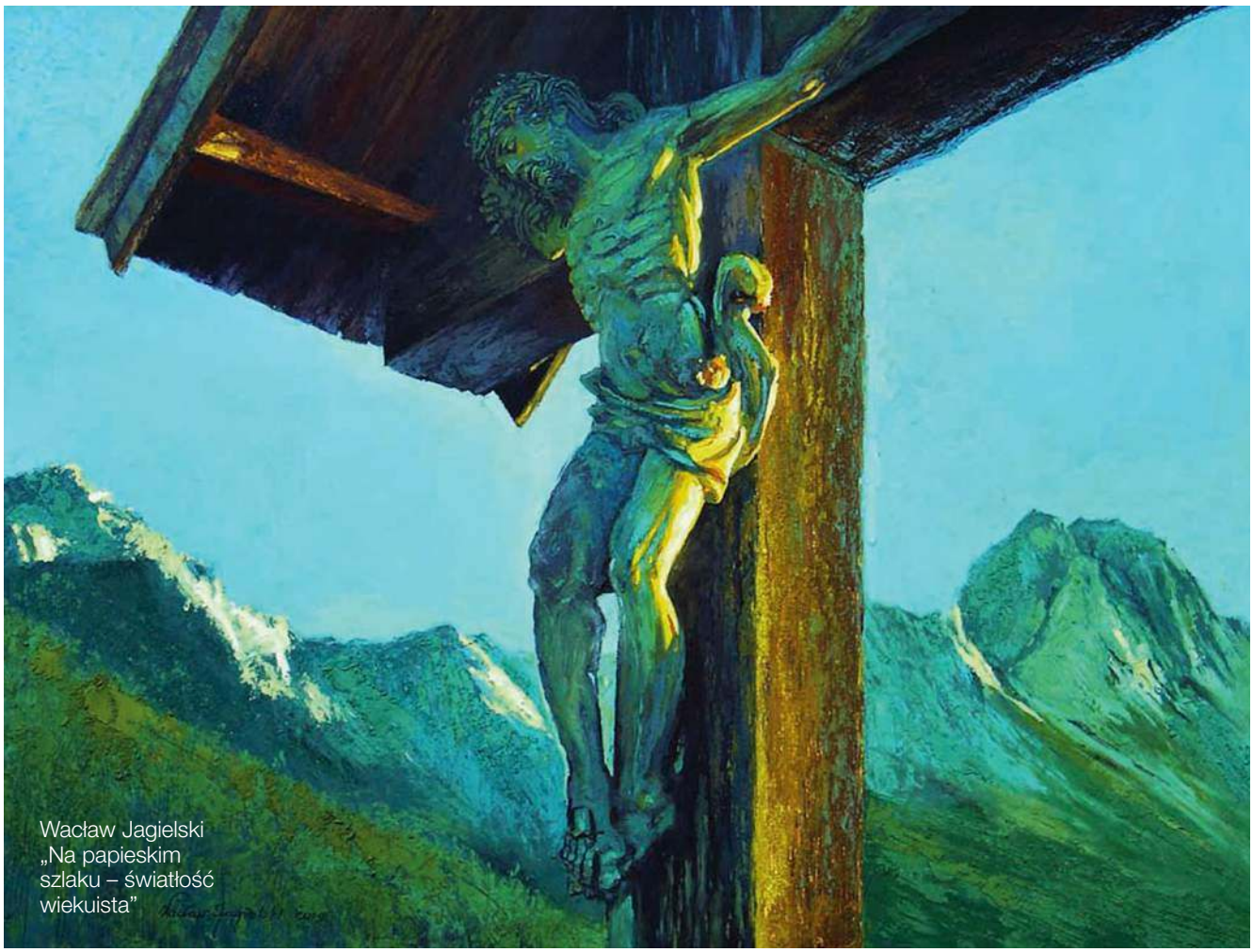

Wacław Jagielski „Na papieskim szlaku – światłość wiekuista”

Pasja, sztuka, tajemnica

W Polsce jest cała plejada malarzy, którzy nie traktują sztuki jak narzędzia pedagogiki społecznej, lecz jako sposób docierania do tajemnicy człowieka oraz odkrywania prawdy, dobra i piękna. Część z nich zorganizowała wystawę „Odblask Tajemnicy”

GRZEGORZ GÓRNY

W kwietniu 1999 r. Jan Paweł II ogłosił swój „List do artystów”, noszący wymowny podtytuł: „Do tych, którzy z pasją i poświęceniem poszukują nowych »epifanii« piękna, aby podarować je światu w twórczości artystycznej”. W swym piśmie papież zwracał uwagę na pokrewieństwo duchowe łączące istotę doświadczenia religijnego i twórczości artystycznej. Jego zdaniem sztuka jest „ze swej natury swoistym wezwaniem do otwarcia się na Tajemnicę”, jest próbą wyrażenia niewyrażalnego, uchwycenia nieuchwytnego, dostrzeżenia niewidzialnego. To próba przekazania czegoś, czego nie da się oddać inaczej niż tylko artystycznymi środkami wyrazu.

eprasa.pl 0bebdbdc49

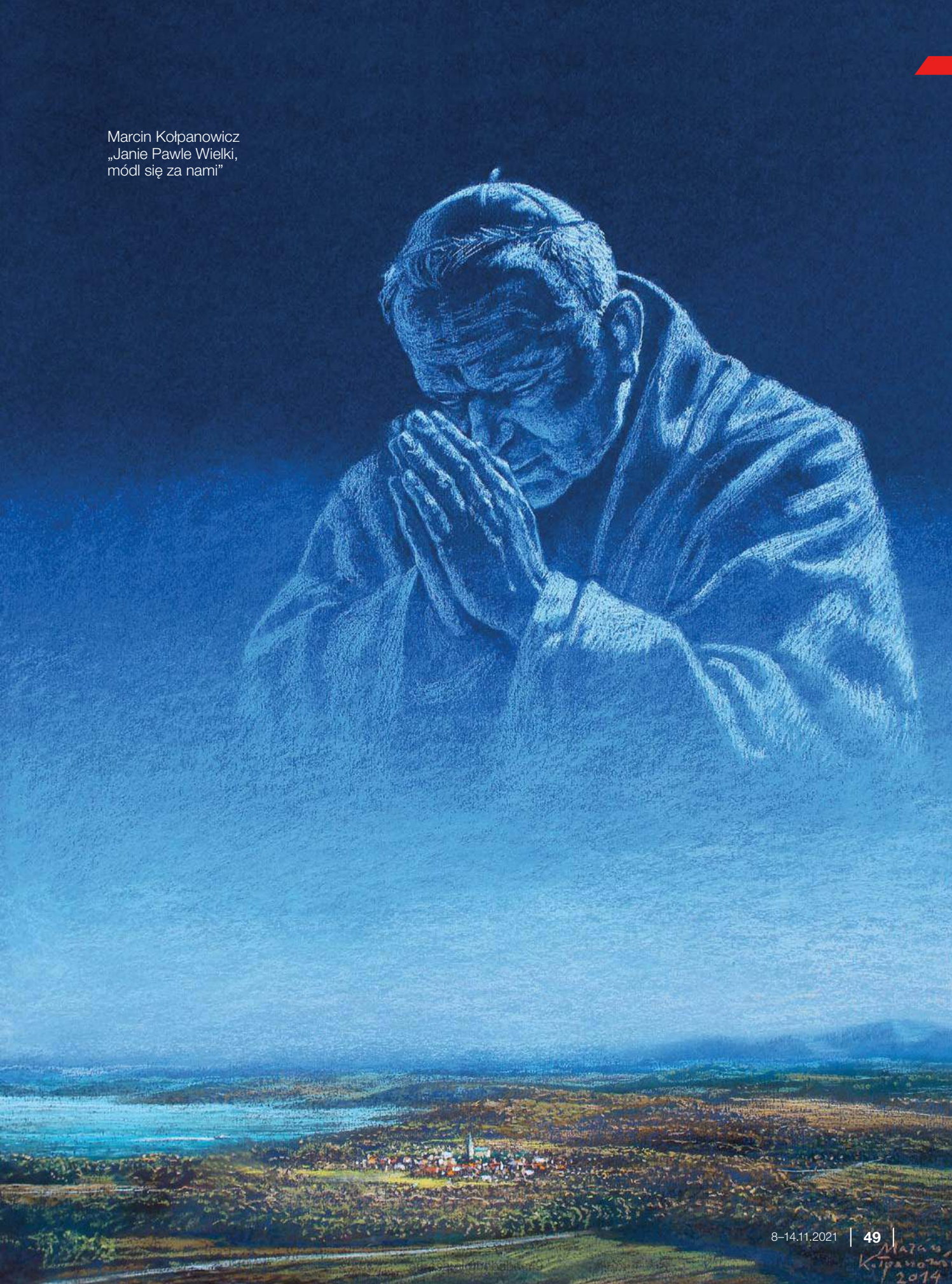

Marcin Kołpanowicz
„Janie Pawle Wielki,
módl się za nami”

Karol Bąk
„Żaglowiec X"

Jarosław Kukowski
„Pierwszy anioł zatrąbił"

PRAWDA, DOBRO, PIĘKNO

Jan Paweł II kierował do swych adresatów następujące słowa: „Nikt nie potrafi zrozumieć lepiej niż wy, artyści, genialni twórcy piękna, czym był ów »pathos«, z jakim Bóg u świtu stworzenia przyglądał się dziełu swoich rąk. Nieskończenie wiele razy odblask tamtego doznania pojawiał się w waszych oczach, artyści wszystkich czasów, gdy zdumieni tajemną mocą dźwięków i słów, kolorów i form, podziwialiście dzieła swego talentu, dostrzegając w nich jakby cień owego misterium stworzenia, w którym Bóg, jedyny Stwórca wszystkich rzeczy, zechciał niejako dać wam udział".

Papież dodawał: „Artysta nieustannie poszukuje ukrytego sensu rzeczy, z wielkim trudem stara się wyrazić rzeczywistość niewysłowioną. Nie sposób zatem nie dostrzec, jak wielkim źródłem natchnienia może być dla niego ta swoista »ojczyzna duszy«, jaką jest religia. Czyż to nie w sferze religii człowiek zadaje najważniejsze pytania osobiste i poszukuje ostatecznych odpowiedzi egzystencjalnych?". Nieprzypadkowo przecież największe arcydzieła w dziejach malarstwa miały charakter religijny, by wymienić tylko Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Rafaela, Botticellego, Giotta, Carravaggia, Tycjana, Rembrandta, Rubensa, Breughla, Boscha czy El Greca.

W swej refleksji Jan Paweł II sytuował się w długiej tradycji myślicieli, dla których centralną zasadą porządkującą sztukę była trójca: prawda, dobro, piękno. W dzisiejszych czasach ta klasyczna triada jest jednak powszechnie odrzucana przez współczesnych koryfeuszy sztuk plastycznych. Nic zatem dziwnego, że list papieża do artystów został przez najbardziej wpływowe kręgi w tym środowisku zupełnie zignorowany.

PRZENIKNĄĆ TAJEMNICĘ

Jednym z niewielu wybitnych twórców, którzy zareagowali wówczas entuzjastycznie na przesłanie Jana Pawła II, był Czesław Miłosz. W swym pisanym na gorąco komentarzu stwierdzał, że papieskie pismo jest „wydarzeniem niespodziewanym, zachwycającym, cudownym. Na samym końcu stulecia przerażających wojen i zbrodni, a zarazem kolejnych przewrotów w sztuce urzeczonej bezustannym poszukiwaniem nowego, rozlega się głos mądry i spokojny, przypominający nam wszystkim, co było celem i powołaniem sztuki od zawsze".

Zdaniem polskiego noblisty trudno o lepsze sformułowanie zadań stojących przed sztuką niż to, którego użył w swym liście papież: „Każda autentyczna inspiracja artystyczna wykracza bowiem poza to, co postrzegają zmysły, i przenikając rzeczywistość stara się wyjaśnić jej ukrytą tajemnicę. Ma swoje źródło w głębi ludzkiej duszy, tam, gdzie pragnienie nadania sensu własnemu życiu łączy się z nieuchwytnym doznaniem piękna i tajemniczej jedności rzeczy. Wszyscy artyści zdają sobie sprawę, jak głęboka przepaść istnieje między dziełem ich ręki, nawet najbardziej udanym, a olśniewającą doskonałością piękna,

eprasa.pl 0bebdbdc49

dostrzeżonego w chwili twórczego uniesienia: wszystko, co zdołają wyrazić malując, rzeźbiąc i tworząc, jest jedynie przebłyskiem owej światłości, która na kilka chwil zajaśniała oczom ich duszy".

Miłosz zadawał również pytanie, dlaczego przesłanie Jana Pawła II spotyka się z tak dużym oporem w środowiskach artystycznych. Jego odpowiedź brzmiała następująco: „Oto list mówi o pięknej ziemi, takiej, jaka ukazała się oczom Jahwe: »A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre«. Nie wspomina natomiast o diable, podczas gdy artyści kończącego się stulecia mieli bez ustanku do czynienia, i to również w sobie samych, z podszeptami sztuki demonicznej. Ich fascynacja złem i cierpieniem poszła tak daleko, że uznali je, pod wpływem nauk przyrodniczych, za prawo ziemi, za prawdziwe oblicze Ducha Ziemi. Diabelski grymas stał się cechą wybitnych dzieł, tak że wielu naszych współczesnych dopatruje się w tych dziełach oznak opętania, wzywających egzorcysty. Co więcej, ów grymas przeniknął do samej formy i nawet znalazł teoretyków twierdzących, że dawna harmonijna sztuka nie jest już możliwa i że nowe piękno może być osiągnięte tylko przez łączenie elementów brzydkich, zgrzytliwych, skłóconych ze sobą. Drwina, ironia i sarkazm wydają się niezbędnymi przyprawami sztuki, do tego stopnia, że bez nich wydaje się ona bez smaku, niby potrawa bez soli. Natomiast te przyprawy dowodzą głębokich przemian w naszym odczuwaniu świata. Jest to jakby lęk przed posądzeniem o naiwną pochwałę istnienia (»widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre«), ubezpieczanie się przed towarzyską naganą przy pomocy min i mrugnięć. Bo wiedza o sile zła jest już wiedzą towarzyską i działa przeciwko błogosławionej wizji jakiegoś nowego Fra Angelico".

Daniel Pawłowski
„Katedra"

Dobro zostało zastąpione więc przez Zło. Nie był to jednak koniec destrukcji klasycznej triady. Piękno ustąpiło bowiem miejsca szpetocie, a zamiast prawdy pojawiła się wielość równoznacznych opinii, podszyta sceptycyzmem i relatywizmem poznawczym.

SPADKOBIERCY APELLESA I FRA ANGELICA

List Jana Pawła II z 1999 r. doczekał się niespodziewanej odpowiedzi po dwóch dekadach. W stulecie urodzin Karola Wojtyły grupa polskich artystów, czująca się adresatami jego pisma, postanowiła odpowiedzieć na papieskie wezwanie. Wspomniani malarze uczynili to w sposób, jaki uważają za najlepszy, a mianowicie poprzez swoją twórczość. W ten sposób powstała jedyna w swoim rodzaju wystawa zatytułowana „Odblask Tajemnicy", na której zaprezentowane zostały obrazy takich artystów, jak Karol Bąk, Andrzej Boj-Wójtowicz, Krzysztof Izdebski-Cruz, Wacław Jagielski, Barbara Kaczmarowska-Hamilton, Dariusz Kaleta, Krzysztof Klimek, Marcin Kołpanowicz, Jarosław Kukowski, Daniel Pawłowski, Józef Stolorz i Krzysztof Wiśniewski. Na ekspozycję złożyły się dzieła zarówno namalowane specjalnie z tej okazji, jak i wybrane z wcześniejszego dorobku twórców. Łączyło je to, że – w zamyśle autorów – wpisywały się w przesłanie papieskiego listu.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Nieprzypadkowo niektórzy z wymienionych artystów należą do założonej przed laty Grupy Apellesa. Można powiedzieć, że to właśnie ów grecki mistrz żyjący w IV w. przed Chrystusem i uznawany za najwybitniejszego malarza starożytności mógłby być patronem całego przedsięwzięcia. Jego kunszt wynikał nie tylko z wrodzonego talentu, lecz przede wszystkim z codziennej i wytrwałej pracy nad doskonaleniem własnego warsztatu. Nie bez powodu Apelles, skazywany na zapomnienie przez dzisiejszych krytyków sztuki, uchodzi za ojca założyciela wielowiekowej klasycznej tradycji malarskiej.

Odwołanie do jego postaci nie jest przypadkowe, ponieważ wspomniani twórcy, choć różnią się prezentowanym stylem czy tematyką, to jednak łączy ich wspólne rozumienie sztuki. Jak pisała swego czasu związana z tym środowiskiem malarka Ida Łotowska-Huelle: „Aksjologiczna triada piękna, harmonii i porządku stwarza warunki do kontemplacji, a ta z kolei do wglądu w duchową sferę człowieka, co jest odwiecznym zadaniem sztuki". Warunkiem osiągnięcia tego stanu jest jednak doskonalenie własnego warsztatu, by umieć odtworzyć realne formy i iluzje przestrzeni, pokora i szacunek wobec tradycji oraz zrozumienie symbolicznej natury dzieła, co pociągać za sobą musi – jak pisze cytowana już artystka – „sprawność ręki, oka, wyobraźni i rozumu. Aby obraz był czytelny, rzeczywistość musi być rozpoznawalna w kategoriach wspólnego doświadczenia wzrokowego".

Drugim z patronów wystawy mógłby być dominikański mistrz pędzla, a zarazem mnich Fra Angelico, którego Jan Paweł II nie tylko wyniósł na ołtarze, lecz także ogłosił patronem artystów, a zwłaszcza malarzy. Papież mówił o nim: „Syn duchowy św. Dominika, który pędzlem wypowiedział swoją »summę« Bożych tajemnic, podobnie jak Tomasz z Akwinu wypowiedział ją językiem teologii".

Krzysztof Izdebski-Cruz „B. Dorothea, Montoviensis, Reclusa"

Autorzy wystawy „Odblask Tajemnicy" nie mieli aż tak dalekosiężnych ambicji. Każdy z nich na swój sposób stara się jednak w swojej twórczości dotknąć tajemnicy człowieka, świata, Boga.

Pierwotnie wystawa miała odwiedzić wiele prestiżowych miejsc nie tylko w Polsce, lecz także w Europie, m.in. w Londynie, Pradze, Budapeszcie czy Rydze. Niestety, inauguracja ekspozycji zbiegła się z wybuchem pandemii i lockdownem, w związku z czym planowana trasa została odwołana. W późniejszych miesiącach, w zależności od tego, jak łagodzono reżim sanitarny w różnych miastach, udało się pokazać ją m.in. w Warszawie, Kielcach, Gdańsku, Częstochowie, Toruniu, Włocławku, Pelplinie, Tczewie, Wejherowie, Wiśle, a także w Londynie. Obecnie obrazy można zobaczyć na zamku Wrochem w Tarnowskich Górach.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 0bebdbdc49

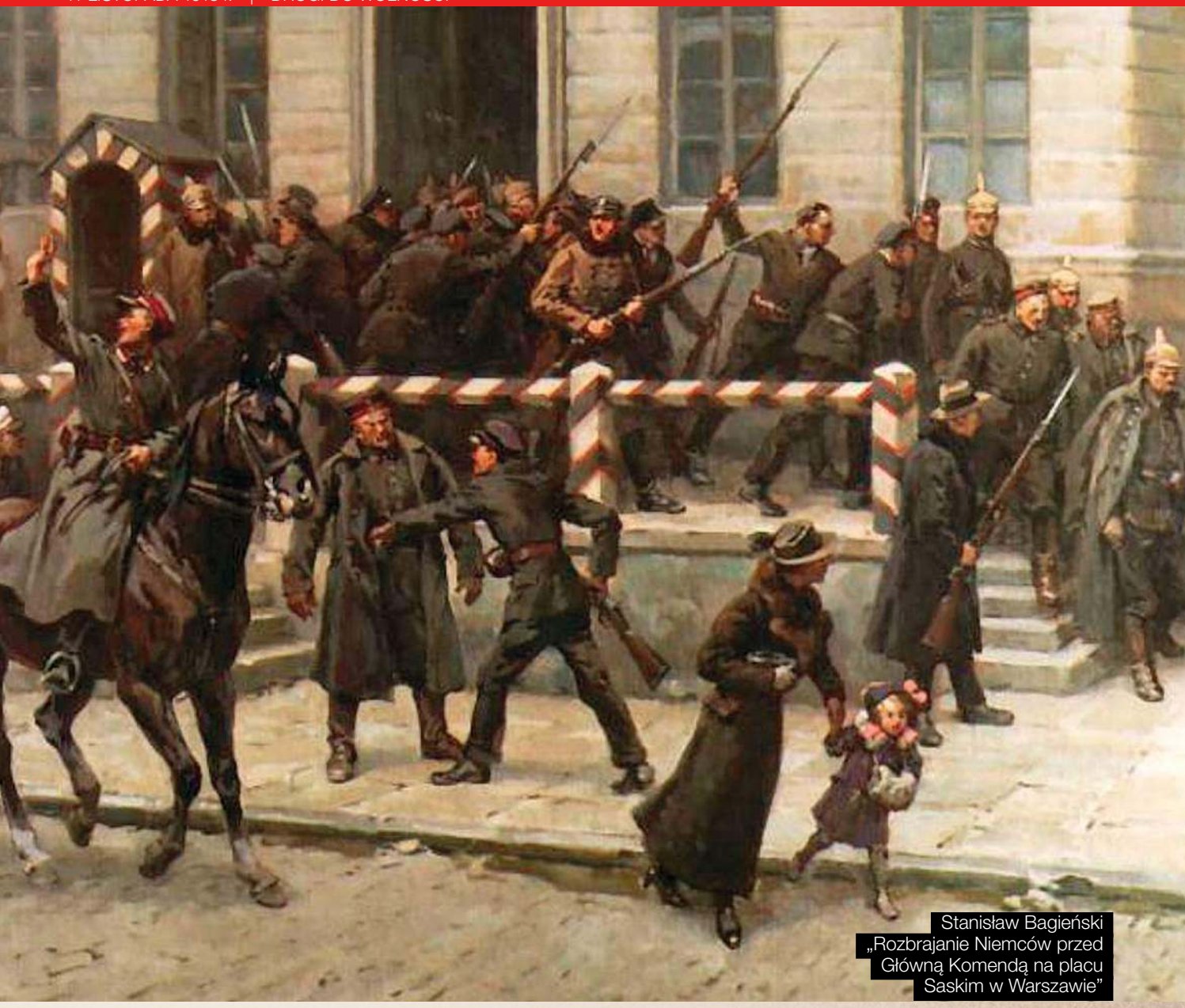

Stanisław Bagieński „Rozbrajanie Niemców przed Główną Komendą na placu Saskim w Warszawie”

Fot. MWpwW

Dzień euforii i krwawych potyczek

Dzień odzyskania niepodległości wiązał się nie tylko z euforią. W Warszawie trwały regularne starcia z żołnierzami niemieckimi i w nieco mniejszym stopniu z bolszewikami, usiłującymi i tu wzniecić rewolucję. 11 listopada 1918 r. był dniem radosnym, pełnym emocji, ale też zimnym i deszczowym

eprasa.pl 0bebdbdc49

WOJCIECH LADA

Ten dzień wpisał się w zbiorową wyobraźnię obrazkiem powszechnego entuzjazmu i rozbrajania niemieckich żołnierzy przez nieuzbrojonych przechodniów. Często istotnie tak bywało. „Zaczęło się rozbrajanie Niemców. Jako dowódca patrolu widziałem na ulicy kilkakrotnie, jak peowiacy, dowborczycy i harcerze (a także cywile, nawet niewiasty i chłopcy) rozbrajali kajzerowskich żołnierzy" – wspominał Stefan Jellenta, historyk, legionista, świadek wydarzeń. Niemcy byli tego dnia kompletnie zdezorientowani. Kilka dni wcześniej rewolucja zdetronizowała cesarza, oni sami przegrali wojnę, w większości nie mieli więc nawet pojęcia, w jakim kraju znajduje się aktualnie ich dom.

Niejasne było nawet to, kogo właściwie mają słuchać. Władzę nad armią przejęła zrewoltowana Rada Żołnierska, ale wciąż przebywali tu oficerowie – nieustanne napięcie i tarcia między tymi grupami dodatkowo osłabiały morale. A na to wszystko nakładała się niepewność w kwestii zachowania się Polaków. Mieli świadomość, że byli zaborcą i okupantem, wiedzieli, że są nad Wisłą znienawidzeni, a wielokrotnie odczuwali na własnej skórze, że Polacy potrafią szybko sięgać po broń. Wiele na temat ich obaw mówią wspomnienia samego Józef Piłsudskiego. Kiedy mianowicie Komendant przyjechał do Warszawy i zamieszkał tymczasowo w lokalu przy ul. Moniuszki 2, niemal natychmiast do jego drzwi zapukała delegacja niemieckiej Rady Żołnierskiej.

„Gdym zdziwiony tą delegacją zapytał, czego mogą chcieć ode mnie, stwierdzili, że są gotowi poddać się wszystkim moim zarządzeniom, bylebym im zagwarantował życie i swobodny odjazd do ojczyzny" – zapisał. Kiedy Piłsudski dociekał, czemu zwracają się właśnie do niego – bo nie miał przecież formalnie żadnej konkretnej władzy, „odpowiedzieli mi w sposób nadzwyczaj dowcipny [...] iż gdyby się zwrócili do kogoś innego czy do jakiejś grupy, to właśnie dlatego, że zwrócili się do tej grupy czy człowieka, zostaliby wyrżnięci przez innych" – wspominał. Trzeba przyznać, że Niemcy zdradzili doskonałą orientację w politycznym chaosie pierwszego dnia odrodzonej polskości, a przy okazji niezłą umiejętność łechtania ego przyszłego Marszałka. 11 listopada o godz. 8 rano Piłsudski udzielił im gwarancji bezpiecznego opuszczenia terytorium Polski, co wkrótce zakomunikował publicznie. „Ani jednemu z nich nie śmie stać się najmniejsza krzywda" – zażądał od zgromadzonego tłumu. Z wykonaniem tego rozkazu bywało jednak bardzo różnie.

WOJNA NERWÓW

Tego dnia niemiecka agencja Wolffa donosiła: „Żołnierze i oficerowie niemieccy, którzy opuszczają Warszawę, znaleźli się w trudnym położeniu z powodu braku połączenia kolejowego. Dziś nie otrzymano w Warszawie pism niemieckich. Także połączenie telegraficzne między Berlinem i Warszawą przerwane. Władze wojskowe niemieckie usiłowały porozumieć się z Berlinem za pomocą telegrafu iskrowego, ale bez skutku. Nadeszły wiadomości, że miasta pograniczne, zajęte przez wojska niemieckie od pierwszych niemal dni wojny, są z pośpiechem ewakuowane. Wiadomości dotyczą Częstochowy, Będzina i Sosnowca".

Zdezorientowani, ale wsparci gwarancjami Piłsudskiego, Niemcy często istotnie nie stawiali oporu przy rozbrajaniu. Nie wspominając o tym, że rozbrajali się też sami, całkiem chętnie sprzedając broń ludziom z półświatka w peryferyjnych dzielnicach – co musiało być zjawiskiem na tyle znanym, że wytknął im to nawet niedawno przybyły do Warszawy Komendant. Tak czy inaczej członkowie Legii Akademickiej, POW, dowborczycy, ale też cywile zatrzymywali na ulicach niemieckie patrole, odbierali im broń i zasadniczo puszczali wolno. Większe grupy opanowywały niemieckie urzędy, jak choćby biuro Zarządu Cywilnego w dawnym Pałacu Saskim, Belweder czy posterunki na mostach: kolejowym i Kierbedzia. Około 5 tys. żołnierzy i żandarmów niemieckich pochodzenia polskiego – jak wyliczył Lech Wyszczelski – zdezerterowało natychmiast z armii i zgłosiło się do wojska polskiego.

Wszyscy oni ryzykowali sporo, bo Niemcy pierwotnie szykowali się do obrony Zamku Królewskiego, w którym wciąż przebywał generał-gubernator Hans Hartwig von Beseler, upoważniono ich także do otwarcia ognia w przypadku próby zajęcia Cytadeli – gdzie schroniła się większość wojska. Mało tego. Miasto mogło zostać dość łatwo spacyfikowane, bo w położonej kilkanaście kilometrów od Warszawy Jabłonnie odpoczywały znaczne siły niemieckie powracające z frontu. Sytuacja była napięta, tym bardziej że akcja usuwania Niemców nie była skoordynowana i kierowana odgórnie, ale przebiegała spontanicznie. Niemcy byli zdenerwowani, Polaków zaślepiała euforia niepodległości – w tej sytuacji dość łatwo mogło dojść do poważniejszego wybuchu. O tym, że do niego nie doszło na większą skalę, zadecydował ostatecznie najprawdopodobniej rewolucyjny chaos, a pewnie i to, że wszyscy mieli już dość wojny. Zamek Królewski bez większych problemów opanowali członkowie Legii Akademickiej, Cytadelę zaś zdobyli sami zrewoltowani żołnierze niemieccy, aresztując komendanta i na dowód dobrej woli wypuszczając kilkuset osadzonych tam więźniów.

Dość sprawnie szło Polakom również odzyskiwanie dóbr materialnych, co było o tyle ważne, że Warszawa była wówczas miastem bardzo głodnym. Jak informowała prasa: „Wczoraj w godzinach rannych wyżsi urzędnicy ministerium przemysłu i handlu udali się w delegacji, na rozkaz tegoż ministerium, do niemieckiego wydziału surowców wojennych przy ul. Bielańskiej. Obecny tam jeszcze oficer niemiecki na żądanie urzędników naszych oddał pieniądze w sumie około 200 tys. marek oraz materiały w składach, do których niezwłocznie udali się młodsi urzędnicy ministerium. W magazynach urzędnicy nasi objęli w posiadanie około 300 tys. kg spirytusu, 100 tys. kg nafty, 400 tys. kg oliwy, olejów i w ogóle tłuszczów, mnóstwo manufaktury, skór, wyrobów włókienniczych, drzewa itd. Wartość tych odzyskanych surowców jest bardzo znaczna i wynosi niewątpliwie kilkanaście milionów marek".

eprasa.pl 0bebdbdc49

Sprawnie zawracano też transporty żywności idące w kierunku Wiednia lub Berlina. A bywały one ogromne. W okolicach Krakowa zatrzymano np. skład liczący czterysta wagonów, wypełnionych bydłem i trzodą chlewną.

Mimo tych sukcesów atmosfera napięcia wyraźnie unosiła się w powietrzu. Problem polegał na tym, że na ewakuację Niemcy potrzebowali co najmniej kilku dni, a w połączeniach kolejowych wciąż panował bałagan. Z każdą godziną napięcie narastało i mimo dobrej woli dowództw obu stron niemal w każdej wybuchały w mieście mniejsze lub większe starcia zbrojne, a liczba ofiar rosła po obu stronach.

DZIEŃ MAŁYCH BITEW

Piłsudski rzeczywiście zdawał sobie z tego sprawę. Jedną z pierwszych jego decyzji było mianowanie komendantem milicji w Warszawie Jana „Jura" Gorzechowskiego – jednego z najbardziej zaufanych, dawnych bojowców Organizacji Bojowej PPS. To on był jednym z szefów brawurowej akcji z 1906 r., kiedy grupa spiskowców ubranych w rosyjskie mundury bez jednego wystrzału uwolniła dziesięciu skazanych na śmierć więźniów z Pawiaka. Gorzechowski po mistrzowsku odegrał rolę dowódcy rzekomego konwoju, co było tym bardziej niezwykłe, że po rosyjsku znał podobno zaledwie kilka słów i potwornie kaleczył akcent. Akcja była na tyle głośna, że kilka lat później powstanie o niej nawet film, „Dziesięciu z Pawiaka". Nawet jednak on nie był w stanie całkowicie zapanować nad ekscesami rozgrywającymi się 11 listopada w Warszawie. Tylu strzałów i eksplozji w mieście warszawiacy nie słyszeli tak naprawdę przez cały czas trwania wojny. Bywały to niekiedy wręcz małe bitwy.

„Kurier Warszawski" donosił: „Na Muranowie i w obrębie dworca kowelskiego podczas wymiany strzałów między oddziałem wojska polskiego a stawiającym opór w oddaniu cytadeli oddziałem niemieckim wiele osób cywilnych odniosło wczoraj rany od strzałów kierowanych z Cytadeli". Dziennikarze podają nazwiska około 20 takich ofiar, zaznaczając, że lista ta nie jest pełna. Podobne epizody rozgrywały się również w innych częściach miasta. Reporterzy tego samego dziennika informowali dalej: „W ciągu całego dnia trwała z pewnymi przerwami strzelanina na Nalewkach, gdzie oddział wojska niemieckiego opierał się przekazaniu gmachu rządowego i broni. Stawiają również opór podchorążowie szkoły niemieckiej na Pradze, z którymi dochodzi do wymiany strzałów".

„Kurier Warszawski" donosił: „W ciągu całego dnia trwała z pewnymi przerwami strzelanina na Nalewkach, gdzie oddział wojska niemieckiego opierał się przekazaniu gmachu rządowego i broni. Stawiają również opór podchorążowie szkoły niemieckiej na Pradze, z którymi dochodzi do wymiany strzałów". Podobnie działo się „na Muranowie i w obrębie dworca kowelskiego". „Wiele osób cywilnych odniosło wczoraj rany od strzałów kierowanych z Cytadeli"

Mnożyły się też drobniejsze incydenty, zwłaszcza wówczas, gdy ludność cywilna sama brała się za konfiskowanie poniemieckiego mienia. Choć tu akurat chyba nikt nie chciał nikogo zabijać. Wszędobylscy dziennikarze „Kuriera Warszawskiego" wyliczali: „O godz. 10, na ul. Kolejowej, jakiś Niemiec strzelił w ucho 28-letniej Józefie Skoneckiej, wyrobnicy. Na stacji towarowej Warszawa Wiedeńska, przy rabowaniu węgli, żołnierz niemiecki postrzelił w pośladek 26-letniego Stanisława Dębickiego...". Lista podobnych przypadków była znacznie dłuższa.

To wszystko peryferia miasta, ale niebezpiecznie bywało także w ścisłym centrum. W biurze dyrekcji kolei, na rogu Nowego Światu i Alej Jerozolimskich, niemieccy żołnierze bronili się przez kilka godzin. Ich kule dosięgły nawet przypadkowych przechodniów, ale też popijających kawę w ogródku kawiarni Nadświdrzańskiej. Dwóch z nich zmarło na miejscu. Do największego i najdłuższego starcia doszło jednak na placu Teatralnym, gdzie rozgorzała prawdziwa bitwa o ratusz. „Dziś [...] doszło do ostrej wymiany strzałów na placu Teatralnym pomiędzy oddziałem wojska polskiego a oddziałem niemieckim, strzegącym prezydium policji niemieckiej, które odmówiło jakoby wydania nagromadzonych w ratuszu olbrzymich zapasów i materiałów i skonfiskowanej w swoim czasie ludności broni. Strzelanina przy użyciu karabinów maszynowych i granatów ręcznych trwała do późnej nocy. Wynik tego oblężenia w chwili wydawania numeru nie jest znany" – informowali na gorąco reporterzy „Kuriera Warszawskiego". Wygrali rzecz jasna Polacy, ale liczba ofiar była znaczna.

STARCIE DWÓCH REWOLUCJI

Ale nie tylko starcia z Niemcami powodowały, że 11 listopada był dniem bardzo brutalnym. Kolejną przyczyną rozlewu krwi była kwestia bolszewicka. Nie wiadomo, kto konkretnie był inicjatorem zajść, ale faktem jest, że pojawiły się próby wywołania rewolucji także w Warszawie, a antypolskie okrzyki pojawiały się w trakcie komunistycznych manifestacji. Wbrew pozorom nie były one niepopularne, ale wywoływanie ich tego akurat dnia, kiedy euforia niepodległości osiągała szczyty, było pomysłem bardzo karkołomnym.

„W ciągu wczorajszego dnia zaszło mnóstwo epizodów na ulicach. Epizody te miały wszędzie niemal związek z powszechnym przeciwbolszewickim nastrojem, jaki ogarnął całą ludność

eprasa.pl 0bebdbdc49

Oficer dowborczyków przyjmuje raport z akcji rozbrajania Niemców w Warszawie w dniu 11 listopada 1918 r.

Fot. Tygodnik Ilustrowany

stolicy. Emisariusze rosyjscy, którzy w ciszy przygotowywali ze swoimi warszawskimi kamratami i którzy wcześniej byli poinformowani o rozpoczynającym się w sobotę likwidowaniu okupacji – wyruszyli na ulice, myśląc, iż pójdą za nimi tłumy i że nad Warszawą rozpostrzą swój krwawiący sztandar" – informowano następnego dnia w „Kurierze Codziennym", a koledzy z „Kuriera Warszawskiego" dodawali: „W różnych dzielnicach miasta odbyły się próby manifestowania przeciw Polsce i wojsku polskiemu. Dość liczny tłum z czerwonym sztandarem szedł w dzielnicy wolskiej ulicą Chłodną. Oddział żołnierzy polskich, idący na mszę św. do kościoła, był sprowokowany przez manifestantów i w 60 osób bez użycia broni przy pomocy pasów i pięści rozproszył tłum liczący 2000 ludzi".

W tym przypadku obeszło się bez rozlewu krwi. Bywały jednak sytuacje znacznie bardziej groźne. Dziennikarze „Kuriera Warszawskiego" byli na miejscu, kiedy „zuchwałego napadu na żołnierzy polskich dopuścili się bolszewicy około godz. 17.30 na ul. Królewskiej. W czasie tym z dowództwa 1 brygady powracał do koszar na ul. Ciepłą oddział 20 żołnierzy, z których tylko 5 uzbrojonych było w karabiny. Gdy oddział znalazł się u zbiegu Marszałkowskiej i Królewskiej, z przejeżdżającej bryczki posypały się strzały rewolwerowe do żołnierzy, po czym napastnicy popędzili szybko Marszałkowską w kierunki Siennej. Zaskoczeni tym zamachem żołnierze puścili się w pogoń. Gdy pogoń za uciekającymi wydawała się już utrudniona, dali salwę z karabinów. Bryczka przewróciła się, a z pośród uciekających jeden padł trupem, dwóch zranionych, a dwóch z rewolwerami w rękach zbiegło".

Drobniejszych epizodów wynikających z „antybolszewickiego nastroju" było, jak oceniali dziennikarze, znacznie więcej. Na łamach wyliczano: „W różnych punktach miasta zaszły następujące wypadki: Na ul. Ciepłej, ok. godz. 16, robotnik Szaja Robak, lat 32, otrzymał ranę w plecy bagnetem. Na pl. Bankowym, ok. godz. 18, otrzymał ranę postrzałową 16-letni Julian Kieszkowski. O godz. 9 w obrębie kolejki grójeckiej, podczas strzelaniny, odnieśli rany przypadkowo: 26-letni Jan Sikora, kowal, i 21-letni Kazimierz Woźniak, konduktor. Na Powązkach 40-letni Jan Cieślewski, woźnica, otrzymał ranę kłutą bagnetem w plecy. Ok. godz. 21 rozległ się szereg strzałów w pobliżu dworca wiedeńskiego. Po pierwszych strzałach nastąpiły salwy z rewolwerów i karabinów. Strzelanina trwała blisko godzinę".

Co ciekawe, komunistyczna agitacja w niemieckich szeregach nie wywołała żadnej reakcji. Sylwester Okoń, policjant X Komisariatu Policji Państwowej, w raporcie dla swojego dowódcy opisał charakterystyczną sytuację, która zdarzyła się na Dworcu Głównym: „Do tłumu [cywilów – przyp. aut.] przed dworzec wyszedł oficer niemiecki z plutonem żołnierzy uzbrojonych, którzy stanęli w szyku rozwiniętym na stopniach, zasłaniając wejście na dworzec, z bronią u nogi, którzy najprawdopodobniej czekali dalszych rozkazów. W tym momencie wyszedł żołnierz niemiecki, w czapce z czerwonym lampasem, mundur rozpięty, kokarda czerwona na lewym boku, twarz ogorzała, i bystro przystąpił do oficera, coś mu powiedział, chwycił hełm z głowy, zerwał orła, rzucił na ziemię i również zwrócił się do stojącego plutonu, ostro coś do nich przemawiając. Niemcy stali jak wryci; dało się zauważyć zabicie w nich ducha zupełne. Wówczas stojący tłum krzyknął: »marsz, naprzód, hurra!«. Wraz z tłumem wtargnęliśmy do środka, zabierając Niemcom karabiny [...] Niektórzy z nich sami zanosili broń i amunicję z dworca, składając takową w salce wejścia głównego".

Tego dnia rozszalał się także pospolity bandytyzm ludzi marginesu skuszonych, jak zwykle w takich sytuacjach, perspektywą łatwego rabunku.

CZEKAJĄC NA POCIĄG

„12 listopada dla Piłsudskiego sprawą najważniejszą był sprawny i spokojny przebieg ewakuacji żołnierzy niemieckiego garnizonu. W Cytadeli zgrupowało się bowiem 8 tysięcy żołnierzy niemieckich, którzy wyrażali gotowość do walki, gdyby ich postulaty nie zostały spełnione" – pisał Wyszczelski. A postulaty te dotyczyły wyłącznie możliwości dostania się do pociągu, który zawiezie ich do domu. Ich dowódca gen. Beseler nie czekał nawet na to. Już tego dnia odpłynął statkiem Wisłą do Prus Wschodnich. Większość pozostałych musiała w niepewności czekać do 19 listopada, a 15 listopada wybuchła z tej niepewności nawet strzelanina w okolicach Cytadeli.

* * *

11 listopada było szaro, zimno i coś siąpiło z nieba. Nikomu to jednak nie przeszkadzało. „Niepodobna oddać tego upojenia, tego szału radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął" – wspominał ten dzień premier Jędrzej Moraczewski.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Rzeczpospolita Zakopiańska

Rzeczpospolita Zakopiańska – przysięga żołnierzy

Tradycje patriotyczne miały na Podhalu dawne i głębokie korzenie. Należy wspomnieć o powstaniu chochołowskim z 1846 r., które spotkało się z szerokimi represjami Austriaków. Później, gdy nastąpiła autonomia galicyjska, działalność organizacji niepodległościowych w środowisku góralskim opierano na fundamentach przygotowanych przed laty przez inicjatorów powstania chochołowskiego

Z Piotrem Bąkiem, starostą tatrzańskmi, byłym burmistrzem Zakopanego, rozmawia Piotr Słabek

Jak to się stało, że w 1918 r. jednym z pierwszych skrawków wolnej Polski była Rzeczpospolita Zakopiańska?

Piotr Bąk: Zakopane na przełomie wieków było miejscem szczególnym. Jak wiemy, Polskę podzielono między trzech zaborców – Polacy jako naród nie posiadali własnej stolicy. Mieli jednak swoje miejsce spotkań, „letnią stolicę Polski", jak określano Zakopane – modne wówczas uzdrowisko, gdzie spotykały się polskie elity intelektualne, kulturalne, polityczne i gospodarcze. W związku z obecnością ludzi z wszystkich trzech zaborów w Zakopanem istniało bardzo bogate życie społeczne. Prowadzono działalność konspiracyjną – pod Tatrami kilku członków miała Liga Narodowa, później pojawili się socjaliści i Piłsudski. To wszystko rzutowało na społeczność góralską, która powołała swoją

eprasa.pl 0bebdbdc49

organizację – Związek Górali. Pierwszy Zjazd Podhalan odbył się w Zakopanem w 1911 r. Wtedy na zakopiańskim rynku (obecnie plac Niepodległości) odsłonięto pomnik grunwaldzki autorstwa Wojciecha Brzegi. Tak więc nastroje patriotyczne obecne w Zakopanem dotyczyły zarówno górali, jak i przybyszy. W pracy niepodległościowej korzystano z możliwości, jakie dawała autonomia galicyjska.

O patriotyzmie górali świadczy również to, że w 1914 r., gdy wybuchła wojna, do Legionów zgłosiło się blisko 200 ochotników z Zakopanego – co jak na wielkość uzdrowiska było imponującą liczbą. Musimy pamiętać, że mężczyźni w wieku poborowym nie mogli iść do Legionów, ponieważ podlegali poborowi do armii Austro-Węgier. Tych 200 ochotników to byli młodzieńcy i starsi mężczyźni – dobrym przykładem jest tutaj rodzina Bachledów-Tadziaków, z której do Legionów zgłosił się Jędrzej Bachleda-Tadziak, 58-letni ojciec rodziny, ale też jego 17-letni syn Zbigniew. W Zakopanem bardzo prężnie funkcjonował Sokół, istniał silny ośrodek skautowy, organizował swoje manewry Strzelec, a w sąsiednich wioskach powstały mocne liczebnie Drużyny Podhalańskie – działalność tych organizacji przełożyła się na dużą liczbę ochotników.

Zresztą tradycje patriotyczne miały na Podhalu dawne i głębokie korzenie. Należy wspomnieć o powstaniu chochołowskim z 1846 r., które spotkało się z szerokimi represjami Austriaków. Później, gdy nastąpiła autonomia galicyjska, działalność organizacji niepodległościowych w środowisku góralskim opierano na fundamentach przygotowanych przed laty przez inicjatorów powstania chochołowskiego.

Jakie wydarzenia doprowadziły do powstania Rzeczypospolitej Zakopiańskiej?

Możemy powiedzieć, że inicjatywa wyszła od środowisk Narodowej Demokracji z jednej strony, z drugiej zaś uczestniczyła w niej Polska Organizacja Wojskowa (POW), której tajna komórka znajdowała się w Zakopanem. 13 października 1918 r., gdy przegrana Niemiec i Austro-Węgier była już przesądzona, licznie zgromadzeni przez wójta Wincentego Regieca mieszkańcy Zakopanego zebrali się w sali Sokoła. Było to blisko 200 osób – co jak na realia Zakopanego stanowiło niemałą grupę. Podjęli oni jako zgromadzenie publiczne uchwałę, która głosiła:

„Wobec przyjęcia zasad pokojowych prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona przez państwa rozbiorowe, uważamy się odtąd za obywateli wolnej, niepodległej i zjednoczonej Polski. Tej Polsce winniśmy wierność i posłuszeństwo, mienie i krew naszą, nie uznajemy żadnych więzów, tym najświętszym obowiązkom przeciwnych".

Było to de facto zbiorowe wypowiedzenie posłuszeństwa cesarsko-królewskiej monarchii. W wyniku zebrania powołano Organizację Narodową (ON), w której skład wchodziło reprezentatywne grono 50 osób, wraz z zarządem oraz prezesem, na którego wybrano Stefana Żeromskiego – znanego pisarza i osobę o niekwestionowanym autorytecie, szanowaną przez wszystkie ówczesne strony polityczne. Ponadto wybrano trzech jego zastępców, którzy odpowiadali trzem głównym nurtom politycznym w Zakopanem. Pierwszym z nich był Franciszek Pawlica, prezes Związku Górali związany z PSL „Piast". Drugim – mjr Mariusz Zaruski, legionista, taternik i twórca Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Trzecim zastępcą został Wincenty Szymborski, związany z endecją, zarządca dóbr hr. Władysława Zamoyskiego, ojciec późniejszej noblistki. Funkcję sekretarza powierzono Medardowi Kozłowskiemu. Nowo powstała ON miała na celu przygotowanie gruntu do ustanowienia niepodległości.

> 2 listopada 1918 r. na zakopiańskim rynku przed pomnikiem Władysława Jagiełły odbyło się publiczne zaprzysiężenie wojska. Żeromski, jako prezydent Rzeczpospolitej Zakopiańskiej, odebrał także przysięgę od naczelnika gminy, dyrektorów szkół, naczelników poczty i kolei, komendanta żandarmerii i przełożonego gminy żydowskiej. Tak doszło do zrzucenia zwierzchności austriackiej

Niezależnie od ON, konkretne przygotowania podjęte zostały przez komórkę Polskiej Organizacji Wojskowej, która działała w szpitalu austriackiego Czerwonego Krzyża. Dawne Sanatorium dr. Chramca zostało w okresie wojny przejęte przez Czerwony Krzyż, który zamienił je w szpital wojskowy. Swoją siedzibę miał tam także oddział wartowniczy. Obecnie w budynku tym mieści się siedziba starostwa powiatowego i Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Na czele komórki POW stał kpt. Marian Bolesławicz. Mając zamiar rozbroić garnizon, wraz ze współpracownikami przygotowywali zbrojne przejęcia władzy w Zakopanem, czekając na rozkaz z Krakowa.

Do działania przystąpili równolegle z akcją rozbrajania w Krakowie, 31 października rano, za pomocą fortelu. W grupie Mariana Bolesławicza tylko oficerowie mieli szable – trzeba było więc zdobyć broń. W czasie gdy oddział wartowniczy odbywał poranne ćwiczenia musztry na placu przed szpitalem, kpt. Bolesławicz pojawił się na placu, rzekomo aby dokonać inspekcji. Rozkazał żołnierzom ustawić broń w kozły i zarządził ćwiczenia w biegach. Następnie wezwał żołnierzy narodowości polskiej, polecił im pobrać karabiny i po krótkim wyjaśnieniu przejął nad nimi komendę. Pozostali żołnierze obcej narodowości znaleźli się w areszcie domowym.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Zakopane, wiec pod pomnikiem Grunwaldzkim na rynku

Polscy żołnierze rozbroili posterunek żandarmerii, opanowali dworzec, pocztę i telegraf. Po zajęciu najważniejszych punktów Zakopanego kpt. Bolesławicz udał się do Stefana Żeromskiego, który przebywał w willi Władysławka na Kasprusiach (obecnie Czerwony Dwór). Po złożeniu meldunku o przejęciu władzy w Zakopanem poprosił o dalsze rozkazy. 1 listopada Organizacja Narodowa przerodziła się w Radę Narodową, a 2 listopada na zakopiańskim rynku przed pomnikiem Władysława Jagiełły, postawionym w trakcie zjazdu Podhalan w 1911 r., odbyło się publiczne zaprzysiężenie wojska. Żeromski, jako prezydent Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, odebrał także przysięgę od naczelnika gminy, dyrektorów szkół, naczelników poczty i kolei, komendanta żandarmerii i przełożonego gminy żydowskiej. Tak doszło do zrzucenia zwierzchności austriackiej i utworzenia Rzeczypospolitej Zakopiańskiej. Myślę, że warto przytoczyć tutaj fragment przemówienia Żeromskiego:

„W oczach naszych dokonuje się przekształcenie, przeistoczenie rozszarpanej całości narodowej w państwo samorządne. Ale nie można czekać, aż państwo to stanie się samo. Wyskoczy na rozkaz. Ono musi powstawać w każdym człowieku, w każdym czynie, w każdej instytucji, w każdej wsi, w każdym okręgu. Radujmy się, obywatele, że i nam w małym naszym świecie przypadło w udziale przyczynianie się do wielkiego szczęścia Ojczyzny. Do spełnienia tego cudu, na który patrzymy szczęśliwymi oczyma. Cudu wskrzeszenia Polski".

16 listopada 1918 r., wobec objęcia zarządu Galicji przez Polską Komisję Likwidacyjną, Rada Narodowa w Zakopanem się rozwiązała, a Rzeczpospolita Zakopiańska, po dwutygodniowej niepodległości, stała się częścią II RP.

Jaki obszar obejmowała Rzeczpospolita Zakopiańska? Czy były inicjatywy przejmowania okolicznych rejonów i wiosek?

Proklamowana Rzeczpospolita Zakopiańska obejmowała swoim zasięgiem obszar zakopiańskiej gminy. Mjr Zaruski udał się do Nowego Targu i w porozumieniu z nowotarskim starostą uformowano, oczywiście adekwatne do skali tej Rzeczpospolitej, siły zbrojne. Następnie zadecydowano o akcji na Spiszu i Orawie. Jak wiemy, Zakopane i Podhale było częścią terytorium b. Galicji, natomiast po drugiej stronie Tatr oraz na wschód i na zachód od Podhala znajdowały się obszary należące do terytorium Węgier. W tamtym czasie na terenach Spisza i Orawy, należących do Górnych Węgier, przylegających do Podhala, zamieszkiwało ponad 100 tys. ludności polskiego pochodzenia. Ludność ta na co dzień posługiwała się polską gwarą góralską. Jeszcze przed wojną była tam prowadzona tzw. akcja budzicielska, która miała na celu obudzenie świadomości narodowej tych społeczności.

Ówcześnie powszechne było przekonanie, że po zakończeniu wojny o granicach przyszłych państw będzie decydować przynależność narodowa mieszkańców, zgodnie z zasadami pokojowymi Wilsona. Jako oczywiste przyjmowano, że te obszary Górnych Węgier, gdzie zamieszkuje mniejszość narodowa polska, powinny się znaleźć w graniach państwa polskiego. W sąsiedztwie Podhala były to tereny Spisza i Orawy. Dlatego już 5 listopada liczący 26 żołnierzy oddział por. Tadeusza Dąbrowskiego wyruszył pieszo z Czarnego Dunajca na Orawę – zajęli oni miejscowość Piekielnik i Jabłonkę, stolicę górnej Orawy – która odtąd do dzisiaj znajduje się w granicach Rzeczypospolitej. Równocześnie 13-osobowy pluton por. Jerzego Lgockiego pociągiem dotarł do Suchej Góry i Głodówki, rozbroił żandarmów węgierskich i zajął

eprasa.pl 0bebdbdc49

Stefan Żeromski

obydwie miejscowości. Tereny te w 1924 r. państwo polskie przekazało Czechosłowacji w ramach wymiany za południowe zbocza Babiej Góry.

Wśród żołnierzy uczestniczących w tej akcji było m.in. 12 gimnazjalistów z Zakopanego, przeszkolonych pod względem wojskowym w tamtejszej I Drużynie Harcerzy. W ich gronie znajdował się także 14-letni syn płk. Andrzeja Galicy – szer. Władysław Galica, który przyprowadził tę grupę kolegów rówieśników do formującego się w Nowym Targu oddziału. Niebawem jednak, czyli 12 listopada, naczelny wódz Józef Piłsudski wydał zwierzchnikowi Polskiej Komendy Wojskowej w Krakowie gen. Bolesławowi Roi polecenie zaprzestania działań zbrojnych na Spiszu i Orawie oraz wycofania stacjonujących tam oddziałów poza dawną granicę galicyjsko-węgierską. Stało się to prawdopodobnie w związku z interwencją przedstawicieli ententy, do których dotarła informacja, że polskie wojska przystąpiły do okupacji Górnych Węgier. Do Piłsudskiego udał się wtedy mjr Mariusz Zaruski, by skłonić Komendanta do cofnięcia tej decyzji. Piłsudski, po uzyskaniu stosownych wyjaśnień, a przede wszystkim, gdy przekonał się, że są tam zaangażowane bardzo niewielkie siły wyraził zgodę na ich pozostawienie.

Tak więc można powiedzieć, że działalność Rzeczypospolitej Zakopiańskiej obejmowała również politykę zagraniczną. Jej przedstawiciele podjęli także rozmowy z węgierskim żupanem komitatu orawskiego oraz Słowacką Radą Narodową w Dolnym Kubinie dotyczące polskich praw do górnej Orawy.

Osobną historią z tamtych dni, która mogłaby stanowić osnowę scenariusza filmu fabularnego, jest historia „cwancygierów" – 20 galicyjskiego pułku piechoty. Żołnierzami tego austriackiego pułku byli górale, poborowi z Podhala i Sądecczyzny. W 1918 r. pułk ten brał udział w zwycięskich austriackich operacjach wojennych w północnych Włoszech, które zakończyły się ustabilizowaniem frontu na rzece Piawie. Jesienią 1918 r., gdy pułk znajdował się pod San Donà di Piave, doszło do kompletnego rozprężenia w ck armii austro-węgierskiej i załamania się austriackiej obrony. W 20 pułku piechoty, za sprawą tajnej organizacji Wolność, związanej z POW, doszło do buntu. Młodsi oficerowie – Polacy – przejęli władzę nad pułkiem. Akcję rozpoczął por. Wawrzyniec Typorowicz, stało się to 2 listopada, w dniu gdy Żeromski odbierał przysięgę wojska na rynku w Zakopanem. Mimo że austro-węgierska ck armia ulegała całkowitemu rozkładowi, 20 pułk piechoty w sile 1,2 tys. żołnierzy pozostał zorganizowany i karny. Stało się to za sprawą polskich oficerów, którzy dążyli do utrzymania jednostki w całości i doprowadzenia jej do Polski. Wycofywanie odbywało się w zwartym szyku, z bronią i taborami z żywnością. Po wycofaniu się z północnych Włoch do Słowenii w Lublanie udało się opanować pociąg. Następnie pułk pod dowództwem por. Stanisława Plapperta ruszył w kierunku Nowego Sącza. Poprzez Graz, Wiedeń, Brno i Bogumin 19 listopada dotarł do Nowego Sącza, opierając się kilkukrotnym próbom rozbrojenia. 1 grudnia 1918 r. pułk został przemianowany na 1 Pułk Strzelców Podhalańskich, tym samym stając się pierwszą formacją górską w dziejach Wojska Polskiego. Powrót 20 galicyjskiego pułku piechoty „z ziemi włoskiej do Polski", z bronią w ręku i licznym sprzętem wojennym, był nie tylko wyrazem patriotyzmu i determinacji Polaków, lecz także ogromnym sukcesem organizacyjnym i militarnym. Utrzymanie dyscypliny wśród żołnierzy wobec powszechnej anarchii i nastrojów rewolucyjnych stanowiło wyjątkowy wyczyn i było owocem jakości pracy konspiracyjnej oficerów – Polaków z organizacji Wolność.

***Piotr Bąk** – działacz samorządowy i harcerski, starosta tatrzański, były burmistrz Zakopanego, geodeta. W latach 1989–1995 przewodniczący Zarządu Obwodu Tatrzańskiego Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej (posiada stopień harcmistrza). Jeden z organizatorów pielgrzymki Ojca św. Jana Pawła II na Podhale i w Tatry w 1997 r. W latach 1998–2009 członek Rady Tatrzańskiego Parku Narodowego, 2000–2006 – wiceprzewodniczący Związku Euroregion Tatry. Od października 2015 r. członek Narodowej Rady Rozwoju powołanej przez prezydenta Andrzeja Dudę. Jest prezesem Stowarzyszenia Klub im. Władysława Zamoyskiego w Zakopanem.*

Fot. Muzeum Tatrzańskie x 2, materiały prasowe x 2

eprasa.pl 0bebdbdc49

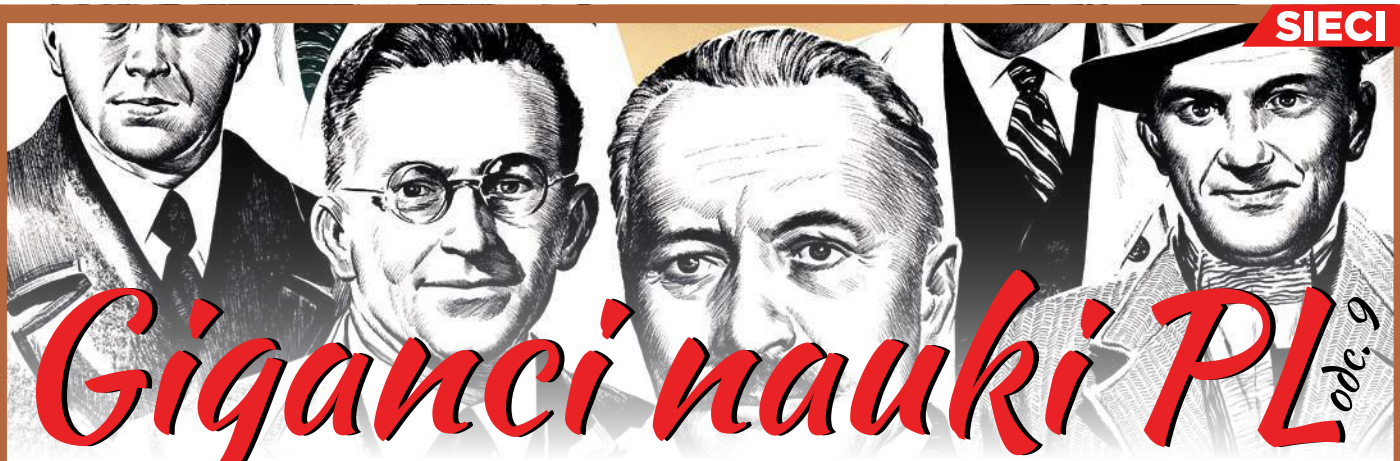

Giganci nauki PL odc. 9

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce i światu o wspaniałych rodakach

Jerzy Rudlicki
(1893–1977)

rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNER DODATKU

ORLEN

PARTNER MERYTORYCZNY

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN HN

eprasa.pl 0bebdbdc49

Zwycięzcy na tajnym froncie wojny

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Dorobek pracy ponad 5 tys. polskich inżynierów i naukowców na Zachodzie był naszym najcenniejszym wkładem w zwycięstwo aliantów nad Niemcami

Od połowy lat 80. XX w. coraz pełniej poznajemy nieznany wcześniej aspekt polskiego udziału w II wojnie światowej. Kiedy opuszczona przez wiarołomnych sojuszników II Rzeczpospolita, po utraceniu w nierównej walce własnego terytorium, kontynuowała bowiem walkę, odbudowując swoje siły zbrojne pod obcym niebem, dysponowała też dodatkowym orężem. Byli nim polscy inżynierowie i naukowcy, którzy – w znacznym stopniu celowo ewakuowani – znaleźli się obok wojskowych na Zachodzie, głównie w Wielkiej Brytanii, by pracować intelektualnie dla zwycięstwa aliantów nad Niemcami.

Wedle ewidencji na 1 stycznia 1944 r. było ich 5592, z czego w siłach zbrojnych 4049. Wniesiony przez nich wkład polegał na doskonaleniu sprzętu przydatnego militarnie. Obfitował w liczne osiągnięcia wynalazcze, wśród których znalazły się udoskonalenia najdonioślejszej rangi. Przyczyniły się one wymiernie do zmniejszenia strat własnych sprzymierzonych, do uzyskania przez nich przewagi nad Niemcami w konkretnych dziedzinach, a przez to do skrócenia trwania wojny.

Można zaryzykować opinię, że dorobek tych ludzi był najcenniejszym polskim wkładem w zwycięstwo. Ich indywidualnych, a więc niepowtarzalnych sukcesów wynalazczych nie dałoby się bowiem zastąpić, polskie wojska zaś – choćby najwaleczniejsze – można by zastąpić innymi, znacznie liczniejszymi i odpowiednio lepiej wyposażonymi. Oddając więc należną cześć polskiej ofierze krwi, trzeba wszakże pamiętać również o owym, zapewne praktycznie skuteczniejszym, naszym wkładzie intelektualnym w zwycięstwo. I o jego twórcach, których w chwili próby najwyraźniej wspomagał i uskrzydlał intelektualnie patriotyzm.

Czemu zatem dowiadujemy się o chlubnych polskich dokonaniach z takim opóźnieniem. Złożyło się na to parę przyczyn. Prace te i ich wyniki były ściśle tajne. Bardzo niewielu z ich twórców wróciło do pojałtańskiej Polski. Po wojnie nie było komu sławić tych polskich zasług. Cenzura peerelowska dbała przecież o to, by nic się dobrze nie kojarzyło z Polską przedwojenną. To przemilczanie było więc jej na rękę. Toteż środki masowego przekazu w PRL nie informowały o największych nawet sukcesach naukowych czy technicznych pogrobowców II Rzeczypospolitej na obczyźnie. Brytyjczycy zaś, nigdy nieskorzy do chwalenia innych, byliby w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji, przypominając o zasługach porzuconego sojusznika...

Dzisiaj coraz więcej wiemy o tym polskim dorobku, choć z pewnością jeszcze nie wszystko. Należy go uznać za zaskakująco imponujący. Pokazujemy jego twórców na czterech smakowitych przykładach.

Flagową postacią jest tym razem Jerzy Rudlicki, bo mało kto w Polsce nie słyszał o samolotach B-17, amerykańskich latających fortecach, a oto okazuje się, że przyczyniliśmy się do ich wspaniałości. Rudolfowi Gundlachowi należy się miejsce, gdyż jego peryskop był jednym z najdonioślejszych ulepszeń broni pancernej w skali światowej. O Józefie Kosackim warto wiedzieć, by się nie irytować, że wedle jednego z polish jokes „polski wykrywacz min polega na tupaniu nogą". A Zygmunt Jelonek był ponoć jedynym Polakiem wymienionym w rozkazie dziennym naczelnego dowództwa sprzymierzonych w D-Day (6 czerwca 1944). Warto zwrócić uwagę, że dwaj ostatni wyszli spod ręki Janusza Groszkowskiego, przed wojną jednego z ważnych pionierów radaru. Groszkowski podczas wojny przebywał w okupowanym kraju. Na miarę konspiracyjnych możliwości uczestniczył też w owym polskim wkładzie intelektualnym w zwycięstwo. Kiedy w maju 1944 r. Armia Krajowa przechwyciła niemiecki pocisk rakietowy V-2, który zboczył z kursu podczas ćwiczebnego lotu we wschodniej Polsce, zbadał jego układ sterujący. Uzyskaną wiedzę przesłano do Londynu, by dopomogła w zwalczaniu owej wunderwaffe Hitlera, terroryzującej mieszkańców południowo-wschodniej Anglii.

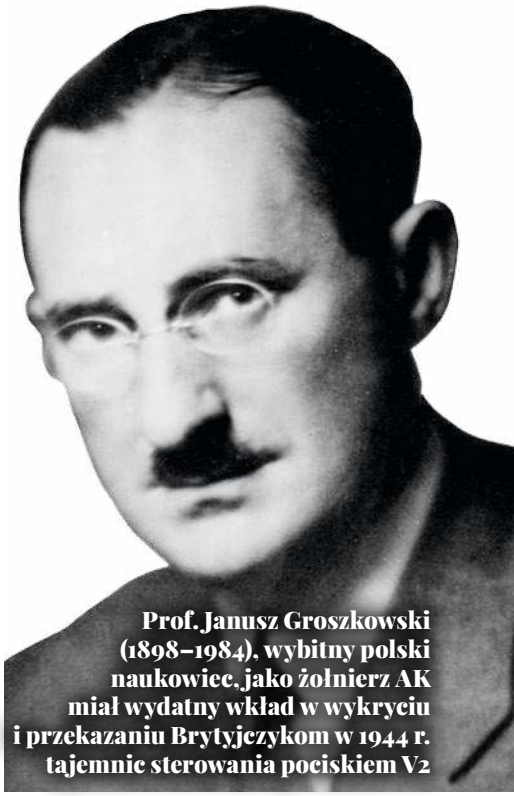

Prof. Janusz Groszkowski (1898–1984), wybitny polski naukowiec, jako żołnierz AK miał wydatny wkład w wykryciu i przekazaniu Brytyjczykom w 1944 r. tajemnic sterowania pociskiem V2

Fot. NAC

Spod ręki Groszkowskiego wyszły też dwie znakomitości, dla których zabrakło miejsca w dzisiejszej prezentacji, ale nie sposób w niej o nich nie wspomnieć. Chodzi o Wacława Struszyńskiego (1904–1980), który wynalazł antenę namiarową pozwalającą lokalizować niemieckie okręty podwodne, kiedy w wynurzeniu łączyły się radiowo z bazą. Instalowana na okrętach eskortujących konwoje pomogła ona wygrać bitwę o Atlantyk. Oraz o Juliusza Huperta (1910–1995), który wynalazł stabilizator częstotliwości radiowych nadajników okrętowych. Podobnych postaci mamy w „Słowniku" kilkanaście.

Dzisiejszych prezentacji dokonano w oparciu o biogramy pióra, w kolejności: Andrzeja Glassa, Piotra Matejuka, Michała Staniszewskiego i Krzysztofa Dąbrowskiego.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Jerzy Rudlicki (1893–1977)

Jerzy Stanisław Rudlicki urodził się 14 marca 1893 r. w Odessie, jako syn Walerego, inżyniera, i Teresy z Urbańskich.

W Odessie ukończył gimnazjum klasyczne. W 1907 r. zaprojektował amatorską nadawczo-odbiorczą iskrową stację telegraficzną z zapisem literowym. W 1908 r. uzyskał II nagrodę Akademii Sztuk Pięknych na Wszechrosyjskiej Wystawie Rysunków Szkolnych w Petersburgu za tablice owadów i roślin. W latach 1909–1911 zaprojektował i zbudował siedem szybowców, na których wykonywał loty holowane na linie za koniem. Za ostatni z nich otrzymał dyplom wyróżnienia od odeskiego oddziału Cesarskiego Rosyjskiego Stowarzyszenia Technicznego, a ponadto latawce jego konstrukcji zakupił przedstawiciel szacha perskiego. Następną konstrukcją Rudlickiego był samolot, którego budowę rozpoczął w 1914 r. wraz z kolegą S.T. Dobrowolskim.

Był nie tylko odważnym pilotem, sprawnym inżynierem, utalentowanym konstruktorem samolotów i płodnym wynalazcą, lecz także rolnikiem i społecznikiem

Rudlicki podczas I wojny światowej był obserwatorem w eskadrze lotniczej 8. korpusu lotnictwa rosyjskiego na froncie południowo-zachodnim. Za fotografie frontu i fortyfikacji Dubna został odznaczony Krzyżem św. Włodzimierza z Mieczami. W Symferopolu przeszedł kurs pilotażu, następnie powrócił na front. Był dwukrotnie zestrzelony i ranny. Przedostał się do organizujących się polskich oddziałów wojskowych w Mińsku Litewskim, na których polecenie pojechał w 1918 r. jako kurier do Harbinu, a stamtąd przez Suez do Marsylii, gdzie wstąpił do oddziałów lotniczych armii gen. Hallera we Francji, w których został przeszkolony w pilotażu samolotu Breguet 14. W styczniu 1919 r. został wysłany z misją wojskową do Stambułu statkiem „Chacula", który zatonął w Cieśninie Messyńskiej. Rudlicki się uratował i powrócił do Francji.

Na wiosnę 1919 r. Rudlicki przyjechał wraz z armią Hallera do Polski; we wrześniu tego roku jako kapitan pilot został dowódcą 16. eskadry wywiadowczej, z którą w 1920 r. brał udział w wyprawie kijowskiej, w ofensywie na Grodno i operacjach Wojsk Litwy Środkowej gen. Lucjana Żeligowskiego. Następnie wyjechał do Francji, studiował (1921–1922) w École Superieure d'Aéronautique w Paryżu i uzyskał dyplom inżyniera. W latach 1922–1925 pracował w Polskiej Wojskowej Misji Zakupów w Paryżu, odbierał silniki do samolotów zamówione dla polskiego lotnictwa. W 1925 r. wrócił do kraju i rozpoczął pracę w Instytucie Badań Technicznych Lotnictwa. W 1926 r. w wytwórni lotniczej Zakładów Mechanicznych Plage i Laśkiewicz w Lublinie objął stanowisko naczelnego konstruktora. Według jego projektu w 1928 r. powstał w tej wytwórni samolot wywiadowczo-bombowy Lublin R-VIII, zbudowany w serii pięciu sztuk, używany później przez lotnictwo morskie. Następnie opracował wersję bombową samolotu pasażerskiego Fokker F-VIIB/3m, budowaną w Lublinie na licencji. Na dwumiejscowym samolocie łącznikowym konstrukcji Rudlickiego – Lublin R-X (zbudowanym w serii 10 sztuk) inż. W. Makowski dokonał w 1929 r. przelotu bez lądowania z Poznania do Barcelony (1800 km), a w 1931 r. kpt. S. Karpiński i inż. J. Suchodolski odbyli rajd dookoła Europy długości 6450 km. W 1932 r. załoga S. Karpiński i mechanik W. Rogalski wykonała na nim rajd nad Afryką i Azją długości 14 390 km.

Samolotem skonstruowanym przez Rudlickiego, wyprodukowanym w największej liczbie egzemplarzy, był łącznikowo-obserwacyjny Lublin R-XIII (270 sztuk) wraz z wersją treningową R-XIV (15 sztuk). Wersja morska (pływakowa) tego samolotu była używana przez polskie lotnictwo morskie. Na samolocie R-XIII Dr w 1935 r. S. Karpiński i W. Rogalski odbyli rajd z Warszawy do Syjamu. Pozostałe konstrukcje Rudlickiego były prototypami samolotów pasażerskich – R-IX, R-XI i R-XIV, R-XII zaś

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 0bebdbdc49

Pokaz oddziałów łączności podczas rewii wojskowej na Polu Mokotowskim w Warszawie. Samolot wojskowy Lublin R.XIII zabiera meldunek przyczepiony na rozpiętych drutach, 3 maja 1938 r.

– sportowego. R-XVIb był pierwszym polskim samolotem sanitarnym. Samolot ten uzyskał w 1933 r. pierwsze miejsce na konkursie lotnictwa sanitarnego w Madrycie. Prototyp wodnosamolotu R-XX był największym samolotem zbudowanym w Polsce w okresie międzywojennym (rozpiętość skrzydeł 25,4 m).

Rudlicki prowadził też prace eksperymentalne. Jego opatentowanym pomysłem było usterzenie motylkowe, zwane usterzeniem Rudlickiego. Zostało ono przebadane w Instytucie Aerodynamicznym w Warszawie i zastosowane w samolocie Hanriot H-28, a następnie w 1933 r. w samolocie R-XIX. Ministerstwo Spraw Wojskowych zakazało prowadzenia prób z tym usterzeniem, nie widząc jego zalet. Później było ono stosowane na samolotach w kilku krajach (900 sztuk Magister we Francji i 8 tys. sztuk Bonanza w USA). W końcu 1935 r. w związku z upaństwowieniem wytwórni w Lublinie Rudlicki został odsunięty od pracy w przemyśle lotniczym. Lata 1936–1939 spędził, prowadząc gospodarstwo rolne w majątku Olbięcin pod Kraśnikiem; działał społecznie i – współpracując z Ministerstwem Rolnictwa – przeprowadził wiele doświadczeń agrarnych.

W 1939 r., po wybuchu II wojny światowej, Rudlicki został zmobilizowany do 4 pułku lotniczego. Podczas ewakuacji przez Rumunię, Jugosławię i Włochy poprowadził kolumnę samochodową PLL LOT z polskim personelem lotniczym do Francji. W lutym 1940 r. w Paryżu wystarał się, dzięki swym znajomościom z okresu studiów, o pracę dla 74 pracowników LOT w zakładach SNCAN (Potez) w Casablance, gdzie pod jego kierunkiem polscy mechanicy zmontowali i naprawili 200 samolotów amerykańskich Curtiss Hawk i Martin Maryland. Po kapitulacji Francji Anglicy całą tę grupę pod kierownictwem Rudlickiego ewakuowali do Wielkiej Brytanii i od września 1940 r. zatrudnili w Burtonwood Repair Depot.

Podczas wojny Rudlicki opracował serię kolejnych wynalazków i patentów: sygnalizator dźwiękowy holowany za samolotem do porozumiewania się z rozrzuconymi oddziałami naziemnymi, nadajnik dźwiękowy do bomb lotniczych, projekt latającego skrzydła z napędem odrzutowym, ze strumieniowymi lotkami i sterami (1941), holowany żyroszybowiec (i jego sterowanie) przeznaczony do obrony przeciwlotniczej, elektryczny wyrzutnik bomb, barometryczny wyrzutnik ulotek (1942), zrzutnik flar (bomb oświetlających) stosowanych obronnie przed nocnym bombardowaniem (1943). Wykonał też projekty instalacji karabinów maszynowych dla samolotów do zadań szturmowych, przeprojektował drzwi bombowe w samolocie Marauder. 1 lutego 1943 r. przeniósł się do warsztatów filii amerykańskiej wytwórni lotniczej Lockheed przy 3 Base Air Depot US Air Force w Belfaście w Irlandii Północnej. Tam opracował wyrzutnik do powierzchniowych bombardowań (równoczesny zrzut 300 bomb 10-kg) z czterosilnikowych bombowców Boeing B-17 Flying Fortress, opracował ulepszenie systemu automatycznego sterowania wieżyczkami strzeleckimi oraz niezamarzający system hydrauliczny sterowania wieżyczkami strzeleckimi (1943). W 1944 r. opracował koncepcję przemiennopłata (pionowzlotu z podwójnymi klapami kierującymi strumień zaśmigłowy w dół).

W kwietniu 1945 r., dzięki swej znajomości z okresu studiów z inż. A. Kartvellim, głównym konstruktorem wytwórni samolotów Republic w USA, został w niej zatrudniony. Pracował tam 16 lat, ulepszał konstrukcje lotnicze i astronautyczne oraz opracowywał dalsze wynalazki, m.in. w 1956 r. sterowane dysze wylotowe do silnika odrzutowego General Electric J-85 pozwalające na odchylanie wektora ciągu silnika, a przeznaczone do odrzutowego samolotu pionowego startu. W 1961 r. przeszedł na emeryturę i zamieszkał na Florydzie. Tam nadal pracował nad koncepcją pionowzlotów wirnikowych i odrzutowych o układach, które do dziś nie zostały wykorzystane.

Był odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi, francuską Legią Honorową.

Zmarł 18 sierpnia 1977 r. w Fort Lauderdale na Florydzie. Został pochowany w Częstochowie, w stanie New Jersey.

Fot. NAC

eprasa.pl 0bebdbdc49

Rudolf Gundlach (1892–1957)

Wynalazł, skonstruował i opatentował czołgowy peryskop odwracalny, który umożliwiał załodze pełne pole widzenia w trakcie jazdy. W czasie wojny jego peryskopy zastosowano we wszystkich typach czołgów obu stron walczących

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Rudolf Gundlach urodził się 28 marca 1892 r. w Wiskitkach koło Żyrardowa. Był synem Rudolfa, pastora ewangelicko-augsburskiego, i Wandy z domu Minitius.

Po ukończeniu w 1910 r. gimnazjum w Łodzi rozpoczął studia na wydziale inżynierii Polytechnische Schule w Rydze, po roku przeniósł się na wydział mechaniczny. Wybuch I wojny światowej zmusił go do przerwania studiów i podjęcia pracy w Powszechnym Towarzystwie Elektrycznym (filii niemieckiego koncernu Allgemeine Elektricitäts-Gesellschaft). W lipcu 1917 r. został wcielony do 8 pułku artylerii ciężkiej armii rosyjskiej, awansował na podporucznika. W 1918 r. przebywał w niewoli niemieckiej, w listopadzie tego roku wrócił do Łodzi i wstąpił do Wojska Polskiego. Latem 1919 r. kształcił się w Oficerskiej Szkole Samochodowej w Krakowie, a w marcu 1920 r. przyjęto go na ósmy semestr wydziału budowy maszyn i elektrotechniki Politechniki Warszawskiej. W grudniu 1922 r. zdał półdyplom z wynikiem bardzo dobrym, studiów jednak nie ukończył (w 1925 r. wziął urlop dziekański).

Pracę zawodową rozpoczął Gundlach w grudniu 1924 r. w Departamencie Inżynierii Ministerstwa Spraw Wojskowych, skąd w 1927 r. został odkomenderowany do Instytutu Badań Inżynierii. Od 1934 r. kierował działem projektów i konstrukcji Biura

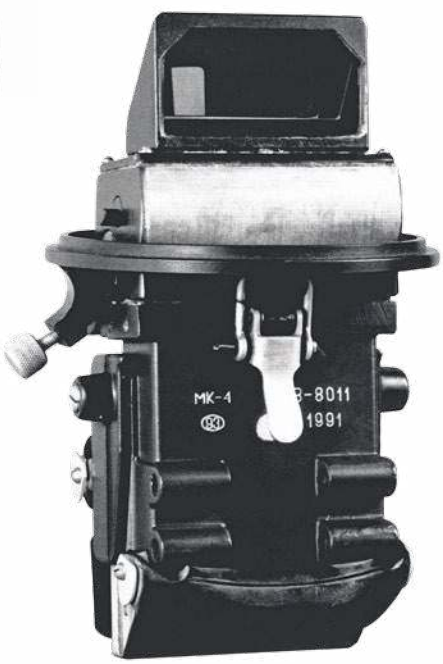

Badań Technicznych Broni Pancernych, awansując do stopnia kapitana (1930) i majora (1937). Gundlach wynalazł i skonstruował czołgowy peryskop odwracalny wzór 34, na który uzyskał 19 sierpnia 1936 r. patent brytyjski (nr 452263), a niebawem także francuski (nr 801142). Zastosował w nim ruchomy pryzmat umożliwiający, po obróceniu peryskopu wokół pionowej osi o 180°, obserwację przedmiotów znajdujących się za obserwatorem (dawało to pełne pole widzenia w trakcie jazdy – 360°). Zatwierdzony w czerwcu 1935 r. był od 1936 r. wytwarzany przez lwowską firmę J. Bujak Fabryka Przyrządów Mierniczych i instalowany w polskich pojazdach pancernych TKS i 7TP. Podczas II wojny światowej peryskop Gundlacha, udostępniony współpracującej z polskim przemysłem zbrojeniowym brytyjskiej firmie Vickers-Armstrong, za jej pośrednictwem upowszechnił się we wszystkich czołgach państw w niej uczestniczących, będąc jednym z najdonioślejszych ulepszeń broni pancernej w tym czasie. Z sojuszniczymi dostawami sprzętu trafił do ZSRR, gdzie go skopiowano i wykorzystano (stamtąd, jako peryskop obserwacyjny MK-4, trafił po wojnie do wyposażenia LWP i był produkowany w Łódzkich Zakładach Kinotechnicznych).

We wrześniu 1939 r. Gundlach znalazł się w Rumunii, gdzie został przejściowo internowany, od marca 1940 r. przebywał we Francji, przydzielono go tam do Centrum Szkolenia Wozów Pancernych w Serignan. Nie zdążył się ewakuować do Wielkiej Brytanii po upadku Francji i przebywał wraz z żoną do końca wojny w Le Vesinet pod Paryżem, współpracując z ruchem oporu. W 1947 r., po długotrwałym procesie sądowym, uznano prawa patentowe Gundlacha i przyznano mu 84 mln franków odszkodowania. Z tej sumy po zapłaceniu kosztów procesowych i podatków pozostało mu 17 mln, za które kupił sobie willę w Le Vesinet, gdzie od 1953 r. prowadził hodowlę pieczarek. W 1956 r. przeniósł się do Colombes pod Paryżem, gdzie zmarł 4 lipca 1957 r.

Gundlach był odznaczony m.in. Medalem Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości (1928) i Srebrnym Krzyżem Zasługi (1930).

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 0bebdbdc49

Józef Kosacki (1909–1990)

Wykrywacz min opatentowany przez Kosackiego jako Mine Detector Polish Mark 1 był używany od 1944 r. przez całą armię brytyjską i pozostawał na wyposażeniu po nieznacznych modyfikacjach aż do roku 1995

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Józef Stanisław Kosacki urodził się 21 kwietnia 1909 r. w Łapach jako syn Antoniego i Adelajdy z Roszkowskich.

Ukończył Gimnazjum i Liceum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie (1928), wydział elektryczny Politechniki Warszawskiej (1933) i Szkołę Podchorążych Rezerwy Saperów w Modlinie (1934), po czym pracował jako kierownik działu wzmacniaków telefonicznych w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym w Warszawie. Kampanię wrześniową odbył ochotniczo w Oddziale Specjalistycznym Łączności, w którym od wiosny 1939 r. przemyśliwano koncepcję elektromagnetycznego wykrywania min. Z jednostką tą Kosacki był internowany na Węgrzech, skąd w grudniu 1939 r. przedostał się przez Włochy do Francji z fałszywym paszportem wydanym przez polski konsulat w Budapeszcie (na nazwisko: Józef Lewandowski). Zgłosił się tam do Wojska Polskiego, po upadku Francji został ewakuowany do Wielkiej Brytanii. Tam w Centrum Wyszkolenia Łączności w Dundee (potem w Saint Andrews) w Szkocji (1940–1943) skonstruował pod koniec 1941 r. (z pomocą sierżanta Andrzeja Gabrosia) elektromagnetyczny wykrywacz min złożony z dwóch cewek, z których jedna była podłączona do urządzenia oscylującego prąd akustycznej częstotliwości, druga zaś do wzmacniacza i słuchawek. Przedmiot metalowy pojawiający się w sąsiedztwie naruszał równowagę pomiędzy cewkami, co wzbudzało sygnał w słuchawkach. Patentując urządzenie, Kosacki zadbał, by w jego nazwie (Mine Detector Polish Mark 1) została odnotowana polska proweniencja. Sprzęt

ważący około 14 kg nadawał się do jednoosobowej obsługi i do stosowania w nocy. Wykrywacz Kosackiego odniósł sukces na pokazie w Centrum Szkolenia Saperów w Ripon i został przez niego przekazany nieodpłatnie armii brytyjskiej. Okazał się kilkakrotnie wydajniejszy od ówcześnie stosowanych. Pierwszy raz użyto go do oczyszczania pól minowych podczas bitwy pod Al-Alamajn (listopad 1942) i produkowany masowo wszedł w 1944 r. do standardowego wyposażenia brytyjskich sił zbrojnych; korzystały z niego także inne armie sojusznicze. Brytyjczycy stosowali go, po nieznacznych modyfikacjach, do 1995 r.

Pierwszy raz wykrywacza min konstrukcji Kosackiego użyto do oczyszczania pól minowych podczas bitwy pod Al-Alamajn w listopadzie 1942 r.

W latach 1943–1945 Kosacki pracował jako konstruktor i kierownik kontroli w Wojskowej Wytwórni Łączności w Londynie. Repatriowany po wojnie, m.in. wskutek usilnych starań prof. Janusza Groszkowskiego (1947), wrócił do pracy w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym, by – po reorganizacji – kierować Zakładem Transmisji Przewodowej, a od 1956 r. do emerytury (w 1976) działem elektroniki w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Pracował tam nad wielokanałowymi analizatorami amplitudy i czasu. Równolegle pracował w Wojskowej Akademii Technicznej, od 1955 r. jako docent, od 1957 r. kierował Katedrą Urządzeń Łączności Przewodowej. W 1964 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym. Na emeryturze zajmował się z pasją filatelistyką. Został odznaczony m.in. brytyjskim Defence Medal (1947), Srebrnym Krzyżem Zasługi (1942, 1954), Medalem WP (1946, 1947), Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1959). Od 2005 r. jest patronem Wojskowego Instytutu Techniki Inżynierskiej we Wrocławiu (gdzie znajduje się oryginalny prototyp wykrywacza oraz mundur Kosackiego – dzięki uprzejmości jego syna Jana).

Dodatek powstał we współpracy z IPN | 67/0721/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

Zygmunt Jelonek (1909–1994)

Stał na czele zespołu, który zaprojektował nowatorskie łącze radiowe, użyte podczas inwazji w Normandii do komunikowania się dowództwa aliantów z oddziałami walczącymi na plażach

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Zygmunt Janusz Jelonek urodził się 6 maja 1909 r. w Suwałkach, jako syn Edwarda i Apolonii z Milewskich.

W latach 1918–1927 uczęszczał do Gimnazjum im. Władysława IV w Warszawie na Pradze. Po zdaniu matury studiował początkowo na wydziale matematyczno-przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego, a od 1928 r. na wydziale elektrycznym Politechniki Warszawskiej, uzyskując dyplom inżyniera w 1938 r. Jeszcze jako student w 1931 r. podjął współpracę asystencką z prof. Januszem Groszkowskim w Katedrze Radiotechniki, a w 1934 r. w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym w Warszawie, gdzie od 1937 r. kierował Sekcją Studiów. Zaprojektował tam konstrukcję generatora wzbudzającego Radiostacji Wileńskiej (1935–1936), o najlepszej wówczas w Europie stabilności częstotliwości (opartego na generatorze kwarcowym 357,333 kHz), oraz innych tego rodzaju generatorów stosowanych w radiostacjach Polskiego Radia. W 1939 r. uzyskał patent nr 28237 na generator dudnieniowy częstotliwości małej. Opublikował pracę „Eine neue Auffasung der Mitnahmeerscheinungen" w niemieckim czasopiśmie fachowym „Hochfrequenztechnik und Elektroakustik" (1935), zamieścił też siedem publikacji w „Przeglądzie Radiotechnicznym" (1933-1939), z tego trzy wspólnie z Januszem Groszkowskim, m.in. „Mechanizm synchronizowania i obniżania częstotliwości" (1935). Ukończył też Szkołę Podchorążych Wojsk Łączności w Zegrzu (1935–1936).

Fot. Domena publiczna

Po kampanii wrześniowej znalazł się w szeregach Wojska Polskiego we Francji. Został odkomenderowany do wytwórni radiowej Thompson-Houston pod Paryżem, a po klęsce Francji przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie w latach 1940–1946 pracował w ośrodku badawczym Signal Research and Development Establishment w Christchurch w południowej Anglii, zajmując się konstruowaniem sprzętu radiokomunikacyjnego, a następnie kierując sekcją analityczną w Departamencie Studiów, gdzie szczególnie zajmował się radiową łącznością impulsową. Stał na czele zespołu, który zaprojektował nowatorskie 8-kanałowe dupleksowe łącze radiowe WS no. 10, pracujące w paśmie mikrofalowym 4 GHz z modulacją szerokości impulsu (będące jedną z pierwszych tzw. linii radiowych), użyte podczas inwazji w Normandii do komunikowania się dowództwa aliantów z oddziałami walczącymi na plażach. Został za to wymieniony jako jedyny Polak w rozkazie dziennym Kwatery Głównej 6 czerwca 1944 (D-Day). W 1945 r. otrzymał nominację na kapitana dyplomowanego w Korpusie Oficerów Łączności. W 1947 r. został zdemobilizowany.

W latach 1946–1953 Jelonek był zastępcą profesora i kierownikiem działu prądów słabych na wydziale elektrycznym Polish University College w Londynie – uczelni przygotowującej zawodowo do życia na emigracji wojskowych zdemobilizowanych z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W 1948 r. uzyskał brytyjski stopień naukowy Master of Technology. W latach 1948–1953 pracował też jako doradca naukowy w British Communication Corporation w Wembley. W latach 1953–1974 był wykładowcą, a od 1965 r. kierownikiem działu prądów słabych na wydziale elektrycznym w Royal College of Science and Technology (przemianowanym w tym czasie na University of Strathclyde) w Glasgow, a od 1969 r. profesorem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) w Londynie. Opublikował książkę „Communication Theory" (1953) i około 20 artykułów o łączności, synchronizacji i serwomechanizmach, głównie w czasopismach brytyjskich, a także rozdział o synchronizowaniu generatorów i obniżaniu częstotliwości w książce „Wybrane zagadnienia elektroniki i telekomunikacji" (Warszawa 1968), wydanej dla uczczenia 50-lecia pracy naukowej prof. Groszkowskiego. Na Kongresie Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie (9–12 września 1970 r. w Londynie) wygłosił referat „Przyczynek do teorii automatycznej regulacji temperatury". Od 1952 r. należał do Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, był też członkiem Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii oraz brytyjskiego Institution of Electrical Engineers. W latach 90. parokrotnie odwiedzał Polskę, zabiegając o pomoc dla rodaków mieszkających nadal na dawnych Kresach Wschodnich; wspomagał też finansowo Uniwersytet Wileński.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Ostatni odcinek ukaże się 13 grudnia

rys. Krzysztof Wyrzykowski

w tygodniku SIECI

MARIAN REJEWSKI – polski matematyk, wybitny kryptolog, który w 1932 r. złamał kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma

Więcej o bohaterach tego i poprzednich dodatków z serii „Giganci nauki PL" w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

Nowości wydawnicze IPN

ATTACHÉ

Publikacja jest zbiorem artykułów poświęconym attaché i przedstawicielom misji wojskowych, którzy pełnili swoje funkcje na przestrzeni XX w. zarówno w Wojsku Polskim II Rzeczypospolitej, jak i w Siłach Zbrojnych Polski Ludowej. W prezentowanym tomie poznajemy głównie sylwetki oficerów i żołnierzy, ich działalność wywiadowczą, polityczną oraz dyplomatyczną.

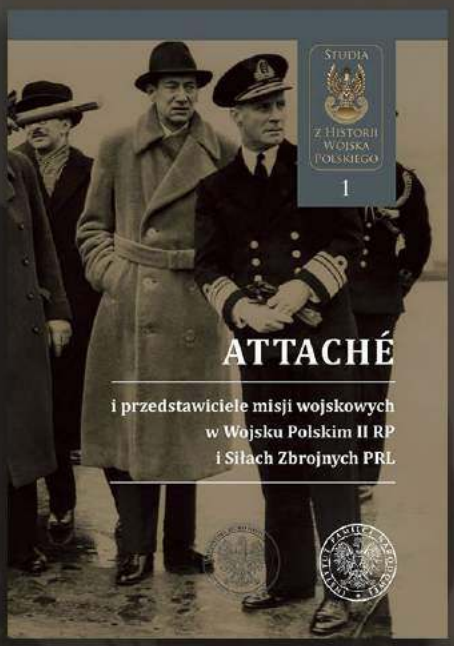

eprasa.pl 0bebdbdc49

ŚMIERĆ ZYGIELBOJMA

WOJCIECH MECWALDOWSKI

GRUSZKA
ROTH
POPŁAWSKA
BOSAK
GONERA

W KINACH OD 5 LISTOPADA

Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przedstawia film **„Śmierć Zygielbojma"**, wyprodukowany przy wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej, współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Występują: Jack **Roth**, Wojciech **Mecwaldowski**, Karolina **Gruszka**, Will **Brown**, Christopher **Fairbank**, Dobromir **Dymecki**, Marcin **Bosak**, Paweł **Ciołkosz**, Robert **Gonera**, Aleksandra **Popławska**, Marta **Ojrzyńska**, Grant **Masters**, Beata **Fudalej**, Sławomir **Holland**.

Honorowy patronat wiceprezesa Rady Ministrów, ministra kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotra Glińskiego

TVP Jedynka Trójka FILMWEB wPolityce.pl SIECI Planet POLSKA PRESS GROUP LIBRUS Militaria.pl głosnauczycielski WP wyborcza.pl

Edukacja przez Tablice Pamięci

Dla pokoleń naszych przodków, którzy przeżyli koszmar II wojny światowej, słowa „naziści" bądź „hitlerowcy" były jednoznacznie identyfikowane ze słowem „Niemcy". Dopiero generacje wychowane po wojnie w krajach, które znacznie mniej ucierpiały w wyniku działań wojennych, stopniowo zapominały, jaką to nację skrywa rzeczownik „naziści"

Sami Niemcy robili wiele, by w świadomości światowych społeczeństw dokonać propagandowego odklejenia swojego narodu od coraz bardziej mitycznych nazistów, z których próbują uczynić wielonarodowy zbiór. Obowiązkiem moralnym Polaków, nałożonym na nas przez przelaną krew przodków, jest stanowcze przeciwstawianie się tym niemieckim zabiegom. W ostatnich tygodniach realizacja owego obowiązku przypomniała postać rzeźbiarza Karola Tchorka i los zaprojektowanych przez niego tablic, które w kilkuset miejscach Warszawy upamiętniają miejsca kaźni Polaków w czasie niemieckiej okupacji.

Znany działacz antykomunistyczny Adam Borowski wraz ze swoimi przyjaciółmi z warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej" postanowił zakleić na tablicach Tchorka słowo „hitlerowcy" tabliczkami ze słowem „Niemcy". Sprawa nabrała rozgłosu nie tylko dzięki mediom przychylnym tej akcji, lecz także dzięki „Gazecie Wyborczej", która zarzuciła Borowskiemu dewastację zabytkowych tablic Tchorka i wyceniła nawet straty, i to aż na 700 tys. zł. Przy okazji warto się zastanowić, czy „GW" przeszkadzało np. mazanie farbami po zabytkowych fasadach kościołów w trakcie apogeum ulicznej aktywności tzw. Strajku Kobiet i czy redakcja z Czerskiej liczyła straty, jakie powstały w ten sposób.

Wracając do tablic Karola Tchorka, to sam rzeźbiarz nie był autorem treści, jakie są umieszczone na jego tablicach, wiemy jednak, że gdyby mógł o tym decydować, to na pewno zostałoby użyte słowo „Niemcy", a nie „hitlerowcy".

– Złożyło się jednak tak, że konkurs na tablice upamiętniające niemieckie mordy na Polakach dokonane w różnych punktach Warszawy rozstrzygnięto w 1949 r., kiedy na arenie światowej zadebiutowali tzw. dobrzy Niemcy, czyli obywatele utworzonej w bloku komunistycznym Niemieckiej Republiki Demokratycznej – wyjaśnia Wiktor Cygan, historyk, wydawca i członek Instytutu Józefa Piłsudskiego. – Zadecydowano więc, że nie należy mieszać obywateli socjalistycznego „bratniego" państwa z wojennymi zbrodniarzami, i na tablicach pojawili się „hitlerowcy".

GDZIE JEST 300 TABLIC?!

Tablice zaprojektowane przez Tchorka wieszano sukcesywnie przez następne 30 lat, dopóki znajdowali się świadkowie tragicznej historii Warszawy, którzy potrafili wskazać dokładnie miejsca niemieckich zbrodni i pamiętali, jak wiele osób traciło życie w wyniku ulicznych egzekucji. Co oczywiste, najwięcej tablic trzeba było umieścić na Woli i w Śródmieściu, ale także na Mokotowie, Żoliborzu, Pradze czy w Wilanowie. Szacuje się, że w sumie zawieszono w Warszawie około 470 takich tablic, ale dziś jest nich niespełna... 170.

– To jest naprawdę zdumiewające zjawisko, że zaginęło około 300 tablic Tchorka. Wychodzi na to, że zdjęto i ukryto czy zniszczono średnio 50 tablic w każdej z dawnych dzielnic, gdzie było ich najwięcej. To naprawdę bardzo duża liczba. Próby odtworzenia ich dokładnego zlokalizowania wcale nie są łatwe, gdyż dotychczas nie udało się znaleźć żadnej ewidencji tych miejsc – mówi Wojciech Cygan.

Reklama na stronie 69 | 44/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

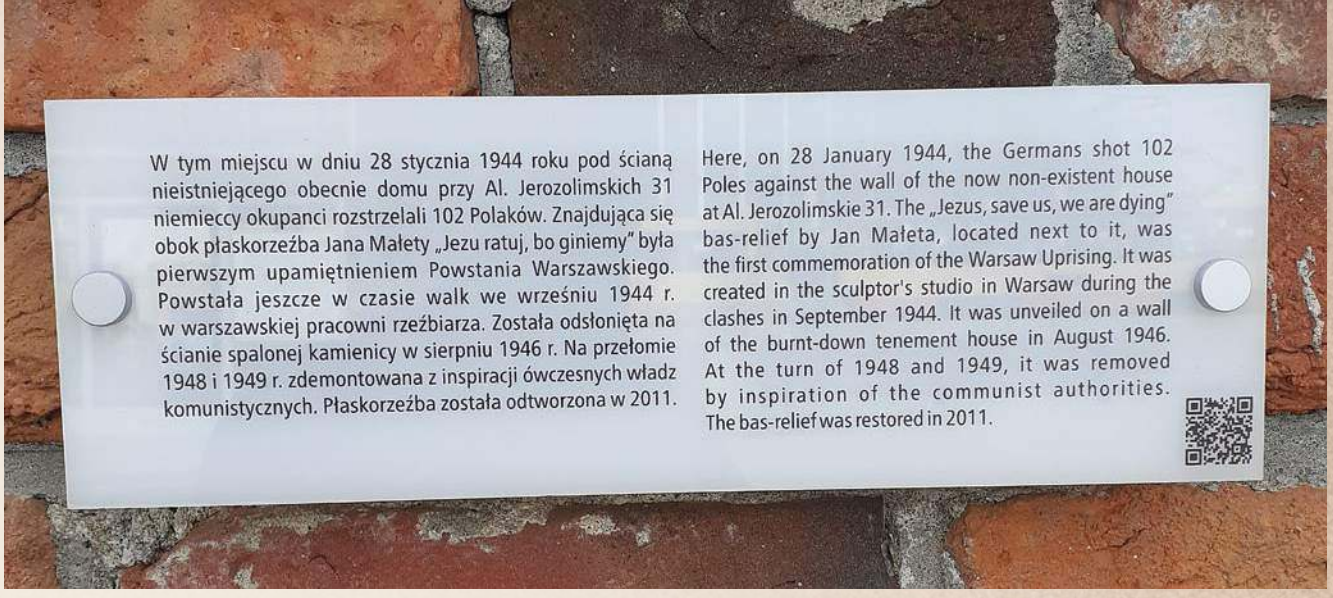

Tymczasem odnalezienie zagubionych lokalizacji nie tylko przywróciłoby pamięć o zamordowanych tam osobach i oddało im należny hołd, lecz także mogłoby odegrać ważną rolę edukacyjną na froncie walki o prawdę historyczną. I nie chodzi tu o to, że Adam Borowski mógłby dokonać kolejnych modyfikacji tchorkowych tablic przy użyciu wklejek ze słowem „Niemcy", ale o projekt, jaki już od 2018 r. prowadzi Fundacja PGE.

PO ANGIELSKU I Z KODEM QR

To prezes zarządu PGE Wojciech Dąbrowski pierwszy zwrócił uwagę, że dla wielu osób odwiedzających Warszawę, a zwłaszcza dla zagranicznych gości, kamienne płaskorzeźby Tchorka mogą być zupełnie nieczytelne. Wpadł więc na pomysł, by unowocześnić nieco tablice, rozszerzyć treść, jaką niosą, i jednocześnie uczytelnić ich przekaz nawet dla zagranicznych turystów. W tym celu tuż obok starych tablic zaczęto montować mniejsze z przygotowaną po polsku i angielsku treścią objaśniającą nieco dokładniej, co w danym miejscu się stało i jaki oddział okupanta był odpowiedzialny za dokonany tu mord. Dodatkowo tablice wyposażone zostały w kody QR, odsyłające do specjalnie powstałej aplikacji dla zainteresowanych historią bardziej dociekliwych turystów. Projekt nazwano Tablice Pamięci i jest on realizowany we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej, a także został objęty patronatem wicepremiera i ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego oraz resortu obrony narodowej.

– Projekt Tablice Pamięci przywraca tym pomnikom należną rangę, na jaką zasługują, utrwala pamięć o ofiarach i przedstawia nieznaną – szczególnie turystom zagranicznym – historię miasta z czasów wojny. Nie możemy pozwolić, aby świadectwo tragicznych losów warszawiaków zniknęło również z naszej pamięci – powiedział Wojciech Dąbrowski.

Warto podkreślić, że na tabliczkach, które dokłada do tablic Tchorka PGE nie ma mowy o zakrywaniu prawdy historycznej przez słowa zastępcze i gdy należy użyć słów „Niemcy", to takie słowo jest tam użyte.

– Jest kilka wyjątków, gdy za mordy odpowiedzialne były formacje złożone z innych narodowości, np. z żołnierzy Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej „RONA". Wyjaśniamy to dokładnie na naszych tablicach – mówi Zbigniew Kajdanowski, prezes zarządu Fundacji PGE. – Do tej pory udało się nam umieścić ponad 100 tabliczek. Zawieszenie każdej z nich wymaga uzyskania wielu zgód, tablice Tchorka wiszą bowiem nie tylko na budynkach państwowych, lecz wiele z nich na budynkach prywatnych. Legalne umieszczenie ich w tych miejscach wymaga dotarcia do właścicieli i uzyskania od nich oficjalnej zgody. Zdarzały się sytuacje, że niestety spotykaliśmy się także z odmową – dodaje Zbigniew Kajdanowski.

Gdy mowa o niemieckich kolaborantach formowanych w pułki SS, zawsze warto przypomnieć, że Polska była jedynym okupowanym przez Niemcy krajem, w którym nie udało się im sformować takiego oddziału, gdyż po prostu nie było chętnych. Z Polaków nie sposób było zrobić esesmanów, co warto podkreślać zwłaszcza w dyskusjach o stosunku ludności okupowanej Polski do eksterminacji Żydów.

NIECH POZNAJĄ PRAWDĘ

Aktualnie najtrudniejszym i najpilniejszym zadaniem, które może wspomóc akcję realizowaną przez PGE, jest zlokalizowanie kolejnych miejsc, w których wisiały tablice Karola Tchorka i które nielegalnie usunięto.

– Można założyć, że w sumie te 300 usuniętych tablic upamiętniało kilkanaście–kilkadziesiąt tysięcy zamordowanych mieszkańców Warszawy. Zasługują oni na to, by pamięć o ich tragicznym losie była przechowywana przez kolejne pokolenia – mówi Wiktor Cygan. – Jako historyk nie mam jednak pewności, czy uda się odnaleźć te miejsca.

Nawet jeśli nie uda się odtworzyć miejsc, w których wisiały tablice, to i tak dzięki akcji PGE na mapie Warszawy znajduje się już ponad sto miejsc, w których wiedza historyczna zagranicznych turystów może być korygowana lub kształtowana na podstawie faktów. O ile działania Adama Borowskiego miały bowiem istotny wymiar symboliczny, o tyle były już mniej użyteczne dla osoby niewładającej językiem polskim. Tymczasem to nie Polaków należy edukować w kwestii narodowości nazistów, tylko młodych ludzi z innych państw, a być może nawet samych młodych Niemców. W reprezentatywnym dla ruchu turystycznego, bo w przedpandemicznym roku 2019 Warszawę odwiedziło 2,8 mln gości z zagranicy. Gdyby nawet co setny z nich zawiesił oko na dłużej na którejś z tabliczek ufundowanych przez PGE, byłby to ogromny sukces w procesie odkłamywania brutalnej dla Niemców prawdy o II wojnie światowej.

Bartosz Życiński

eprasa.pl 0bebdbdc49

Między wolnością a dobrem wspólnym

GORAN ANDRIJANIĆ

W przeciwieństwie do krajów zachodnich, gdzie segregacja covidowa stała się faktem – od rozdzielania szczepionych i nieszczepionych w restauracjach, na koncertach, w zakładach pracy, a nawet w kościołach – Polska prowadzi obecnie walkę z pandemią bez uciekania się do tak radykalnych metod. Czy słusznie?

eprasa.pl 0bebdbdc49

Kiedy w maju br. w Sejmie zaczął pracę Parlamentarny Zespół ds. Sanitaryzmu, w internecie pojawiły się komentarze ludzi, którzy, jak napisali, „musieli wygooglować", co oznacza to słowo.

Przewodnicząca nowego zespołu poseł Anna Maria Siarkowska z klubu Prawo i Sprawiedliwość odpowiedziała im, publikując definicję tego terminu w mediach społecznościowych: „Sanitaryzm to doktryna polityczna, której założeniem jest podporządkowanie życia społecznego, politycznego, gospodarczego, religijnego, a nawet prywatnego walce z epidemią. W myśl tej doktryny, największym zagrożeniem dla człowieka jest właśnie epidemia".

Siarkowska wyjaśniła następnie, co ta „doktryna" jest gotowa zrobić w walce z epidemią i jak traktować niezaszczepionych: „Sanitaryzm dopuszcza segregację ludzi pod kątem zagrożenia epidemicznego oraz ograniczanie podstawowych praw człowieka i obywatela, uzasadniając to koniecznością powstrzymania epidemii" – tłumaczyła posłanka.

MNOŻENIE PODZIAŁÓW

Słowa „sanitaryzm" i „segregacja sanitarna", które w najtrudniejszych dniach pandemii były wykorzystywane głównie w gorących debatach na forach internetowych, w ciągu zaledwie kilku miesięcy weszły do politycznego mainstreamu. Jan Rokita niedawno zwrócił na to uwagę na łamach tygodnika „Sieci". Gdy siła pandemii osłabła, a szczepionka stała się dostępna dla wszystkich, nagle pojawiły się zaciekłe podziały, które do tej pory były ukrywane, a teraz trzęsą sceną polityczną na całym świecie i z ich powodu tysiące ludzi wychodzą na ulice i protestują.

Jak to zwykle bywa w przypadkach polaryzacji stanowisk, mamy tu do czynienia z dwoma radykalnymi poglądami.

Z jednej strony są tacy, którzy uważają, że walka z pandemią usprawiedliwia wszelkie ograniczenia wolności człowieka, aż do całkowitej segregacji. Dla nich stawka jest wysoka. Nie chodzi tu tylko o ludzkie zdrowie, ale także problem gospodarek, którym trudno będzie przetrwać kolejny lockdown. Dlatego wszystkie metody są dozwolone, nawet te, które dzielą ludzi na dwa obozy i niszczą poczucie wspólnoty.

Z drugiej strony są tacy, którzy w zjawisku segregacji sanitarnej widzą jedynie cios w wolność. I to nie tylko taki, który jest niekonstytucyjny, lecz także taki, który, jak często twierdzą, jest całkowicie nieuzasadniony realną sytuacją. Dyskusję z tym obozem, który często ma także uzasadnione pytania, komplikuje fakt, że spora część tej grupy to klasyczni antyszczepionkowcy, którym teorie spiskowe nie są obce.

Jak tłumaczy filozof i publicysta Łukasz Kobeszko, ta wywołana pandemią polaryzacja wpasowała się w od dawna podzielone zachodnie demokracje.

– Już dwa lat trwa konflikt między zwolennikami szczepień i ich przeciwnikami, między koronasceptykami i tymi, którzy domagają się przestrzegania norm bezpieczeństwa pandemicznego. Potwierdza się więc teza, że we współczesnej demokracji przybywa kolejnych obszarów konfliktów dzielących społeczeństwa według wyraźnych, radykalnych linii podziałów. Znaczna część koronasceptyków czuje się lub przedstawia jako środowiska rzekomo wykluczone i represjonowane, które usiłuje się usunąć z debaty publicznej i poddać dyktatowi państwa lub korporacji medycznych – wyjaśnia Kobeszko. I dodaje: – Wprowadzenie przez władze państwowe segregacji na zaszczepionych i niezaszczepionych może stanowić swoiste paliwo dla tych środowisk, utwierdzające je w negatywnym stanowisku wobec szczepień i w ogóle istnienia pandemii.

DYLEMATY WŁADZY

Polski rząd zdaje się świadomy tego, o czym mówi Kobeszko. W przeciwieństwie do krajów zachodnich, gdzie „segregacja sanitarna" stała się faktem (od rozdzielania szczepionych i nieszczepionych w restauracjach, na koncertach, w zakładach pracy, a nawet w kościołach), Polska prowadzi obecnie walkę z pandemią bez uciekania się do tak radykalnych metod.

A fakt, że rządząca większość w parlamencie pozwoliła na utworzenie organów nadzorujących możliwe przypadki takiej segregacji, też mówi wiele. Ponadto, jeśli wykluczymy prymitywne i zapewne świadomie prowokacyjne zrywy Grzegorza Brauna i jego konfederackich kolegów, to można powiedzieć, że debata na temat spornych kwestii nie przerodziła się jeszcze w całkowitą histerię.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 22 października 2021 r. zmarł w Krakowie

ŚP

PPŁK DR JANUSZ MARIA KAMOCKI

PS. „ORCIO", „MAMUT", „EDERS"

urodzony 2 sierpnia 1927 r. w Warszawie.
Od listopada 1942 r. działał w strukturze Narodowej Organizacji Wojskowej,
a od lutego 1943 roku Armii Krajowej w Sandomierskim Obwodzie AK.
Od listopada 1944 do maja 1946 r. żołnierz Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.
W sierpniu 1962 r. aresztowany pod zarzutem organizowania
w Krakowie niezależnego harcerstwa.
W styczniu 1963 r. skazany na rok więzienia.
W latach 1977-1980 współpracował z krakowskim Studenckim Komitetem Solidarności.
W lipcu 1980 r. współorganizował Komisję Porozumiewawczą
Rad Zakładowych Muzeów Krakowskich,
a następnie krakowskie struktury NSZZ „Solidarność".
W latach 1985-1990 współdziałał z Rządem RP na Uchodźstwie
w ramach Ugrupowania Niepodległościowego „Zamek".
W latach 1988-1992 działacz Autonomicznego
Wydziału Wschodniego Solidarności Walczącej.
Zasłużony etnograf, muzealnik oraz wykładowca akademicki.
Od września 2017 r. zasiadał w Kapitule Orderu Krzyża Niepodległości.
Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Orderu Krzyża Niepodległości,
Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Wolności i Solidarności,
Medalem Pro Bono Poloniae oraz wieloma innymi odznaczeniami.
Honorowy Obywatel Miasta Sandomierza.
Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

1/1121/F

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0bebdbdc49

Jednocześnie nie ulega wątpliwości, że polski rząd ma trudne zadanie.

– Państwo w logice swojego działania powinno się kierować pojęciem dobra wspólnego. Bez wątpienia zupełna bierność wobec pandemii i hipotetyczne odstąpienie od programu szczepień miałoby charakter ciężkiego naruszenia tej zasady i lekceważenia nie tylko zdrowia i życia obywateli, lecz także ich godności osobistej – zauważa Łukasz Kobeszko. – Z drugiej jednak strony państwa w większości starały się unikać wprowadzenia zasady obowiązkowych szczepień, biorąc pod uwagę lęki i niepewność sporej części społeczeństwa. Warto przypomnieć, że żyjemy dzisiaj w świecie spolaryzowanej informacji, „baniek informacyjnych", w których bardzo trudno jest dotrzeć do rzetelnych i absolutnie pewnych informacji dotyczących pandemii i jej skutków. Czy można więc automatycznie winić żyjących w niepewności ludzi, że mają zastrzeżenia do obowiązkowych szczepień w obecnym klimacie debaty publicznej, mediów, plemiennych konfliktów? Czy państwo musi się posługiwać narzędziami przymusu administracyjnego, czy jednak lepiej, aby pozostało na poziomie konsekwentnego przekonywania i zachęcania? To jest bardzo trudny dylemat dzisiejszej doby – tłumaczy.

WOLNOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

W tym wszystkim należy zauważyć, że problem segregacji sanitarnej ma nie tylko konotację polityczną. Rodzi też konsekwencje społeczno-filozoficzne, które są związane ze sposobem, w jaki doświadczamy społeczeństwo, w którym żyjemy i naszej w nim roli.

– Mamy do czynienia z ewidentnym konfliktem między wolnością osobistą i odpowiedzialnością. Warto jednak pamiętać, że w fundamentalnym dla Europy i naszej cywilizacji paradygmacie judeochrześcijańskim te dwie wartości powinny współegzystować w sposób harmonijny – mówi filozof. – Wolność i odpowiedzialność muszą iść w parze i się równoważyć. Odpowiedzialność – chociażby za dobro wspólne lub dobro drugiego człowieka, naszego bliźniego, zawsze wyznacza granicę i ramy wolności. Z drugiej strony sama odpowiedzialność, rozumiana jako obowiązek, nakaz, rozkaz, też nie wystarcza w życiu jednostkowym i społecznym. Byłoby ideałem, aby odpowiedzialność spełniała się i dokonywała w wolności. Praktyka życiowa i doświadczenie wskazują jednak na częsty konflikt tych dwóch wartości. Zbytnia, nieograniczona niczym wolność i odpowiedzialność bez żadnej wolności zawsze będą wskazywać na jakiś deficyt.

Jak zauważa, horyzontem działania władz publicznych w sytuacji pandemicznej powinna być właśnie odpowiedzialność i ukazywanie dobra wspólnego oraz solidarności z drugim człowiekiem. – Ale do tego nie da się przymusić tylko odgórnym, administracyjnym działaniem władz publicznych – tłumaczy Kobeszko.

> Wprowadzenie przez władze państwowe segregacji na zaszczepionych i niezaszczepionych może stanowić swoiste paliwo dla środowisk koronasceptycznych – zauważa filozof i publicysta Łukasz Kobeszko

COVIDOWE GRY PARTYJNE

Wróćmy do polityki. Kobeszko mówi nam, że w polityce PiS, próbującego odnaleźć najlepszą drogę w spolaryzowanym społeczeństwie, widać czasami pewną niekonsekwencję polegającą na próbie pogodzenia elektoratu umiarkowanego i radykalnych koronasceptyków.

– Odnoszę wrażenie, że większą część elektoratu cechuje jednak racjonalne podejście do pandemii. Jednakże gesty w stronę koronasceptyków (być może to 10–15 proc. wśród wyborców PiS), niekiedy dość nielogiczne lekceważenie przez przedstawicieli rządu istniejących i przyjętych przez nich samych norm bezpieczeństwa, uważam za niepotrzebne i pozbawione sensu – przekonuje Kobeszko.

Z drugiej strony istnieją również siły polityczne, takie jak Konfederacja, które bezpośrednio i cynicznie próbują zbić punkty polityczne na strachu przed segregacją sanitarną.

– Konfederacja w sposób dość jednoznaczny wyrobiła sobie markę ugrupowania koronasceptyków. Jej elektorat to w dużej mierze ludzie młodzi, przed 30. rokiem życia, głównie młodzi mężczyźni. Ta partia kieruje swój przekaz właśnie do takich osób, budując wręcz archetypiczny model „młodego, zdrowego, silnego mężczyzny", który nie boi się chorób i nie myśli o nich jako o zagrożeniu. To jednak też dość ograniczony liczbowo elektorat, który może szybko wyrosnąć z tego rodzaju poglądów i przejść na stronę umiarkowaną. Adresowanie zatem przekazu tylko do tej grupy będzie dla tej partii długofalowo mylnym posunięciem – konkluduje Łukasz Kobeszko.

Jest prawdą, że czas pandemii niesie z sobą wiele wyzwań. Ci, którzy twierdzą, że nasza przyszłość zależy od tego, jak te wyzwanie rozwiążemy, mają rację.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0bebdbdc49

W Glasgow węgiel nie przejdzie do historii

Wszystko wskazuje, że Glasgow okaże się fiaskiem, gdy idzie o kluczowy aspekt „walki o klimat", czyli zobowiązania państw co do tzw. neutralności klimatycznej

JAN ROKITA

Każda kolejna światowa konferencja klimatyczna jest większym i bardziej widowiskowym zdarzeniem medialno-popkulturowym, niźli była poprzednia. Tak samo jest z rozpoczętym dzień przed Wszystkich Świętych szczytem COP26 w szkockim Glasgow. 30 tys. uczestników i obserwatorów oraz 3 tys. dziennikarzy. 400 prywatnych odrzutowców lądujących w Glasgow, dla których brak miejsc parkingowych na tamtejszym lotnisku. Brytyjskie tabloidy pasjonują się tym, kto i skąd nimi przyleciał, a także wyliczają niebotyczne ilości gazów cieplarnianych wyemitowanych przy tej okazji do atmosfery.

Dzięki tabloidom publiczność zainteresowana życiem „wyższych sfer" może się np. dowiedzieć, iż gulfstream właściciela Amazona Jeffa Bezosa przyleciał do Glasgow wprost z urodzin Billa Gatesa, świętowanych na jachcie zakotwiczonym na Morzu Jońskim. I że turecki prezydent Erdoğan zawrócił do Ankary, ponieważ Szkoci nie zapewnili wymaganych przezeń standardów bezpieczeństwa. Na dodatek – to wszystko w symbolicznym kontekście burz, ulew i powodzi („biblijnych" – jak piszą tabloidy), które właśnie nawiedziły północno-zachodnią Brytanię, powodując przerwanie połączeń kolejowych pomiędzy Londynem i Glasgow. A przez wyznawców doktryny „głębokiej ekologii" ogłoszone zostały jeszcze jednym, namacalnym dowodem globalnej katastrofy klimatycznej.

Wydarzeń medialno-popkulturowych nie brakuje więc w Glasgow. Media obiegły (zabawne skądinąd) filmiki i zdjęcia śpiących podczas obrad prezydenta Bidena i premiera Johnsona. Trudno im się zresztą dziwić, zważywszy na to, że obaj pojawili się w Szkocji prosto z rzymskiego, raczej bezowocnego szczytu G20, a z konferencyjnych mów polityków, aktywistów, celebrytów i ekologicznej młodzieży (z przesławną Gretą na czele) wiało niebywałą nudą. Te wystąpienia, które jako najważniejsze czy najciekawsze pojawiły się w sieci, są niemal kropka w kropkę identyczne, niezależnie od tego, czy mówi prezydent USA, młodociana celebrytka, jakiś miliarder albo następca tronu. Motywem przewodnim zawsze są wypowiadane z patosem słowa, iż „nie ma już czasu na słowa, lecz potrzebne są czyny", oraz namiętne utyskiwania na złych ludzi, z których powodu katastrofa klimatyczna jest coraz bliżej. Sekretarz generalny ONZ Guterres przyleciał, aby konstruktywnie oświadczyć w Glasgow, że „kopiemy własny grób". Ale bohaterką konferencji stała się upośledzona ruchowo izraelska minister, która nie mogła się dostać na obrady z powodu niedostosowania gmachu do potrzeb ludzi na wózkach.

Fot. AP Photo/Evan Vucci/EastNews

eprasa.pl 0bebdbdc49

OBRONA LASÓW, REDUKCJA METANU

O sukces COP26 najgorliwiej zabiega premier Johnson, co zrozumiałe, skoro nazbyt widoczna porażka musiałaby wpłynąć na jego własną pozycję polityczną w kraju. Już jakiś czas przed Glasgow Johnson zmienił swą klimatyczną skórę, przeobrażając się ze znanego sceptyka w neofickiego entuzjastę polityki klimatycznej. „To koniec wielkiej masakry światowych lasów piłą łańcuchową" – oznajmił mediom zaraz po ogłoszeniu deklaracji o ochronie lasów, pod którą podpisało się (jak dotąd) 128 krajów. Wśród nich leśni potentaci: Rosja, Chiny, Kanada i nawet Brazylia, której prezydent Bolsonaro uznał chyba, iż w ten sposób poprawi swoją reputację zwalczanego przez ekologów „mordercy drzew amazońskich". Sześciopunktowa deklaracja, której powstanie jest wynikiem osobistych zabiegów Johnsona, to zobowiązanie do zatrzymania w skali globu zmniejszania się powierzchni lasów, najpóźniej do roku 2030. Specjalny publiczno-prywatny fundusz (ok. 20 mld dol.), na który złoży się również sowicie Londyn, ma wesprzeć ochronę lasów w krajach ubogich. Pod deklaracją złożył podpis również premier Morawiecki, co niekoniecznie wzbudzi radość w Lasach Państwowych, czerpiących zyski z gwałtownie rosnących ostatnio cen drewna.

Ale jeśli coś istotnie może się stać postępem polityki ochrony klimatu, to porozumienie 104 państw w sprawie redukcji emisji metanu. Wprawdzie do zakończenia COP26 zostało jeszcze parę dni, ale wiele zdaje się wskazywać, iż to ten akt pozostanie kto wie czy nie jedynym, istotnym krokiem podjętym w Glasgow.

Cała rzecz jest polityczną inicjatywą Bidena, ogłoszoną przezeń w ONZ jeszcze we wrześniu. A fakt, iż to amerykański prezydent jest tu inicjatorem, ma swoje znaczenie, gdyż redukcja emisji metanu to uderzenie w interesy nafciarzy (zwłaszcza tych od złóż łupkowych) oraz przemysłowych ferm hodowli zwierząt, które są przecież „specjalnością" amerykańskiego rolnictwa. Dotychczasowe porozumienia międzynarodowe były wymierzone w dwutlenek węgla, podczas gdy metan, ulatniający się z szybów naftowych i gazowych, wielkich wysypisk śmieci i ścieków oraz przemysłowych hodowli zwierząt, jest drugim gazem wpływającym na ocieplenie atmosfery. Porozumienie z Glasgow zakłada, iż także w jego przypadku nastąpić ma zmniejszenie emisji o 1/3 w ciągu najbliższej dekady. To interesujące, gdyż z jednej strony (niezależnie od poglądu na całą ideologię klimatyczną) miałoby to duży wpływ na zdrowie i jakość życia milionów ludzi, ale z drugiej – nieuchronnie otwiera nowy „front walki", jakim musi się teraz stać rolnictwo. W przypadku tego porozumienia Morawiecki – jak dotąd – nie złożył swego podpisu.

Polski premier ma tu podwójny kłopot: jeden – z metanem ulatniającym się ze starych polskich kopalń, drugi – z najtańszym i najbardziej popularnym mięsem i wędlinami, które właśnie dlatego są takie tanie, że choć kiepskie w smaku, to jednak produkowane na skalę przemysłową i szpikowane chemikaliami. Metan jest trujący dla ludzkiego zdrowia, wywołuje m.in. miliony przypadków astmy, o czym obszernie pisze się w opublikowanym w sierpniu raporcie ONZ. Emitujące go fermy hodowlane czynią spustoszenie w ziemi, wodzie, powietrzu, ludzkim zdrowiu i jakości życia, na co w Polsce wskazywały dwa dość drastyczne raporty NIK z roku 2013 i 2014.

Z kolei dla bojowników klimatycznych walka z metanem ma tę dodatkową zaletę, iż w przeciwieństwie do CO_2 nie osadza się on na długo w atmosferze, a zatem redukcja emisji ma wywołać natychmiastowe i trwałe skutki klimatyczne.

Ale jest też druga część prawdy o zwalczaniu metanu. Każda próba realizacji zobowiązania z Glasgow to dodatkowe koszty po stronie nafciarzy, gazowników oraz wielkich ferm hodowlanych. A to oznacza zapowiedź skokowego wzrostu cen benzyny, gazu i mięsa, zwłaszcza tego najtańszego, kupowanego przez niższe i biedniejsze warstwy społeczne. Jednak bez wątpienia perspektywa walki z metanem byłaby impulsem powstrzymującym ekspansję przemysłowego rolnictwa i wspierającym rolnictwo ekologiczne. Tędy zapewne wiedzie trudna politycznie droga do poprawy jakości naszego obecnego jedzenia. Jak widać jasno, polityczna batalia klimatyczna otwiera teraz niebłahe pytania o nasz styl życia, niemające już zgoła nic wspólnego z samą ideologią „walki o klimat".

> Szefowa Komisji Europejskiej ma ponoć zamiar obwieścić, iż atom i gaz, mimo sprzeciwów „głębokich ekologów", uznane zostaną w UE za paliwa ekologiczne. To niewątpliwie efekt sojuszu francusko-czesko-polskiego w obronie energii nuklearnej

Otwarcie przez Bidena kampanii przeciw metanowi nie pozwoli już współczesnemu liberalnemu państwu zachować neutralności, gdy idzie np. o styl odżywiania się społeczeństw. Rządy zostaną zmuszone do wyboru pomiędzy polityką obrony ferm hodowlanych, produkujących żywność przemysłową, schemizowaną, ale tanią, a polityką ekologizacji rolnictwa, skutkującą wzrostem cen żywności. Będzie to wybór kłopotliwy dla każdej formacji politycznej, ale dla partii ludowej, takiej jak PiS, będzie to wybór karkołomny.

NEUTRALNOŚĆ KLIMATYCZNA W PRAKTYCE PAŃSTW

Wszystko wskazuje, że Glasgow okaże się jednak fiaskiem, gdy idzie o kluczowy aspekt „walki o klimat", czyli zobowiązania państw co do tzw. neutralności klimatycznej. Sierpniowy raport ONZ (firmowany nazwiskami 234 naukowców) dowodzi, iż wypełnienie nadrzędnego „celu paryskiego" (sformułowanego w roku 2015, podczas COP21 w Paryżu), czyli utrzymania wzrostu średniej temperatury w świecie o 1,5 stopnia Celsjusza w stosunku do tzw. ery przedprzemysłowej, jest już całkowicie

eprasa.pl 0bebdbdc49

nierealne. To, że Ziemia się ociepla, jest rzeczą bezsporną. Ale to, w jakim stopniu człowiek w ogóle jest w stanie powstrzymać ten proces, jest ciągle kwestią hipotez z pogranicza nauki i polityki. Niemniej jednak przygniatająca większość nauki i polityki uważa dzisiaj, iż utrzymanie limitu 1,5 stopnia Celsjusza byłoby hipotetycznie możliwe, pod warunkiem likwidacji węgla w skali globu do roku 2030 i „neutralności" w emisji gazów produkowanych przez człowieka przed rokiem 2050.

Chodzi o to, że jak dotąd tylko dwa kraje – Węgry i Izrael – obwieściły w Glasgow, iż przyjmują na siebie takie zobowiązanie. Indie ogłosiły swoją własną drogę do roku 2070. Australia zaakceptowała rok 2050, ale nie zamierza szybko likwidować swych kopalń, przez co traktowana jest jako mało wiarogodna. Dwie emisyjne potęgi – Rosja i Chiny – powstrzymują się od zobowiązań. Chińczycy właśnie zwiększają swoje roczne wydobycie węgla o ponad 100 mln ton, co zresztą zrozumiałe w momencie zaostrzającego się kryzysu energetycznego. Nie przypadkiem w Glasgow nie ma ani Xi Jinpinga, ani Putina. Wylobbowana przez Johnsona deklaracja na temat odejścia od węgla (podpisana także przez Morawickiego) odkłada taką decyzję na dość odległy czas, sięgający aż połowy obecnego wieku, czyniąc ją stosunkowo mało wiarogodną. Brytyjski premier marzył tymczasem, że Glasgow stanie się punktem zwrotnym, w którym „węgiel zostanie przeniesiony do historii". Taki właśnie slogan ukuł Alok Sharma – minister przewodniczący COP26 z ramienia rządu brytyjskiego. Dziś już jest pewne, że to niemożliwe.

MIĘDZY STRATEGIĄ A IDEOLOGIĄ

Także Polska ma swój udział w owej „niemożliwości". Po deklaracji złożonej przez prezydenta Jánosa Ádera, iż Węgry mogą odejść od węgla nawet już w roku 2026, Polska pozostaje ostatnim krajem unijnym, który nie wziął na siebie takiego zobowiązania. Morawiecki (zapewne z grzeczności) uznał w swym przemówieniu w Glasgow, iż COP26 jest „kamieniem milowym" dla polityki klimatycznej, ale konsekwentnie przemilczał kwestię polskich zobowiązań w tej materii. I skoncentrował swoją mowę wokół kwestii solidarności bogatych i biednych w ponoszeniu skutków „walki o klimat". Trudno się zresztą temu dziwić. Polska prowadzi na tym polu swoją własną grę, w której stawką jest skala unijnych ulg i środków pomocowych, które muszą towarzyszyć polskiej zgodzie na wyśrubowany unijny pakiet klimatyczny, nazwany Fit for *55*.

Glasgow ma też swojego Czarnego Piotrusia. Został nim czeski premier Babiš, który wykorzystał forum konferencyjne dla całkowitego zdezawuowania tego sztandarowego unijnego programu, który miałby zostać przyjęty w ciągu trzech najbliższych lat. Babiš uznał, iż Fit for *55* to „nie żadna strategia, ale czysta ideologia", która dla Europy będzie skutkować „zielonym samobójstwem". „Ta ideologia – mówił czeski premier – otworzy drzwi do władzy ekstremistom, narazi część mieszkańców na ubóstwo energetyczne i wepchnie nas w zależność od rosyjskiego gazu". Niewątpliwie mowa Babiša, choć równie emocjonalna jak wystąpienia najgorliwszych zwolenników doktryny klimatycznej, odbiegała od całej reszty, a przez to była o wiele ciekawsza. Jednak Babiš oddaje właśnie władzę w Pradze po przegranych wyborach, więc nie zostanie już politycznym przywódcą kontestatorów linii klimatycznej, narzuconej przez Komisję Europejską pod wodzą von der Leyen. Stanowisko Babiša w Glasgow to w pewnym sensie paradoks, bo Czechy (w przeciwieństwie do Polski) już dawno podpisały się pod unijnymi celami klimatycznymi. I zapewne to nie Praga, ale Warszawa odegra kluczową rolę w kształtowaniu przyszłego kompromisu co do Fit for *55*.

Wskazywałyby zresztą na to najświeższe przecieki z Brukseli, rozpowszechnione zaraz po powrocie von der Leyen z Glasgow. W niedługim czasie szefowa Komisji Europejskiej ma ponoć zamiar obwieścić, iż atom i gaz, mimo ostrych sprzeciwów „głębokich ekologów", uznane zostaną w Unii (pod pewnymi technicznymi warunkami) za paliwa ekologiczne. Co oznacza, że ich rozwój będzie wspierany politycznie i finansowo przez Brukselę. Do końca 2030 r., czyli w czasie uznanym za okres przejściowy, Komisja miałaby intensywnie wspierać inwestycje w elektrownie gazowe, co oczywiście pozostaje w sprzeczności z planem Bidena co do redukcji emisji metanu.

Gdy idzie o atom, to efekt odniósł niewątpliwie francusko-czesko-polski sojusz w obronie energii nuklearnej. Unijne poparcie dla atomu będzie jednak spektakularną porażką polityki niemieckiej, więc zapewne dla jej osłodzenia Komisja chce uczynić gazowy gest wobec Berlina, rozwijającego właśnie na wielką skalę gazowy import z Rosji. Tak się akurat składa, że oba ustępstwa von der Leyen są dla interesów Polski ze wszech miar pożyteczne. A niemieckiej szefowej Komisji bardzo zależy na nieskonfliktowaniu Polski w kwestii tak politycznie drażliwej jak program Fit for *55*.

REKLAMA

60/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

Europa znika z historycznej sceny

Nienawiść do Zachodu i jego tożsamości napędza niewielką elitę złożoną z polityków, dziennikarzy, intelektualistów i ludzi biznesu. Ta nienawiść nie tylko przybrała patologiczny charakter, lecz dąży do realizacji agendy kulturowo-politycznej, którą można określić już jedynie jako metafizycznie „zło" – mówi w rozmowie z Aleksandrą Rybińską prof. ***David Engels***, historyk belgijski, wykładowca na Université Libre de Bruxelles, główny analityk Instytutu Zachodniego w Poznaniu, autor m.in. publikacji „Schyłek. Kryzys Unii Europejskiej i upadek Republiki Rzymskiej"

Czy wrogość europejskich sędziów oraz szefów państw i rządów wobec Węgier i Polski jest wyrazem chęci obrony rządów prawa w Unii Europejskiej, czy jest częścią procesu ideologicznego?

David Engels: Nie chcę wykluczyć, że niektórzy europejscy decydenci rzeczywiście mogą być pełni dobrej woli oraz poważnie wierzą, że rządy prawa są zagrożone na Węgrzech czy w Polsce, ponieważ obraz tego, co się dzieje w obu krajach, jest przedstawiany w mediach zachodnich w sposób całkowicie zniekształcony. Niemniej jednak jest zupełnie jasne, że nie tylko wielu dziennikarzy, zwłaszcza korespondentów zagranicznych, lecz także polityków działa z pełną świadomością, atakując Warszawę czy Budapeszt, ponieważ ich celem nie jest obrona demokracji, ale zwycięstwo własnej ideologii. Już Jean-Claude Juncker [były szef Komisji Europejskiej – przyp. red.] mówił: „Nie może być demokratycznych wyborów przeciwko traktatom UE!".

Fot. Materiały prasowe

To stwierdzenie zostało teraz rozszerzone do tego stopnia, że nie może już być żadnych demokratycznych wyborów poza lewicowo-liberalnym spektrum opinii: każda zmiana instytucjonalna, która osłabia lewicowy liberalizm, musi zatem być uważana z zasady za antydemokratyczną.

Polskę i Węgry często określa się mianem „nieliberalnych" demokracji. Nieliberalny jest ten, kto strzeże granic, strzeże kultury narodu. Czy państwo narodowe naprawdę jest przestarzałym modelem, czy to tylko pobożne życzenie federalistów?

Jako historyk rzeczywiście nie wierzę, że europejskie państwo narodowe reprezentuje koniec i cel historii ludzkości: państwa-miasta, państwa feudalne, państwa narodowe, konfederacje państw i wielkie imperia równie często i szybko pojawiały się, jak znikały w toku historii. Nie da się jednak ukryć, że dziś państwo narodowe jest ostateczną podstawą legitymizacji demokratycznej i dlatego musi być chronione przed wszelkimi próbami zniesienia go w celu stworzenia brukselskiej oligarchii. Prawdziwą istotę rzekomej „nieliberalności" Polski i Węgier widzę nie w ochronie instytucji narodowych – bo państwo narodowe może być całkowicie niezależne, a jednocześnie dogłębnie lewicowo-liberalne – ale raczej w obronie tradycyjnej tożsamości kulturowej, a tym samym rodziny, prawa do życia, języka ojczystego, patriotyzmu, chrześcijaństwa itp. Jak wykazał wielki konserwatywny hiszpański filozof José Ortega y Gasset, wartości te nie są bynajmniej „narodowe", tylko są wyrazami naszej wspólnej zachodniej kultury, podkopywanej i niszczonej przez lewicę w imię rzekomych „wartości europejskich". Dlatego właśnie tzw. demokracja nieliberalna chce chronić prawdziwą Europę przed Unią Europejską i wie, że tożsamości narodowej można bronić tylko poprzez walkę o wspólną zachodnią kulturę.

Unia Europejska przechodziła w ostatniej dekadzie od kryzysu do kryzysu i nie potrafiła żadnego z nich rozwiązać. Tak było z kryzysem euro, kryzysem migracyjnym, a teraz z pandemią COVID-19. Czy Europa jest niezdolna do działania? A jeśli tak, to dlaczego?

Nie zgodzę się z tym. Wydaje mi się, że Unia nigdy nie odnosiła takich sukcesów w rządzeniu jak dziś, gdy politycznie penetruje Europę, zaczynając od Brukseli, a kończąc na najmniejszych wioskach. Dotychczas integracja europejska była napędzana powolnymi i celowymi kompromisami międzypartyjnymi. Od kilku lat jest jednak forsowany bardzo specyficzny, lewicowo-liberalny obraz człowieka oraz świata, i to niemal przymusowymi metodami, a ci, którzy go nie akceptują, są – tak jak Polska i Węgry – karani ostracyzmem i destabilizacją lub – jak Wielka Brytania – zmuszani do wyjścia ze wspólnoty. Nie wynika to z faktycznych kompetencji UE, które w ostatnich latach niewiele się zmieniły, ale raczej z szerokiego porozumienia ideologicznego między brukselskimi elitami, rządami narodowymi, zwłaszcza w Berlinie i Paryżu, wiodącymi mediami i systemem edukacyjnym. Wszyscy są na jednej linii politycznej i wzajemnie się wspierają w swojej samoradykalizacji, tak że nawet oczywiste naruszenia traktatów czy konstytucji stają się obowiązującym prawem, ponieważ nikt się temu nie sprzeciwia. Wynikiem jest centralistyczne zarządzanie, katastrofalna polityka zadłużenia, masowa migracja i transhumanizm, które zresztą mają się stać obowiązkowe w Zielonym Ładzie szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen. Unia Europejska nie jest bierną ofiarą tego procesu, ale jego aktywnym motorem.

Według Alexisa de Tocqueville'a liberalizm to pluralizm idei, zdolność akceptowania różnic zdań. Jak to pasuje do dzisiejszych liberalnych elit na Zachodzie?

Jak już się obawiał de Tocqueville, liberalizm sam się zlikwidował: prawa Boga i natury zostały zastąpione ciągle zmieniającymi się decyzjami większości, a ta większość coraz częściej nie jest wynikiem dostępu do wolnej i obiektywnej informacji, lecz jest tworzona i dyktowana przez aparaty partyjne i masowe media. W konsekwencji powstała w procesie społecznie darwinistycznym mała elita przywódcza, która znalazła w lewicowym liberalizmie idealną ideologię panowania, w tej dziwnej mieszaninie lewicowej kultury i liberalnej polityki moralnej, między wysokim kapitalizmem dla dużych koncernów a gospodarką planową dla mas. To, że ten twór określa się jako „liberalny" w sensie otwartości na wyniki i tolerancji dla różnych opinii, jest mniej więcej tak uzasadnione, jak fakt, że Chiny nadal uważają się za państwo komunistyczne.

Co pana najbardziej martwi w dzisiejszej Europie? Ataki na tradycyjną rodzinę, poprawność polityczna, lewicowa polityka tożsamości, masowa imigracja czy histeria klimatyczna?

Wszystkie te zjawiska to tylko symptomy głębszego zła, systematycznego samozniszczenia naszej zachodniej kultury, co niestety, jak pokazuje porównanie historyczne, nie jest niczym niezwykłym dla starzejącej się cywilizacji. Smutne są dwie rzeczy: z jednej strony nieświadoma pomoc wielu ludzi, którzy nie przeciwstawiają się temu procesowi, ale promują go w przekonaniu, że walczą o dobro, o tolerancję, prawa kobiet, równość, demokrację, różnorodność itp. Z drugiej strony ta niezrozumiała nienawiść do Zachodu i jego tożsamości, która napędza tę niewielką elitę złożoną z polityków, dziennikarzy, intelektualistów i ludzi biznesu. Ta nienawiść nie tylko przybrała patologiczny charakter, lecz dąży do realizacji agendy kulturowo-politycznej, którą można określić już jedynie jako metafizyczne „zło", tak bardzo forsowanie masowej aborcji, eutanazji, transhumanizmu, ideologii LGBTQ, rozkładu naturalnej rodziny, historycznych wspólnot solidarnościowych oraz wiary w Boga zaprzecza każdemu podstawowemu wymogowi moralnemu.

Jesteśmy świadkami końca ery europejskiej?

Europa rzeczywiście znika z historycznej sceny, niszcząc swoją tożsamość poprzez masową migrację i autodestrukcyjną politykę kulturalną. Ponadto Europa wyhodowała sobie zaciekłych przeciwników, promując przez

eprasa.pl 0bebdbdc49

dziesięciolecia naukowo i gospodarczo Chiny, prowadząc niebezpieczną grę z islamem oraz nieudaną politykę wobec Afryki. Europa prędzej czy później będzie więc musiała przejść przez niezwykle bolesne doświadczenia i porzucić swoją moralną arogancję oraz naiwność w kwestiach polityki globalnej. Czy Europejczycy będą wtedy wciąż mieli wystarczająco energii i kreatywności, aby uzyskać miejsce na światowej scenie politycznej, jest więcej niż wątpliwe.

Czy Zachód można jeszcze uratować, a jeśli nie, to co może – ewentualnie – nastąpić po nim? Pisze pan w swojej książce „Co robić? Życie z upadkiem Europy" („Was tun?: Leben mit dem Niedergang Europas"), że nikt nie wie, co wyniknie ze zderzenia poprawnego politycznie myślenia z rzeczywistością.

Historia porównawcza pokazuje, że wszystkie wielkie cywilizacje są śmiertelne. Zachód nie jest tu wyjątkiem i nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy u kresu naszego cyklu. Nasze siły artystyczne wyschły, nasza polityczna wola wolności została w dużej mierze złamana, a nasz duch naukowy czeka w niedalekiej przyszłości podobny los. Niemniej jednak, przed nami jest jeszcze kilka dekad, zanim nastąpi ostateczne skamienienie, jakie znamy z Cesarstwa Rzymskiego od I w. n.e. lub Chin od II w. p.n.e. W międzyczasie będzie się toczyła fundamentalna walka o ostateczny kształt naszej ochładzającej się cywilizacji, która rozgrywa się na Zachodzie zresztą już od kilku lat, odkąd poprawny politycznie liberalizm coraz bardziej ukazuje swoje prawdziwe oblicze, a zamiast realizacji wielu barwnych obietnic przynosi tylko kolektywizm, hedonizm, plutokrację oraz niesie kulturową i moralną autodestrukcję. Pomimo coraz ściślejszej inwigilacji promowanej choćby w ramach walki z pandemią COVID-19, rośnie wewnętrzny opór obywateli, którzy albo całkowicie trzymają się z dala od polityki, albo – jak francuskie „żółte kamizelki" – demonstrują przeciwko całemu systemowi politycznemu. Także konserwatywna opozycja w całej Europie zwiera szeregi i rozwija alternatywy dla choćby naiwnego federalizmu UE.

Czy to oznacza, że w Europie możliwa jest konserwatywna kontrrewolucja? Na to liczy polski rząd i wiele prawicowych sił politycznych, które w ostatnich latach pojawiły się w całej Europie (Włochy, Szwecja, Hiszpania, Francja itp.).

Tak, jest to możliwe, ale nie jestem pewien, czy te siły konserwatywne mogą odnieść zwycięstwo w ściśle demokratycznych ramach. Obecne instytucje w większości krajów zachodnich i oczywiście w Unii Europejskiej, a także media i oświata są prawie całkowicie ukierunkowane politycznie w jedną stronę. Oczywiście należy mieć nadzieję, że Europa Środkowo-Wschodnia może choćby w połowie utrzymać obecne status quo, na Zachodzie bardziej prawdopodobne jest, że prawdziwa bitwa polityczna rozegra się na ulicach. Ponieważ im bardziej prowincja jest zaniedbywana na korzyść miast, tym bardziej pogłębia się polaryzacja społeczna, erodują podstawowe zasady moralne, rosną równoległe społeczności migrantów, szerzy się przestępczość, zawodzi władza państwowa, a gospodarka popada w kryzys, tym bardziej staje się prawdopodobne, że walka o większość polityczną poprzez utworzenie uporządkowanych i bezpiecznych przestrzeni odbędzie się poza kontrolą państwa. Porządek, który w ten sposób powstanie, będzie także wspierany przez gospodarkę oraz główne media – demokratyczna legitymizacja będzie wtedy już tylko zwykłym efektem zewnętrznym, bo jak szybko w XXI w. kontrolę nad państwem potrafią przejąć niemal nikomu nieznani politycy z nowo powstałymi partiami, dobitnie pokazał przypadek francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona.

> Prawdziwą istotę rzekomej „nieliberalności" Polski i Węgier widzę nie w ochronie instytucji narodowych – bo państwo narodowe może być całkowicie niezależne, a jednocześnie dogłębnie lewicowo-liberalne – ale raczej w obronie tradycyjnej tożsamości kulturowej, a tym samym rodziny, prawa do życia, języka ojczystego, patriotyzmu, chrześcijaństwa

Jaką rolę odgrywa niemieckie „supermocarstwo moralne" w obecnym upadku Europy?

Niemcy są wybitnym przykładem „spóźnionego narodu". Bronili jedna po drugiej zasad feudalnych, narodowych, kolonialnych, rasowych, socjalistycznych, a teraz moralnych. Wszystkie te zasady w sąsiednich krajach uchodziły wtedy już od dziesięcioleci za przestarzałe. Za to Niemcy broniły ich zawsze z taką zaciekłością, że cały kontynent jeszcze długo nosił ślady tego „nadrabiania zaległości". Oprócz kilku nielicznych europejskich elit rządowych i bezpośrednich sąsiadów Niemiec, takich jak Holandia, Skandynawia i część Polski, duża część populacji europejskiej od dawna straciła wiarę w „moralną wyższość" kontynentu i szczególną „historyczną odpowiedzialność" Europy. I ona byłaby gotowa na zmianę. Tylko Niemcy nie przeszły jeszcze tego procesu w pełni i są – jak za każdym razem – głęboko przekonane, że tym razem znalazły się wreszcie po „właściwej stronie" historii. I tu prędzej czy później nastąpi zmiana nastawienia – można mieć tylko nadzieję, że nasz kontynent nie zostanie z tego powodu po raz kolejny doprowadzony do ruiny, materialnie i kulturowo.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Fot. Shutterstock

Globalna drożyzna

W październiku w Polsce mieliśmy 6,8-procentową inflację, najwyższą od 20 lat. W innych krajach europejskich nie jest jednak lepiej. A w USA drożyzna jest największa od 2008 r. Światowe media widzą przyczynę w zaburzeniach w łańcuchach dostaw oraz rosnących kosztach paliw

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W miniony wtorek republikański biznesmen Glenn Youngkin wygrał wyścig o fotel gubernatora Wirginii, pokonując demokratę i byłego gubernatora tego stanu Terry'ego McAuliffe'a. Jest to bolesna porażka dla demokratów, w ostatnich wyborach prezydenckich Joe Biden pokonał tu bowiem Donalda Trumpa, z przewagą 10 pkt proc. Teraz demokraci gorączkowo zastanawiają się nad przyczynami przegranej McAuliffe'a. Jedno słowo powraca jak mantra w każdej analizie i dyskusji: inflacja. Stopa inflacji wzrosła za oceanem we wrześniu do 5,4 proc., najwyższej wartości od 2008 r. Wzrost cen znacznie zmniejszył siłę nabywczą Amerykanów, co jest szczególnie odczuwalne na prowincji. A kogo winią Amerykanie za drożyznę? Obecną administrację Joego Bidena. Drożyzna dotyka jednak niemal cały świat i stała się jednym z głównych tematów w mediach i rozmów zwykłych obywateli.

STAGNACJA I SONDAŻE

„Tempo wzrostu cen konsumpcyjnych w USA przyspieszyło we wrześniu,

eprasa.pl 0bebdbdc49

osiągając najwyższy poziom od 13 lat, ponieważ presja inflacyjna spowodowała wzrost kosztów żywności, energii i czynszów" – pisze „Financial Times". Według gazety „inflacja niestety nie zniknie w nadchodzących miesiącach". Amerykanie, jak zaznacza „FT", wydadzą tej zimy 43 proc. więcej na olej opałowy, 30 proc. więcej na gaz ziemny i 6 proc. więcej na ogrzewanie elektryczne. Według gazety za inflację odpowiadają przede wszystkim przerwane łańcuchy dostaw oraz rosnące koszty paliw (np. ropa jest droższa o 70 proc. niż rok temu). W konsekwencji bank centralny Stanów Zjednoczonych (FED) zdecydował o ograniczeniu tempa skupu aktywów (QE) o 15 mld dol. miesięcznie. Stopa funduszy federalnych pozostała bez zmian – na poziomie bliskim zera.

Według CNN wzrost cen nie tylko ograniczył siłę nabywczą Amerykanów, lecz także znacznie pogorszył notowania prezydenta USA. Biden powołał nawet do życia Grupę Zadaniową ds. Zakłóceń Łańcucha Dostaw, ale efekty jej pracy, jak zaznacza CNN, są więcej niż skromne. „Ekonomiści nie są zgodni, czy obecna inflacja odzwierciedla długoterminowe trendy, czy tylko krótkoterminowe czynniki związane z pandemią. Nie zgadzają się również co do tego, w jakim stopniu własna polityka Bidena – w tym stymulacyjne czeki w wysokości 1,4 tys. dol. na osobę, wypłacane Amerykanom od ubiegłego roku – spowodowała skoki cen poprzez zwiększenie popytu" – czytamy na portalu amerykańskiej telewizji informacyjnej.

Konsekwencje dla Bidena są natomiast namacalne i jednoznaczne: poparcie dla niego w sondażach spadło do rekordowo niskich 42 proc. Nie jest to zdaniem CNN ani wynikiem wojny kulturowej, ani wycofania wojsk USA z Afganistanu czy innych gaf prezydenta, tylko trudnej sytuacji wielu amerykańskich domostw.

Inflacja daje się we znaki także Brytyjczykom. Jak informuje dziennik „The Independent", chociaż główny wskaźnik inflacji obniżył się na Wyspach Brytyjskich nieznacznie we wrześniu – do 3,1 proc., pozostaje on o ponad 1 pkt proc. powyżej wyznaczonego przez Bank Anglii górnego progu 2 proc. „Można się również spodziewać dalszego wzrostu w nadchodzących miesiącach, bez względu na to, czy dojdzie do podwyżki stóp procentowych, czy też nie" – pisze gazeta. Najszybciej rosną ceny benzyny. Według dziennika „The Guardian" średnia cena benzyny bezołowiowej wyniosła w minioną niedzielę 142,94 pensa za litr. Tym samym padł nowy rekord, który został ustanowiony niemal 10 lat temu. Zdaniem gazety, uderzy to w budżety wielu gospodarstw domowych i będzie miało wpływ na całą gospodarkę. Jak zaznacza agencja Reuters, wzrost inflacji przy jednoczesnym wzroście podatków, zapowiedzianym przez ministra finansów Rishi Sunaka, w celu sfinansowania opieki zdrowotnej i innych usług publicznych „spowodują, że poziom życia w Wielkiej Brytanii będzie w stagnacji w nadchodzących latach". Gazeta „The Times" nazwała podwyżki podatków ministra Sunaka „ogromnymi". A tabloid „The Sun" skrytykował „epidemię wydatków rządowych". Tymczasem szef resortu finansów przedstawił pozytywny obraz sytuacji w kraju. Zapowiedział, że brytyjska gospodarka osiągnie poziom sprzed koronakryzysu w 2022 r. i spodziewa się wzrostu gospodarczego na poziomie 6,5 proc. w tym i 6 proc. w przyszłym roku.

> Francja zareagowała na drożyznę, wprowadzając dodatek inflacyjny w wysokości 100 euro. Będą mogli z niego skorzystać Francuzi, których dochody wynoszą mniej niż 2 tys. euro netto miesięcznie, czyli 38 mln osób

WIELOPIĘTROWY DOM

Także Niemcy są zaniepokojone rosnącymi cenami. W październiku nasi zachodni sąsiedzi odnotowali inflację na poziomie 4,6 proc. Jest to – jak pisze portal Deutsche Welle – najwyższa inflacja od 1993 r. „Skąd tak dynamiczny wzrost cen? Eksperci z jednej strony wskazują na to, że w pandemicznym roku 2020 ceny większości artykułów mocno spadły. Teraz gospodarka się rozkręca, więc następuje szybkie odbicie stawek. Do tego na całym świecie rosną ceny surowców oraz niektórych podzespołów, zwłaszcza elektronicznych. Na ceny nie wpływają korzystnie też problemy logistyczne. Przesyłki, zwłaszcza z Azji, są zwykle opóźnione, a zatem wiele produktów nie dociera na czas na sklepowe półki. Sprzedawcy więc mocno podnoszą ceny tych artykułów, które już mają w magazynach" – czytamy.

Jak podkreśla niemiecki tygodnik „Der Spiegel", najwięcej Niemcy w październiku wydali na energię, która zdrożała o 18,6 proc. „Rosnące ceny energii od jakiegoś czasu napędzają inflację. Pewną rolę odgrywa także wycofanie tymczasowej obniżki podatku VAT, wprowadzone z powodu pandemii. Standardowe stawki ponownie obowiązują od stycznia 2021 r., więc towary i usługi znów stają się droższe. Do tego dochodzą niedobory materiałowe i wąskie gardła w dostawach oraz wprowadzenie podatku od emisji CO_2. Od początku roku należne jest 25 euro za każdą tonę dwutlenku węgla, który powstaje podczas spalania oleju napędowego, benzyny, oleju opałowego i gazu ziemnego" – zaznacza tygodnik. „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung" cytuje tymczasem szefa Deutsche Banku Christiana Sewinga, który ostrzega, że zjawisko inflacji „może okazać się w Niemczech długotrwałe". „Trzeba to sobie wyobrazić jako wielopiętrowy dom: weszliśmy teraz na wyższy poziom i na razie tam pozostaniemy" – dodał.

Francja zareagowała na drożyznę, wprowadzając dodatek inflacyjny w wysokości 100 euro. Jak komentuje

7/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

portal France24, będą mogli z niego skorzystać Francuzi, których dochody wynoszą mniej niż 2 tys. euro netto miesięcznie, czyli 38 mln osób. „Prezydent Emmanuel Macron dba o to, by rosnące ceny energii nie pogrążyły jego szans na reelekcję. Macron jest i tak postrzegany jako prezydent bogatych, który ma w nosie maluczkich" – czytamy w „Le Monde". Według dziennika dodatek inflacyjny może się jednak okazać niewystarczający, w końcu wysokie ceny energii oraz benzyny mogą się utrzymać nad Sekwaną do końca 2022 r. „Ponieważ ceny benzyny stale rosły w ostatnich tygodniach, rząd stanął w obliczu zwiększającej się presji na obniżenie podatków płaconych przy dystrybutorach, które mogą wynieść nawet 60 proc. tego, co płacą kierowcy. Minister finansów Bruno Le Maire przekonywał, że krok ten byłby kosztowny dla finansów publicznych i byłby równoznaczny z dotacją do paliw kopalnych w czasie, gdy rząd starał się od nich odzwyczaić gospodarkę" – czytamy na łamach dziennika. Zamiast tego rząd Jeana Castexa zdecydował się zamrozić ceny gazu i benzyny „na cały 2022 r.".

PUSTE PÓŁKI?

W Hiszpanii inflacja wzrosła do 5,5 proc., najwyższego poziomu od niemal trzech dekad. „Ceny detaliczne rosną ze względu na wzrost cen surowców, co powoduje wzrost taryfy za energię płaconą przez gospodarstwa domowe i firmy. Z kolei przerwy w globalnych łańcuchach dostaw generują niedobór niektórych środków produkcji, co także podnosi ceny krajowe" – tłumaczy hiszpański dziennik „El Mundo". Portal ABC tymczasem ostrzega, że na Boże Narodzenie może zabraknąć w sklepach towarów. Według portalu lewicowy rząd Pedro Sáncheza nie ma żadnego pomysłu, jak temu przeciwdziałać. „Minister ds. konsumpcji Alberto Garzón uważa, że problemu w ogóle nie ma, a raczej że jest on natury czysto psychologicznej. Puste półki w święta mają być elementem samospełniającej się przepowiedni. W skrócie: histerii. Eksperci, z którymi konsultowała się ABC, twierdzą tymczasem, że może zabraknąć przedmiotów wyprodukowanych w Azji, czyli niektórych zabawek, małych urządzeń, wyrobów stalowych i aluminiowych, kosmetyków, komputerów, telefonów i wszystkich produktów, które zawierają półprzewodniki, takich jak samochody. Nie brakuje dowodów na to, że już teraz nie ma określonych towarów w sklepach. Tylko rząd nie chce tego widzieć" – skarży się portal.

Gazeta „Libre Mercado" także oskarża socjalistów o „ślepotę". „Władza wykonawcza bagatelizuje wzrost inflacji, choć wątpliwości co do jej przejściowego charakteru są bardziej niż oczywiste. W marcu ubiegłego roku ten sam rząd twierdził, że gospodarcze skutki pandemii COVID-19 będą znikome" – czytamy. Jak wskazuje „Libre Mercado", kraje takie jak Austria i Szwajcaria przygotowują swoich obywateli na wypadek uogólnionego blackoutu z powodu znacznego wzrostu zapotrzebowania na energię lub awarii systemu, „ale hiszpański rząd takich scenariuszy nawet nie bierze pod uwagę". „Kryzys energetyczny, inflacja – socjalistom żyje się beztrosko. Nie martwi ich nawet to, że Algieria przestała dostarczać do Hiszpanii gaz z Maroka" – grzmi gazeta.

Jak wynika z danych Eurostatu, inflacja HCIP w strefie euro wyniosła w październiku 4,1 proc. (wzrost z 3,4 proc. we wrześniu). Najwyższy poziom odnotowano w krajach bałtyckich: na Litwie 8,2 proc., w Estonii 7,4 proc., a na Łotwie 6 proc. W Hiszpanii inflacja wzrosła do 5,5 proc., w Belgii do 5,4 proc., a w Luksemburgu do 5,3 proc. Grupę krajów z inflacją powyżej 5 proc. zamyka Irlandia, gdzie wskaźnik wzrósł do 5,1 proc. W Niemczech ceny rosły w tempie 4,6 proc., w Słowacji 4,4 proc. Najniższa inflacja jest na Malcie (1,4 proc.), w Portugalii (1,8 proc.), w Finlandii (2,8 proc.), Francji (2,6 proc.) i Grecji (3 proc.). W nienależących do strefy euro Czechach inflacja wyniosła w październiku 4,9 proc., na Węgrzech 5,5 proc., w Rumunii we wrześniu było to 6,3 proc.

REKLAMA

PZU ZDROWIE

Bo zdrowie jest najważniejsze

Centra Medyczne PZU Zdrowie

lekarze specjaliści

badania diagnostyczne

Szczegóły oferty naszych placówek: **pzuzdrowie.pl**

eprasa.pl 0bebdbdc49

„Prezydent z charakterem" – to było hasło jego kampanii wyborczej. I ten slogan naprawdę dobrze go opisuje zarówno jako człowieka, jak i polityka. A poza tym przyniósł mu sukces. W zeszłym roku pokonał Kolindę Grabar-Kitarović

Nie wszyscy są tacy sami

GORAN ANDRIJANIĆ

Chorwackiego prezydenta Zorana Milanovicia można obwiniać o wiele, ale na pewno nie o brak charakteru. Ten widać chociażby w wypowiedziach, w których ostatnio coraz bardziej krytykuje poprawność polityczną i system postkomunistyczny w jego ojczyźnie, podkreślając znaczenie suwerenności Chorwacji.

Z powodu tych oświadczeń z byłego szefa chorwackiej lewicy Milanović stał się ulubieńcem sił konserwatywnych i patriotycznych w swojej ojczyźnie. A w kręgach lewicowo-liberalnych, które do niedawna go popierały, teraz ma status zdrajcy.

ODWRÓT I POWRÓT

Były premier Chorwacji (w latach 2011–2016) i były przewodniczący Socjaldemokratycznej Partii Chorwacji swoim zaangażowaniem politycznym zawsze wywoływał ostre reakcje. Do rywali politycznych odnosił się mocnymi słowami. Jednak wszyscy przyznawali, że w tych konfrontacjach był intelektualnie uczciwy i nie zadawał ciosów poniżej pasa.

Był szefem rządu w momencie wejścia Chorwacji do Unii Europejskiej. Osiągnięcia gospodarcze i polityczne jego gabinetu były mierne.

Po przegranych wyborach parlamentarnych w 2015 r. został usunięty ze stanowiska szefa chorwackich socjaldemokratów. Wycofał się z polityki i wyglądało na to, że już do niej nie wróci. Później jednak zgłosił swoją kandydaturę do walki o fotel prezydenta Republiki Chorwacji i po dynamicznej kampanii wyborczej pokonał Grabar-Kitarović.

Fot. Denis Lovrovic/Afp/East News

eprasa.pl 0bebdbdc49

Wygrał z powodu przekonujących wystąpień publicznych, którymi przyćmił już nieco politycznie wypaloną panią prezydent.

Jego zwycięstwo zostało przyjęte z ulgą przez lewicę. Choć uprawnienia chorwackiego prezydenta są mocno ograniczone, na lewicy sądzono, że nowa głowa państwa będzie przeciwwagą dla centroprawicowego rządu premiera Andreja Plenkovicia.

INNA TWARZ PREZYDENTA

Jednak już po kilku miesiącach sprawowania urzędu stało się jasne, że Milanović zmierza w nowym kierunku. W bardzo krótkim czasie wszedł w konflikt z głównymi podmiotami postkomunistycznego układu w Chorwacji. Od lewicowych i feministycznych organizacji pozarządowych i mediów, przez „analityków" politycznych, uformowanych w czasie komunizmu, dziś dających swojej ojczyźnie lekcje na temat demokracji, także rzecznika praw ds. równoprawności płci, aż po swoje byłe ugrupowanie, czyli Socjaldemokratyczną Partię Chorwacji.

Wszystko zaczęło się po wybuchu skandalu związanego z państwowym operatorem Jadranski Naftovod. Jego były już prezes Dragan Kovačević został oskarżony o korupcję.

Chociaż Milanović w żaden sposób nie jest związany z oskarżeniem, dwie lewicowe posłanki zażądały od niego, aby wyjaśnił swoją obecność w klubie, którego Kovačević był właścicielem, choć odwiedzali go liczni politycy, dziennikarze, a także inne znane osoby. Milanović odpowiedział, że posłanki to „pełne pychy płaczki", które niepotrzebnie prowokują i utrudniają dochodzenie. Na jego wypowiedź zareagowały krytycznie pani rzecznik ds. równoprawności płci oraz niektóre organizacje feministyczne.

Wtedy prezydent oskarżył feministyczne organizacje o to, że chronią tylko niektóre kobiety, pasujące do ich profilu politycznego. Na temat rzeczniczki zajmującej się równoprawnością płci, Višnji Ljubičić, miał podobne spostrzeżenia.

„Jak ona się nazywa? Nie jestem pewien, bo nigdy nie widziałem, aby pracowała. Myślę, że chroni prawa niedźwiedzi i borsuków, a nie kobiet".

Zaatakował także lewicowo-liberalne media i ich główne pióra, m.in. Žarkę Puhovskiego, filozofa politycznego, a w czasach komunizmu wpływowego intelektualistę. Milanović opisał go jako „donosiciela" z czasów totalitaryzmu i dodał, że nie ma on żadnego moralnego prawa komentować dzisiejszych wydarzeń politycznych.

Zderzył się też z pisarką Vedraną Rudan, kolejną ikoną lewicowego establishmentu Chorwacji, znaną także w Polsce. Po tym, jak nazwała go głupcem, Milanović odpowiedział, że jest ona „półpiśmiennym wulgarnym pismakiem", który opowiada się za „bolszewickim terrorem w przestrzeni publicznej".

Już jako premier Milanović pokazał, że jest zwolennikiem mocnego państwa, co jest zupełnie nietypowe dla chorwackiej lewicy. Przykładowo jego naleganie na poprawę pozycji Chorwatów w Bośni i Hercegowinie pokazało, że szanuje interesy narodowe. Ale obecne wystąpienia były jednak nowym krokiem, i to w kierunku prawicy.

Velimir Bujanec, prowadzący popularny talk-show, który reprezentuje poglądy twardej prawicy, poinformował wtedy, że jego widzowie nieustannie pytają, kiedy w końcu zaprosi Milanovicia do swojego programu. To sytuacja, która wcześniej wydawała się niemożliwa. Ale Milanović, jako prezydent, pierwszy raz od 20 lat wypowiedział się na temat ważnych kwestii dotyczących niektórych chorób chorwackiej demokracji. I zostało to zauważone.

– Kiedy został wybrany, miałem przeczucie, że będzie dobrym prezydentem – mówi nam publicysta Ivan Brodić. – Jako prezydent ponosi mniejszą odpowiedzialność niż jako premier, i to mu odpowiada. Ponadto pochodzi z rodziny patriotycznej. A teraz w niektórych ważnych kwestiach, jak np. pozycja Chorwatów w BiH, pokazuje bardzo dobrą politykę.

SOJUSZNIK WARSZAWY I BUDAPESZTU

Szczególnie interesujące dla nas w Polsce jest to, że Milanović, polityk o lewicowych przekonaniach, udzielił wsparcia rządom w Warszawie i Budapeszcie w walce z unijną oligarchią. Już w styczniu powiedział, że Bruksela nie ma żadnych powodów, by karać Węgry i Polskę, i że musi ustalić jasne kryteria w stosunku do wszystkich państw członkowskich UE.

Na wrześniowym spotkaniu Grupy Arraiolos w Rzymie wrócił do tematu. „Unia Europejska składa się z państw narodowych, większych i mniejszych. Unia nie może być federacją ani superpaństwem, dlatego zgadzam się z Polską i Węgrami. Europejska biurokracja, Bruksela i wszystkie te organy powinny być nieco bardziej elastyczne przy naklejaniu etykiet różnym krajom. Nie jest zdrowe, aby jeden rodzaj wartości, w tym przypadku bardzo liberalno-lewicowy, dominował w Unii. To również mój system wartości, ale nie wszyscy są tacy sami" – powiedział prezydent.

Mate Mijić, chorwacki analityk, mówi, że poglądy Milanovicia nie są zaskoczeniem. „Jako premier z szeregów centrolewicowej koalicji często zajmował stanowiska suwerenne i pozostaje na nich do dziś. Milanović bardzo konsekwentnie twierdzi, że obywateli powinni reprezentować wybierani urzędnicy, a nie biurokraci bez legitymacji wyborczej. Dla niego nie jest to kwestia klasyfikacji ideologicznej, ale zasady politycznej" – mówi Mijić.

To w tej zasadzie Mijić znajduje powód, dla którego Milanović jest wielkim przeciwnikiem inicjatywy Trójmorza. „Chociaż na suwerennych stanowiskach, nie jest jednocześnie zwolennikiem Grupy Wyszehradzkiej ani inicjatywy Trójmorza. Nie widzi Chorwacji w tym społeczeństwie".

Mijić dodaje, że prezydent mimo to nie pozwala na narzucanie Chorwacji ani innemu członkowi Unii niczego, co nie jest jasno określone w traktatach, a co świadomie przyjęli jako zobowiązanie.

W każdym razie Milanović wszedł do prawicowego elektoratu całkiem udanie, właśnie dzięki swoim przemówieniom. Jak mówi Ivan Brodić: „W tym momencie jest już jasne, że czeka go druga kadencja. Chyba że popełni poważny błąd".

Tak więc przed nami jeszcze wiele jego ciekawych wypowiedzi. Kto wie, może nawet zmieni stanowisko wobec Trójmorza?

eprasa.pl 0bebdbdc49

W świetle oficjalnych statystyk Rosja jest tym krajem w Europie, w którym przeprowadza się najwięcej zabiegów zabicia nienarodzonych. Kiedy w ubiegłym roku rosyjskie Ministerstwo Zdrowia próbowało ograniczyć dostępność aborcji na życzenie, głównymi przeciwnikami byli właśnie posłowie „konserwatywnej" Jednej Rosji w Dumie i projekt upadł

Potiomkinowski konserwatyzm Putina

MAREK BUDZISZ

W czasie niedawnego posiedzenia Klubu Wałdajskiego w Soczi Władimir Putin wystąpił z manifestem ideowym. Posługując się przykładem Rosji, powiedział, że „rewolucja nie jest receptą na wyjście z kryzysu, ale jedynie go pogłębia". W przypadku jego ojczyzny ideologiczny dogmatyzm zarówno z prawej, jak i lewej strony doprowadził dwukrotnie do rozpadu wielkiego państwa. „We współczesnym kruchym świecie rośnie znaczenie silnego fundamentu – powiedział Putin – moralnego, etycznego, opartego na wartościach". To, co się obecnie dzieje w krajach Zachodu, wymazywanie całych rozdziałów własnej historii w myśl obecnie obowiązujących standardów, pozytywna dyskryminacja, która prowadzi do ograniczania praw większości w imię wolności mniejszości, a nawet odżegnywanie się od używania sformułowań „mama" i „tata", wszystko w imię „postępu" nie znajdzie w Rosji uznania. Nie tylko dlatego, że w czasie minionych rewolucji kraj przeżywał podobne fale ideologicznego naporu i Rosjanie wiedzą, do czego to prowadzi, lecz również z tego względu, że „większość naszego społeczeństwa jest zdania, iż powinniśmy się odwoływać do naszych wartości, tradycji historycznej i kulturowej".

Putin powiedział też, że Rosja w wymiarze ideowym będzie krajem „zdrowego konserwatyzmu", wolnym od lewicowych, destrukcyjnych, rewolucyjnych szaleństw obserwowanych dziś na Zachodzie. W dalszej części swego wystąpienia prezydent Rosji, określając nową ideologię państwową, posługiwał się też terminem „optymistyczny konserwatyzm".

To nie pierwszy przypadek, kiedy Władimir Putin odwołuje się do tradycji konserwatywnej. Odsłaniał pomniki Aleksandra III, mówił, że „najlepszymi przyjaciółmi Rosji są armia i silna flota", regularnie uczestniczy w uroczystościach religijnych, najczęściej w towarzystwie patriarchy Cyryla. Kreml miał nawet w ubiegłym roku zablokować przywrócenie przed moskiewską siedzibą FSB pomnika Dzierżyńskiego, zniesionego w burzliwych dniach po puczu Janajewa, kiedy to się okazało, że ta idea uzyskała największe poparcie w plebiscycie społecznym. Z prze-

Fot. Asatur Yesayants/Shutterstock

eprasa.pl 0bebdbdc49

cieków, jakie pojawiły się wówczas w rosyjskich mediach, wynikało, że Putin był zwolennikiem uhonorowania Aleksandra Newskiego, lepiej niźli Dzierżyński oddającego ideę jedności rosyjskiej koniecznej w obliczu naporu wrogów, niedzielącego też rosyjskiego społeczeństwa.

Obserwatorzy rosyjskiej polityki zauważyli też, że stulecie rewolucji bolszewickiej oficjalna Rosja pominęła milczeniem, nie organizowano żadnych obchodów, uroczystości czy akademii. Zresztą w opinii wielu ekspertów, takich jak choćby Aleksiej Miller, profesor Uniwersytetu Petersburskiego, związanego ze środowiskiem Klubu Wałdajskiego, zauważalny w ostatnich latach wzrost aktywności władzy w zakresie polityki historycznej, która koncentruje się na szczególnie rozumianej tradycji wielkiej wojny ojczyźnianej, ma doprowadzić do wykorzenienia z serc i umysłów Rosjan pozytywnych konotacji z rewolucją 1917 r., której Putin ponoć szczerze nie lubi.

OFENSYWA IDEOWA KREMLA

Czy zatem można mówić, że Rosja staje się ośrodkiem światowego konserwatyzmu? „Rzymem" tych, którzy nie mają zamiaru się godzić z lewicowym szaleństwem zdającym się dominować życie społeczne Zachodu? Czy deklaracje o „optymistycznym konserwatyzmie" jako fundamencie polityki Moskwy zasługują na wiarę? A może mamy do czynienia z początkiem kolejnej akcji dywersyjnej, tym razem w wymiarze światowym, której celem jest destabilizowanie sytuacji przez pogłębianie społecznych i politycznych podziałów w państwach uznawanych za wrogie. Co mają w takiej sytuacji robić ci obywatele państw zachodniego kręgu kulturowego, którzy z przerażeniem patrzą na ekscesy lewackiej poprawności politycznej, a nie chcą jednocześnie być uznani, hurtem, za „przyjaciół Putina"?

Z pewnością wystąpienie w Soczi jest początkiem czegoś w rodzaju kampanii ideowej obozu rosyjskiej władzy. Odpowiada zresztą na rozlegające się od pewnego czasu wezwania o sformowanie nowej „idei rosyjskiej", która ma w zamyśle pobudzić wyobraźnię Rosjan i skłonić ich zarówno do skupienia się „wokół tronu", jak i większej, niezbędnej w nowych trudnych czasach dynamiki. Siergiej Karaganow, ojciec założyciel środowiska Klubu Wałdajskiego, pisał niedawno na łamach rządowej „Rossijskiej Gaziety", że Rosji potrzebna jest „wielka idea", bez której imperia upadają, naród karłowacieje i traci w dłuższej perspektywie sens swego istnienia.

O tym, że możemy mieć do czynienia z czymś w rodzaju „ofensywy ideowej" Kremla w wymiarze światowym, świadczą też wystąpienia rosyjskich komentatorów i autorytetów, w tym religijnych. I tak Berel Lazar, główny rabin Rosji, powiedział, że „optymistyczny konserwatyzm" głoszony przez Putina jest „naczelną zasadą funkcjonowania narodu żydowskiego", a deputowani do Dumy dowodzą, że „byłoby zaszczytem", gdyby Rosja podążała drogą nakreśloną właśnie przez Putina. Dmitrij Pieskow, objaśniając w mediach słowa swego pryncypała, był bardziej powściągliwy i mniej skłonny do entuzjazmu, podkreślając jedynie, że rosyjski prezydent miał na myśli to, że Rosja w polityce będzie się kierować własnymi zasadami i nie jest skłonna do przyjmowania rad z zewnątrz.

Obecny zwrot konserwatywny w retoryce rosyjskiej władzy nie jest niczym nowym. Putin już w 1999 r. w programowym artykule, którym otwierał swą kampanię prezydencką, pisał, że „Rosja wyczerpała swój limit na polityczne i gospodarcze szoki, kataklizmy, radykalne przemiany społeczno-ekonomiczne", nie powinna ślepo się kierować ideą liberalną i naśladować Zachodu, w jej przypadku znacznie lepsza byłaby własna droga czerpiąca z rodzimych tradycji. Krytycy obozu władzy mówią, że chodzi w tym wypadku przede wszystkim o tradycję wszechmocnego państwa i elitaryzmu rządzących, ale na poziomie oficjalnych manifestów Jedna Rosja, putinowska partia władzy, już w 2009 r. określiła się mianem formacji konserwatywnej. W kolejnych latach ten konserwatywny zapał ucichł, ideowy żar zdawał się wygasać, silniej akcentowano zwyczajny pragmatyzm i wielkomocarstwową moc, ale teraz najwyraźniej na Kremlu uznano, że znów należy wrócić do konserwatywnego wyznania.

Nawet jeśli uznamy, że Putin jest „pragmatycznym konserwatystą", jak sam o sobie mówił w wywiadzie dla Associated Press w 2013 r., co zresztą skłoniło Pata Buchanana, znanego amerykańskiego konserwatywnego publicystę, do napisania artykułu, w którym zastanawiał się on, „czy Putin jest jednym z nas", to warto zapytać, jaki jest dorobek w tym zakresie jego 21-letnich rządów w Rosji? Czy kraj, którego politykę kształtuje, stał się bardziej konserwatywny, a społeczeństwo przywiązane do tradycyjnych wartości?

„KLINIKA ABORCYJNA" W POKOJU

Zacznijmy od spraw podstawowych. Nam konserwatyzm kojarzy się z przywiązaniem do religii, rodziny, tradycji. A jak to wygląda w Rosji? Jeśli chodzi o kwestie wiary, to z oficjalnych badań wynika, że 79 proc. Rosjan określa się mianem prawosławnych, 4 proc. to muzułmanie, a 9 proc. wierzy w inną „najwyższą istotę". To znaczący skok w porównaniu z rokiem 1991, kiedy do prawosławia przyznawało się 37 proc. obywateli Federacji Rosyjskiej, jednak te deklaracje nie idą w parze z uczestnictwem w życiu Kościoła. W 2018 r. (nowsze dane nie są dostępne), jak wynika z informacji podanych przez rosyjskie MSW, w uroczystościach Bożego Narodzenia wzięło udział jedynie 2 proc. Rosjan, co oznacza, że liczba praktykujących spada, bo jeszcze w 2010 r. podobny wskaźnik wynosił 4 proc. Rosjanie są zatem deklaratywnie prawosławni, jednak w codziennym życiu nie kierują się wskazaniami wiary.

Najlepiej widać to na przykładzie aborcji, których w ostatnim roku, według oficjalnych danych, przeprowadzono w Rosji 524 tys. To i tak spadek o 30 proc. w porównaniu z rokiem 2015. Ale jak tłumaczyła Inga Jumaszewa, deputowana z komisji ds. rodziny: „Te liczby dotyczą najprawdopodobniej tylko klinik publicznych. Dziś nie wiemy, ile aborcji wykonuje się w prywatnych klinikach, tych nie jesteśmy w stanie zliczyć". Mniejsza liczba aborcji jest też pochodną faktu, że w ostatnich latach liczba kobiet zachodzących w ciążę spadła w Rosji o 500 tys. , czyli właśnie 30 proc. Nawet w świetle oficjalnych statystyk Rosja jest nadal tym krajem w Europie, w którym przeprowadza się najwięcej zabiegów zabicia nienarodzonych. Mimo że do 12. tygodnia

eprasa.pl 0bebdbdc49

ta procedura jest powszechnie dostępna w Rosji, funkcjonuje też ogromna „szara strefa", co zresztą zadaje kłam argumentom zwolenników aborcji, jakoby jej legalizacja „cywilizowała" ten obszar. Dzieje się tak dlatego, że prywatne aborcje są szybsze, dyskretniejsze, wygodniejsze. Rosyjscy eksperci mówią o co najmniej trzech obszarach aborcyjnej szarej strefy – prywatnych klinikach, zabiegach przeprowadzanych w publicznych placówkach „po godzinach" i funkcjonowaniu różnego rodzaju „babek" pomagających kobietom. Jak i dlaczego tak to się odbywa?

Portal news.ru przytacza historię Iriny, zamężnej ekspedientki, mieszkanki Iwanowa, matki dwojga dzieci. Jej mąż jest przeciwnikiem aborcji, a Irina kocha swojego męża i nie chce go denerwować. Oczywiście ciąże zdarzają się regularnie. Irina jest pewna, że małżonek prędzej czy później dowie się o wycieczce na oddział ginekologiczny szpitala. I nie ma też czasu leżeć tam przez kilka dni. Jeden z krewnych nauczył kobietę aborcji w domu poprzez przekłucie worka owodniowego. Jak napisała dziennikarka portalu: „Wiele przyjaciółek Iriny również to praktykuje, niektóre nawet co miesiąc. Ostatnio kobieta wykonała taki zabieg swojej dorosłej córce. Mąż oczywiście nie wie o istnieniu tajnej kliniki aborcyjnej w sąsiednim pokoju".

Kiedy w ubiegłym roku rosyjskie Ministerstwo Zdrowia w obliczu dramatycznej sytuacji demograficznej próbowało ograniczyć dostępność aborcji na życzenie, głównymi przeciwnikami byli posłowie „konserwatywnej" Jednej Rosji w Dumie. Oksana Puszkina, deputowana partii rządzącej, nazwała proponowane zmiany „katastrofą dla kobiet" i projekt ostatecznie upadł.

PRZEMOC W RODZINIE

Irina z opowieści portalu news.ru być może nie chce denerwować męża, bo w rosyjskich rodzinach mężowie to panowie i władcy, często pięścią wymuszający posłuch i uznanie swoich racji. Świadczą o tym dramatyczne statystyki. Opublikowane wyniki badań dla lat 2011–2019 mówią o tym, że 65 proc. zamordowanych w Rosji w tym czasie kobiet to ofiary przemocy domowej. Dane te, co należy podkreślić, nie obejmują muzułmańskiego południa Rosji, które w praktyce rządzi się prawem szariatu. Eksperci mówią, że są to wskaźniki na poziomie gorzej rozwiniętych państw afrykańskich i azjatyckich – Liberii, Gabonu czy Jemenu.

> 65 proc. zamordowanych kobiet w Rosji w latach 2011–2019 to ofiary przemocy domowej. Eksperci mówią, że są to wskaźniki na poziomie gorzej rozwiniętych państw afrykańskich i azjatyckich – Liberii, Gabonu czy Jemenu

Nie tylko jeśli chodzi o przemoc w rodzinie, Federacja Rosyjska pod rządami Putina dogoniła kraje Afryki. Podobnie jest też w przypadku AIDS. Jak napisała niedawno „Nowaja Gazieta", której redaktor naczelny w tym roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, w niektórych regionach Syberii czy na południowym Uralu możliwość zainfekowania HIV jest dziś nawet 35 razy większa niźli w Europie. Mamy do czynienia z „cichą epidemią", której źródłem są zarówno narkomania, jak i zapaść w rosyjskiej służbie zdrowia.

Mimo że Władimir Putin krytykował w swym wystąpieniu w Soczi narastające nierówności dochodowe, to Rosja jest krajem, w którym poniżej progu uznawanego oficjalnie za minimum do przeżycia funkcjonowało jeszcze na początku tego roku ponad 21 mln ludzi. Ta liczba spadła o 4 mln, ale dlatego że zmieniono metodykę liczenia, bo spadek dochodów jeszcze przyspieszył, głównie w wyniku inflacyjnego tsunami, jak się dziś w Rosji mówi. W 2 tys. rosyjskich szkół brak toalet, w 3,4 tys. znajdują się one na ulicy. Nakłady na służbę zdrowia są o połowę niższe niźli w krajach Unii Europejskiej, i to mimo 800 mld dol. rezerw, które władzom udało się zgromadzić.

W sensie społecznym Rosja, jak uważa wielu ekspertów, jest państwem chorym, w którym większość społeczeństwa żyje na poziomie Autonomii Palestyńskiej, wspieranej z motywów humanitarnych przez cały świat. Moskwa i Petersburg wraz z okolicami są wyspami nowoczesności, ale pozostałe 99 proc. rosyjskiego terytorium to „głubinka", w którą lepiej się nie zapuszczać.

Putinowski konserwatyzm, oglądany przez pryzmat stanu instytucji społecznych Rosji, jest bardziej potiomkinowską wioską niźli realnym programem optymistycznego konserwatyzmu. Odarty z retoryki ukazuje realny obraz – rządów armii, biurokracji, niewielkiej zamożnej elity. Nie zmienia to faktu, iż znajdą się zapewne w Europie, w Stanach Zjednoczonych, a może nawet w Polsce zwolennicy rosyjskiego modelu, upatrujący we władcy Rosji ideowego przywódcy współczesnego świata.

Fot. Fratria

eprasa.pl 0bebdbdc49

Ed Sheeran, rudzielec, który podbił serca milionów słuchaczy, dorzucił właśnie do swoich osiągnięć kolejny spektakularny sukces. Czwarty z „matematycznej serii" album zatytułowany „=" idzie jak burza

Uwielbiany brzydal

Fot. Denis Makarenko / Shutterstock

eprasa.pl 0bebdbdc49

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Nie można nie znać jego piosenek. Są wszędzie. W sieci i w realu. Na studniówkach i weselach. To ostatnie sprawia, że przeboje 30-letniego Eda Sheerana rozpoznają w Polsce (a zapewne i na świecie) przedstawiciele różnych pokoleń. Choć, oczywiście, najzagorzalszych fanów brytyjski wokalista ma wśród swoich rówieśników. I młodszych słuchaczy.

Przyciąga ich nie tylko głosem, lecz także szczerością, z jaką dzieli się w utworach swoimi doświadczeniami. Mało atrakcyjny „chłopak z sąsiedztwa" – trochę nieporadny w konfrontacji z wyzwaniami, jakie stają przed każdym wchodzącym w dorosłe życie młodym człowiekiem – jest dla wielu swoich słuchaczy najlepszym towarzyszem codziennych zmagań. Daje wzmocnienie przed trudnymi zadaniami i wsparcie w romantycznych sytuacjach (dziewczyny uwielbiają jego utwory). Pozwala zaakceptować samego siebie i podnieść się po niepowodzeniach. W końcu nawet z jego wyglądem mu się powiodło – i w show-biznesie, i w życiu prywatnym. A do tego wszystkiego nadal wydaje się niezmanierowanym, otwartym na ludzi człowiekiem.

CZAS MOTYLA

O swoim najnowszym albumie mówi: „»=« to osobista i bardzo ważna dla mnie płyta. W ciągu kilku ostatnich lat moje życie bardzo się zmieniło. Ożeniłem się, zostałem ojcem, doświadczyłem straty bliskiej osoby i nad tym wszystkim próbowałem się zastanowić w nowych utworach".

A jak oceniają krążek inni, ci, którzy odsłuchali całość, a nie tylko promujące album single „Shivers" i „Bad Habits"? Utwory są przebojowe, rytmiczne, zapadające w pamięć – podkreślają. Opatrzone dodatkowo dynamicznymi teledyskami, pełnymi zaskakujących zwrotów akcji, efektów specjalnych, różnorodnych dekoracji i barwnych strojów. Ed Sheeran znika w nich pod charakteryzacją i scenariuszową koncepcją, stroi się w nie swoje piórka, stając się może nie pawiem, ale kolorową papugą (jak ptak z klipu „Shivers"). Niektórzy nazwą to wychodzeniem poza dawną strefę komfortu, artystyczną i wizerunkową ewolucją. Na szczęście, dla równowagi, są też w albumie utwory nieprzytłoczone oprawą, sięgające do balladowego stylu artysty.

Niezależnie od gatunku i formuły kolejnych numerów w warstwie tekstowej Sheeran wydaje się nadal szczerze dzielić własnymi doświadczeniami, emocjami i refleksjami.

Utwory: „Shivers", „The Joker And The Queen", „First Times", „2step" prowadzą słuchaczy przez różne etapy miłości. Z odejściem bliskiej osoby mierzy się „Visiting Hours" (dedykowanym legendarnemu australijskiemu promotorowi Michaelowi Gudinskiemu), a z wątkiem własnego ojcostwa w „Sandman" czy „Leave Your Life". Jest też miejsce na refleksję na temat kosztów sławy i odpowiedzialności („Tides").

Okładka płyty, podobnie jak animacje stworzone w teledysku, powstały na podstawie abstrakcyjnego obrazu autorstwa

Fot. mat. prasowe

eprasa.pl 0bebdbdc49

Sheerana. To kolaż zdjęć motyla, który ma symbolizować przeplatający się w albumie wątek nowego życia. Czy jednak Ed jest w tym nowym życiu „motylem"? Czy raczej na potrzeby nowej produkcji stroi się jedynie w cudze pióra (jak w paru scenach w „Shivers", gdzie stylizacją nawiązuje do Eltona Johna), ale poza nagraniami pozostaje sobą?

Ciekawym dopełnieniem płyty (która trafiła do słuchaczy 29 października) jest – wstawiona do sieci jeszcze przed premierą albumu – składanka 14 króciutkich filmów przygotowanych przez artystę. Wyimki z prywatnych nagrań zrealizowanych w ciągu minionych czterech lat prowadzą przez kulisy zdarzeń, czasem uchwyconych spontanicznie, innym razem aranżowanych – od kąpieli w lodzie, przez samotny taniec, prysznic pod gołym niebem, grę na ukulele, po zwyczajne spędzanie czasu w domu z rodziną.

MUZYCZNE RÓWNANIA

W utworze „Tides" Sheeran śpiewa: „Dorosłem i jestem teraz ojcem/ Wszystko się zmieniło, ale wciąż jestem taki sam". Pytanie tylko, do którego momentu wcześniejszego życia artysta się odwołuje.

W lutym tego roku skończył 30 lat. Urodzony w Halifaxie, nie może się wyprzeć irlandzkich korzeni. Od małego określały go wizerunkowo rude włosy, piegi, a w wokalu charakterystyczny zaśpiew, przebijający co jakiś czas – niezależnie, czy wykonywał ballady, dzięki którym wszedł do muzycznego show-biznesu, czy – jak dziś – sięgnął do innych gatunków.

Wychowany w domu ceniącym sztukę (ojciec – kustosz i wykładowca, matka – projektantka, starszy brat kompozytor muzyki klasycznej) już jako czterolatek trafił do kościelnego chóru. Szybko nauczył się grać na gitarze. Pierwsze teksty piosenek zaczął pisać w liceum. Uczęszczał też do Państwowego Teatru Młodzieżowego w Londynie.

Do profesjonalnego świata muzyki wszedł w 2011 r. To wtedy ukazał się jego debiutancki album „+" i rozszedł w ponad 1,2 mln egzemplarzy. Płyta zainicjowała serię, w której tytuły nawiązywały do symboli matematycznych („÷", „X" czy najnowszy „=").

Album „+" był promowany przez single „The A Team" i „Lego House". W klipie do drugiego z utworów wystąpił Rupert Grint, w kinowym cyklu o Harrym Potterze grający Rona Weasleya.

Zaproszenie Grinta było odpowiedzią na częste porównania Sheerana do rudowłosego aktora. Pokazywało też, na jakim etapie budowania medialnego wizerunku był wtedy 20-letni Ed. Miliony ludzi na świecie pokochały go za bycie właśnie takim – zwyczajnym, fizycznie mało atrakcyjnym, ale z mocą i czarem głosu.

W 2013 r. utwór „I See Fire" promował film „Hobbit: Pustkowie Smauga", stając się megaprzebojem. Rok później ukazał się album zatytułowany „X". Sheeran był coraz wyżej na drabinie sukcesu, gdy 13 grudnia 2015 r. postanowił zawiesić działalność w innych mediach społecznościowych. Decyzja ta nie wpłynęła na przyznanie mu dwóch nagród Grammy 2016: w kategorii „piosenka roku" oraz „najlepszy popowy występ solowy", ani na premierę – w marcu 2017 r. – trzeciego albumu, zatytułowanego „÷". Cztery lata później ukazał się „=".

NOWE DZIAŁANIE

Pomiędzy albumowym znakiem dzielenia i równania wiele się w życiu artysty wydarzyło. W styczniu 2019 r. ożenił się, w sierpniu zakończył dwuletnią światową trasę „Divide Tour" (260 koncertów dla 9 mln fanów) i zaszył się w domowym zaciszu. W grudniu 2019 r. wydał oświadczenie o kolejnej przerwie w karierze, a pod koniec sierpnia 2020 r. został tatą. Córeczka otrzymała imiona Lyra Antarctica.

Co robił po odcięciu się od muzyki? Zamienił gitarę na pędzle i zajmował się głównie malowaniem obrazów. Potem jednak pojawiła się Lyra. – Nagle uświadomiłem sobie, że moja córka powinna dorastać w poczuciu, że jej rodzice szanują pracę, uwielbiają ciężko pracować, tworzyć i czerpać z tego radość. A nie patrzeć na tatę, który jest w zasadzie bezrobotny – stwierdził w jednym z wywiadów.

Kluczowe w tej wypowiedzi jest sformułowanie „w zasadzie". Wspomniana wcześniej trasa koncertowa okazała się najbardziej dochodowa w historii. Przebiła „U2 360 Tour" z lat 2009–2011 i przyniosła 557 mln funtów. Rok 2019 Sheeran zamykał z 26 mln sprzedanych albumów i 100 mln singli. Jego majątek szacowano na 200 mln dol.

Takie osiągnięcia miały jednak swoją cenę: „Gdy zszedłem ze sceny w Ipswich w wieku 28 lat, czułem, że wdrapałem się na najwyższy szczyt mojego życia i nigdy więcej tego nie powtórzę. Ta świadomość bardzo mnie przybiła. Postanowiłem odpocząć od muzyki [...] a potem wybuchła pandemia.

Z SUFFOLK DO WARSZAWY

Artysta mieszka z rodziną w Suffolk. Ma tam kilka domów i... pub w ogrodzie. „Tak, to dziwne mieć pub w ogrodzie, ale jeśli moi kumple przyjdą, możemy wypić w pubie, a jeśli oni będą chcieli bawić się dalej, mogę wrócić do rodziny. O wiele przyjemniej jest jeść bez kogoś, kto robi ci ciągle zdjęcia" – tłumaczył w wywiadzie.

W kwietniu przyszłego roku ma się rozpocząć brytyjska i irlandzka część nowej trasy Eda Sheerana, pt. „+ – = ÷ x Tour" (wymawiana jako The Mathematics Tour). Na stadionie Wembley w Londynie zaplanowano aż cztery koncerty. Polscy fani płytę „=" usłyszą na żywo podczas dwóch koncertów na PGE Narodowym w Warszawie – 25 i 26 sierpnia 2022 r. A jeszcze przed najbliższym Bożym Narodzeniem ukaże się świąteczny singiel nagrany przez Sheerana i Eltona Johna.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Carmen i trzech torreadorów

Ludzie zawsze chowali się za pseudonimami. Z pychy lub ze skromności, w złych czasach – z pragnienia ocalenia głowy, w lepszych – z nadziei na fortunę

STANISŁAW WOJCIECHOWSKI

Zaledwie kilka dni temu portale zachłystywały się wiadomością o „hiszpańskim skandalu literackim". Skandalu? Najwyżej skandaliku, któremu rumieńców dodać miał fakt, że zdekonstruowanie Carmen Moli dokonało się w obecności hiszpańskiej pary królewskiej. Na podium, gdzie wręczano komercyjną, cenioną ze względu na honorarium nagrodę Premio Planeta, zamiast autorki thrillerów weszło trzech hidalgos: Agustín Martínez, Jorge Díaz i Antonio Mercero. MDM? Owszem, ten skrót może się źle kojarzyć historykom stalinizmu, ale jednak nie jest to Gruppenführer WOLF literatury.

Jeśli przyjrzeć się dziejom literatury trochę uważniej, okaże się, że ludzie od zawsze pisywali pod pseudonimem, nierzadko też kilka osób kryło się pod jednym nazwiskiem. Pewną nowością może być najwyżej wirtualna zmiana płci, jakiej dokonali przy tej okazji Díaz, Martínez i Mercero – ale i to świadczy wyłącznie o rynku, na którym thrillery lepiej sprzedają się z kobiecym nazwiskiem na okładce.

Kto jednak przygląda się literaturze pod tym kątem? Większość pamięta ze szkoły, że Bolesław Prus to Aleksander Głowacki, jak ktoś miał czwórkę, to kojarzy jeszcze, że George Sand była kobietą, no i coś tam było ze Stendhalem.

DETEKTYW W BIBLIOTECE

Otóż są tacy ludzie. Całe pokolenia filologów strawiły życie nad meandrami pseudonimografii i pseudonimologii. Pierwsza z tych ważnych nauk jest działem bibliografii, choć i detektywistyki, a jej adepci zbierają i rozszyfrowują pseudonimy. Pseudonimolodzy zaś badają strukturę pseudonimów i sposób ich tworzenia, sposoby ich porządkowania, a przy okazji, można by rzec, całe socjologiczne i historyczne tło: jakie pseudonimy tworzono w różnych epokach i dlaczego, czym się kierowano: ostrożnością, przebiegłością czy kokieterią?

Obie te nauki stworzyły stosowną terminologię, niepojętą dla niewtajemniczonych, nader przydatną przy grze w scrabble'a. Większość specjalistycznych określeń dotyczy rzadkich rodzajów pseudonimów. Czy wiedzą państwo, czym jest np. proprionim? To „pseudonim określający cechy fizyczne autora", np. Krzepki, Czarny, Mocarz. Kognationim? To pseudonim, którego rdzeń stanowi określenie pokrewieństwa, ot, np. Wuj Hieronim. Pseudoginim? A, to właśnie rozwiązanie, jakie wybrali dzielni Hiszpanie: pseudonim naśladujący imię lub nazwisko żeńskie w przypadku autora męskiego. Najbardziej chyba znany polski tego przykład to „Miriam", pod którym to hebrajskim słowem zagościł na dobre w literaturze Zenon Przesmycki – krytyk, tłumacz i niezmordowany wydawca Norwida.

To oczywiście nie koniec listy: jest nobilonim, czyli pseudonim w kształcie herbu (Prus, Prus, nie inaczej! Aleksander Głowacki odwoływał się przecież nie do wrażego zaborcy, lecz do tarczy herbowej), fiktionim (to najbardziej, można powiedzieć, „klasyczny" pseudonim, czyli wymyślone imię i nazwisko do złudzenia przypominające prawdziwie: ot, Jan Lechoń jako przykrywka dla Leszka Serafinowicza herbu Pobóg, najsmutniejszego wśród skamandrytów), geonim („Warmianka"), a dla prawdziwych entuzjastów: allonim, ananim i alienomin! Tych już objaśniać nie będziemy, dodajmy tylko, że do tego zastępu terminów na literę A należy również anonim: brak imienia i podpisu, krzycząca nieobecność, to przecież również rodzaj pseudonimu...

LITERONIM KSIĘDZA BISKUPA

Jakby tego było mało – są jeszcze różne figle: grafonim to pseudonim w postaci nieliterowych znaków typograficznych, choćby tak modnych dziś ******** (jeśli składa się tylko z gwiazdek, nazywają go asteronimem), enigmonim to pseudonim w kształcie wierszowanej zabawki literackiej. A są przecież jeszcze krzyżówki i pododmiany, bo np. pseudoandronim (czyli pseudonim rodzaju męskiego dla autorki) może być zarazem monachinimem, czyli pseudonimem wykorzystującym nazwę zakonu. Wyobraźmy sobie, że autorka głośnych „Heks" Agnieszka Szpila podpisuje swoją kolejną powieść jako Brat Jacek Soplica: czy nie byłby to brawurowy przykład heronimu, monachinimu i pseudoandronimu w jednym? W głowie się kręci... a co, jeśli Agnieszka Szpila nie istnieje, jeśli „Szpila" to jedynie apellativonim, czyli pseudonim utworzony od nazwy przedmiotu?!

Istnieje, istnieje. O to, byśmy nie sfiksowali niczym bohater „Pamiętnika znalezionego w wannie" Stanisława Lema

eprasa.pl 0bebdbdc49

Jorge Díaz, Antonio Mercero i Augustín Martínez

(wbrew podejrzeniom Philipa K. Dicka, „Lem" nie jest pseudonimem!), dbają całe zastępy pseudonimologów: w Polsce ich poczet otwiera sam biskup Józef Andrzej Załuski, twórca Biblioteki Narodowej, który wśród licznych swoich prac wydał w roku 1754, jako dodatek do przekładu Wergiliusza, rodzaj „wykazu patriotycznych poetów polskich" („Bibliotheca poetarum polonorum, qui patrio sermone scripserunt"), rozwijając w nim kilkadziesiąt pseudonimów. Czy muszę dodawać, że ksiądz biskup opublikował swój przekład nie pod nazwiskiem, co nie uchodziło mu jako osobie duchownej, lecz pod literonimem I.Z.R.K.O.W.?

A potem już poszło... Pokolenia polonistów wertowały „Słownik pseudonimów..." Adama Bara, wydany tuż przed wojną. Przez lata zestarzał się on zresztą i posypał, zastępy pseudonimografów tropiły bowiem kolejne maski i ukrycia. Jak rozszyfrować pojedynczą literę lub pospolite słówko, trzy gwiazdki lub kontrakcjonim (ściągnięcie nazwiska, jak w „Dygas" zamiast Dygasińskiego), widniejące pod pojedynczym tytułem w numerze „Tygodnika Ilustrowanego" sprzed 150 lat? Największych zdradza styl: choćby Słowacki pisał pod nazwiskiem Twardocha, poznalibyśmy go pewnie po jutrzenkach, różach i świtach, Tuwima też da się rozpoznać (czy zawsze?), chociaż po pismach humorystycznych krył się pod przeszło 70 imionami. Ale inni? A jednak: w najdoskonalszym do dziś „Słowniku pseudonimów pisarzy polskich" (Ossolineum, 1994) zgromadzono pseudonimy 18 tys. autorów.

WYBRANOWSKI, CZYLI POZDRO DLA KUMATYCH

Jako się rzekło: wyjątkowo tylko pseudonimu literackiego używano dla rzeczywistego ratowania życia. Owszem, kilku takich przykładów dostarczają czasy ostatniej wojny: Baczyński publikował swoje wiersze jako „Jan Bugaj", Gajcy jako „Topornicki", Miłosz jako „Jan Syruć". Czasem unikano w ten sposób nie tyle może śmiertelnego zagrożenia, ile sytuacji niezręcznej: Henryk Rzewuski, świetny pisarz i nielubiany w Królestwie Polskim zwolennik ugody z caratem, publikował jako „Jarosz Bejła", Zygmuntowi Krasińskiemu wygodniej było pisywać jako „Konstanty Gaszyński", a księża radykałowie kryli się pod pseudonimem przed gniewem biskupów, jak choćby ks. Izydor Wysłouch publikujący apele o reformę stosunków na wsi jako „Antoni Szech". Czasem zacierano wstydliwą przeszłość: C.W. Ceram, wielki popularyzator archeologii, od którego nazwiska określana jest świetna seria PIW, to w rzeczywistości Kurt Wilhelm Marek, funkcjonariusz aparatu propagandowego III Rzeszy...

> Najbardziej znany przykład pseudonimiki politycznej to Roman Dmowski, który swoją powieść „Dziedzictwo" wydał pod nazwiskiem Kazimierza Wybranowskiego

Najbardziej znany przykład pseudonimiki politycznej to oczywiście Roman Dmowski, który swoją powieść „Dziedzictwo" wydał pod nazwiskiem Kazimierza Wybranowskiego: liderowi endecji nie uchodziło narażać się na krytykę literacką, na którą notabene książka jak najbardziej zasługiwała. Ale nawet w tym przypadku konspiracja ta nie była do końca na serio: Dmowski wziął się za omówienie „Dziedzictwa" na łamach „Gazety Warszawskiej", chwaląc jego wymowę polityczną, kokieteryjnie ganiąc styl, o autorze pisząc zaś „p. Wybranowski czy jak się tam on nazywa". Dla wtajemniczonych wszystko było jasne...

I tak zwykle jest z pseudonimami: są jeszcze jednym elementem zabawy, którą bywa literatura i publicystyka. Anonimowi dla nas (może do czasu?) autorzy barokowych komedii sowizdrzalskich kryli się pod wymownymi pseudonimami w rodzaju „Tymoteusz Moczygębski" czy „Jadam Nieboraczkowski z Chudej Woli", sugerując tym samym temat czy charakter sztuki. Kiedy Tuwim podpisywał się jako „Schyzio Frenik", a Gałczyński – „Karakuliambro" – była to już czysta gimnastyka, radość kalamburzysty. Kiedy Janusz Minkiewicz sygnował swoje fraszki „Jan Uszminkiewicz", a Leopold Staff – „Paul d'Eck", puszczali oko. KMWTW (to nie pseudonim) czy może #pdk, czyli „Pozdro dla kumatych".

I z Carmen Molą było nie inaczej: już sam fakt, że w dziesiątkach wywiadów nieodmiennie stała odwrócona tyłem do aparatu, dawał do myślenia tym, którzy znają rynek księgarski. Polska nadąża: pod zbiorowym pseudoginimem „Maryla Szymiczkowa" od lat przecież pisuje zabawne retrokryminały krakowskie Jacek Dehnel z Piotrem Tarczyńskim. Sensacji jednak nie ma, każdy, kto kartkuje w księgarni opisy śledztw profesor Szczupaczyńskiej, od ręki rozpozna ten styl. „Tamteczny stróż [kolekcji Czartoryskich] pan Gliński ma może całkiem szlachetny rzymski profil, ale nie grzeszy ani intelektem, ani sumiennością". Przedszkolne żarty z nazwiska plus kopanie po kostkach? Zaiste, tak potrafi pisać tylko Dehnel.

Fot. Josep Lago / AFP / EastNews

eprasa.pl 0bebdbdc49

3 MIŁOŚCI

Cyfrowa wojna hybrydowa

ROBERT TEKIELI

W naszych domach trwa cyfrowy terror. Cyfrowa wojna domowa. Rodzice wyrywają młodym smartfony z rąk. Dzieci stosują wszelkiego rodzaju oszustwa i podstępy, by w cyfrowym świecie przebywać godzinami. Niekontrolowane korzystanie z mediów to zmora naszych czasów.

13-letnia Marta spędza ponad dziewięć godzin dziennie wpatrzona w ekran smartfona. Potrafi nie wychodzić z pokoju przez trzy dni. Nie spać w tym czasie, nie jeść, nie myć się. Nie wypełnia obowiązków szkolnych ani domowych. Próba odebrania jej smartfona kończy się napadami złości, rzucaniem i niszczeniem przedmiotów. Ma za sobą pierwszą ucieczkę z domu, po próbie odebrania jej urządzenia.

Jak wynika z badań przeprowadzonych na KUL, wśród polskich nastolatków w wieku 12–17 lat destrukcyjne zaburzenia spowodowane używanie internetu występują u 11,9 proc. populacji. Dodatkowo 11,4 proc. to osoby z częściowymi objawami zaburzeń.

Ponad połowa (54,4 proc.) młodych ludzi miała kontakt z niebezpiecznymi treściami w internecie. Niemal co trzeci badany widział w sieci sceny okrucieństwa i przemocy, a co czwarty – treści dotyczące sposobów samookaleczania się, materiały pornograficzne oraz zachęcające do obrażania innych lub dyskryminujące.

Cyfrowe media zastępują pracę naszego umysłu, w związku z czym z czasem słabnie nasz potencjał umysłowy. Niekontrolowane, nadmierne korzystanie z mediów cyfrowych degraduje jednak nie tylko intelekt, również dotknięte są sfera woli i uczuć, a przede wszystkim kaleczone są zachowania społeczne. Neurobiologia współczesna eksperymentalnie potwierdziła negatywny wpływ nowych mediów na człowieka i coraz lepiej poznaje stojące za tym mechanizmy.

Cyfrowe media zastępują pracę naszego umysłu, w związku z czym z czasem słabnie nasz potencjał umysłowy. Niekontrolowane, nadmierne korzystanie z mediów cyfrowych degraduje jednak nie tylko intelekt, również dotknięte są sfera woli i uczuć, a przede wszystkim kaleczone są zachowania społeczne

Psychiatrzy z uniwersytetu w Heidelbergu zaobserwowali u osób uzależnionych od telefonów ubytek w istocie szarej mózgu. Badania rezonansem magnetycznym wykazały u nich również obniżoną aktywność w wybranych rejonach mózgu. Podobne zmiany zaobserwowano w mózgach osób uzależnionych od narkotyków.

Uzależnienie rozwija się w sposób następujący: na początku mamy okres fascynacji nowymi możliwościami; potem następuje czas znajdowania w sieci różnych metod pomocnych w odprężeniu się i likwidowaniu różnego rodzaju dyskomfortów (napięcia psychicznego, poczucia samotności itp.); potem etap wejścia w regularne korzystanie z tych metod; postępujące ograniczanie kontaktów z bliskim otoczeniem na rzecz kontaktów wirtualnych; poczucie dyskomfortu w sytuacjach ograniczonego dostępu do internetu; i wreszcie pojawienie się problemów społecznych, zdrowotnych czy finansowych uzależnionego.

Trzyletni chłopczyk dostał tablet. Oglądał na nim bajki, grał w edukacyjne gry, uczył się angielskiego. Po pewnym czasie próba odebrania mu urządzenia i zainteresowania czymś innym kończy się histerią.

Badania nad korzystaniem ze smartfonów przez 1043 studentów w wieku od 18 do 30 lat w londyńskim King's College wykazały, że prawie 40 proc. studentów uniwersytetu zakwalifikowało się jako uzależnieni od smartfonów.

Cyfrowe media prowadzą do uzależnień i kradną nam sen, wpływają niekorzystnie na naszą pamięć, wyręczają nas w pracy umysłowej, nie przyczyniają się do lepszego rozwoju umysłowego ani do poprawy naszych stosunków z innymi. Zakłócony rozwój mózgu, zwłaszcza w jego czołowych partiach odpowiedzialnych za funkcje społeczne i kontrolę uwagi, skutkuje pojawieniem się syndromu deficytu uwagi wzmożonego występowaniem stanów depresyjnych, do tego dochodzą zakłócenia rozwoju mowy, problemy z nauką i koncentracją, stres, depresja i narastająca gotowość do stosowania przemocy fizycznej.

Elastyczność umysłu młodego człowieka powoduje, że jak najdłuższe odsunięcie w czasie kontaktu dziecka z cyfrowymi mediami jest niezwykle ważne. To najlepszy sposób ochrony naszych dzieci.

Nowe technologie sprawiają, że XXI w. wygląda tak, jak gdyby miłości, wspólnotom, rodzinie wytoczona została cyfrowa wojna hybrydowa.

eprasa.pl 0bebdbdc49

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Wczasach, w których grozi się sądami za cytowanie Pisma Świętego, obrona naszej religijnej wspólnoty to konieczność. Książka księdza Janusza Królikowskiego ***„Nie mamy prawa milczeć!”*** jest właśnie taką apologią Kościoła.

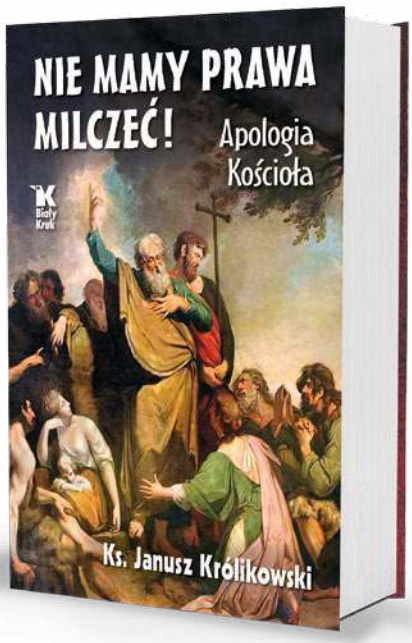

Autor rozpoczyna ją refleksją na temat relacji pomiędzy Kościołem a polityką i władzą. Rozważa zagadnienie tak zwanych pokus politycznych. Sformułowanie tezy o sojuszu ołtarza i tronu jest dziś bronią ideologii wrogiej chrześcijaństwu. Ksiądz Królikowski kończy swoje rozważania w tej kwestii deklaracją: wiara domaga się ode mnie „mieszania się” do polityki.

Dalej analizie poddany został stosunek religii do nacjonalizmu. Wbrew nurtom rewolucyjnym autor podkreśla mocne przekonanie, że koncepcja narodu jest wpisana bardzo mocno w dzieje zbawienia. Z drugiej strony podkreśla, że myśl katolicka, akceptując istnienie narodu, odrzuca jednak nacjonalizm jako nieuprawnioną formę jego aprobaty.

Kolejny rozdział traktuje o marksistowskich próbach eliminowania płci oraz o biowładzy. Autor przypomina też, że istnieją przedmioty akademickie, które uparcie zajmują się deprecjonowaniem wyjątkowości człowieczeństwa. Absurdalne zrównywanie człowieka ze światem zwierzęcym prowadzi do wniosku, że niczym się on nie wyróżnia. Ksiądz Królikowski powtarza za Mounierem, że po okresie dyktatur opartych na ideologii pojawiła się dyktatura czułości. W liberalnej logice ostatnich lat kto płacze, ten ma rację. Cóż, dzisiejsza dyktatura ma być aksamitna.

Dalej mamy rozdział o kolejnym froncie wytyczonym przez osobistych wrogów Pana Boga. Autor rozpoczyna go od przywołania postaci świętego Piotra Damianiego, nieprzejednanego przeciwnika sodomitów w Kościele. Ksiądz Królikowski nie ukrywa, że w okresie powojennym nie było w Kościele odpowiednich mechanizmów prawnych do zmierzenia się z przestępstwami wykorzystania seksualnego nieletnich. Mówi też jednoznacznie: „Kto w Kościele dopuścił się zaniedbań, powinien odejść, nie czekając na wyrok takiej czy innej komisji”. Wykazuje jednocześnie błędy w tych kwestiach księży Andrzeja Kobylińskiego i Isakowicza-Zaleskiego. Stwierdza też, że dziś już są wystarczające podstawy prawne, by wykluczyć homoseksualistów z kapłaństwa.

Na koniec pierwszej części swojej książki analizuje, co się stało jesienią 2020 r. I dochodzi do takiej konkluzji opartej na teorii kozła ofiarnego René Girarda: „Zabijanie ofiar”, zabijanie nowo poczętego dziecka miałoby być chwalebne, bo daje wolność kobiecie. Takie przekonanie jest radykalnie błędne, więc powinniśmy się smucić, że taka „debilna przemoc” (sformułowanie Girarda) stała się aktem założycielskim Strajku Kobiet.

W drugiej, bardziej teologicznej części „Nie mamy prawa milczeć!” możemy przeczytać o tym, czym Kościół nie jest, o przyczynach jego niezrozumienia i o duchowości po II Soborze Watykańskim. Ksiądz Królikowski pisze również o Polsce, widząc jej wyjątkowość między innymi w dużo mniejszym niż w krajach zachodnioeuropejskich wpływie idei oświecenia, dzięki czemu uniknęliśmy rewolucji porównywalnej z niezwykle krwawą rewolucją francuską.

Autor przypomina nam, że nie buduje się katedr na opiniach, a działalność naszej wspólnoty oparta jest na logice miłości. Dlatego tak czysto wybrzmiewa puenta tej książki, którą jest wezwanie nieoczywiste dla części katolików, a jednocześnie tak proste: kochajmy Kościół. Jest on świętością budowaną przez grzeszników. Świątynią.

Kadr z serialu „Upadek królestwa”

Warte A teraz tradycyjne przywołanie produkcji wolnych od ideologii LGBT. Polecam pięć sezonów serialu ***„Upadek królestwa”***. Jego produkcję rozpoczęto dwa lata przed „Wikingami”, akcja toczy się w IX w. na Wyspach Brytyjskich. Kilka królestw o płynnych granicach zmaga się z sobą oraz z Duńczykami o srebro i władzę. Sasi walczą ze zmiennym szczęściem, dzięki czemu akcja toczy się wartko. Sympatycy dramatów historycznych mogą liczyć więc na niezłą rozrywkę. Główną rolę gra Alexander Dreymon, niestety nieco mniej charyzmatyczny od Travisa Fimmela z „Wikingów” czy Charlie Hunnama z „Synów anarchii”. Niemniej warto zajrzeć na netflixową platformę, by obejrzeć serial, bo akurat ta produkcja nie powstała w celu marksistowskiego prania mózgów.

„Upadek królestwa” mówi jasno, co jest siłą napędową mężczyzn – obrońców państw, miast, kobiet i dzieci. Żadna tam ziemia czy krew. Po prostu miłość. Miłość, która daje bezpieczeństwo, która pozwala istnieć wspólnotom większym niż rodzina.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 0bebdbdc49

Adamski

Narodziny rodziny Soprano

„Diuna", „Nie czas umierać" – na te dwa tytuły czekała większość kinomanów przewalcowanych przez pandemię. Ja również. Zaraz po nich na moim podium „must watch" był ten film. Prequel jednego z najwspanialszych i najważniejszych dla mnie seriali, który na zawsze zmienił kino na małym ekranie i wywindował opowieści o mafii na zupełnie nowy poziom. Nie byłoby takich popularnych dziś mafijnych seriali jak „Gomorra" czy „Suburra", gdyby nie produkcja Davida Chase'a z lat 1999–2007. „Rodzina Soprano" przemeblowała ekranowy świat włoskiej mafii, jaki na dekady ułożyli nam swoimi arcydziełami Francis Ford Coppola i Martin Scorsese. To Chase połączył brutalne kino mafijne z telenowelą o amerykańskiej rodzinie z przedmieść. To on pokazał zło w jego banalnym wymiarze. W końcu to „Rodzina Soprano" skierowała kamerę na prowincję, uciekając od nowojorskiej Małej Italii czy neonowej światowej stolicy grzechu w stanie Nevada.

W roku premiery „The Sopranos" (1999) na kozetce u psychologa usiadł też mafiozo o twarzy Roberta De Niro. Gangster też potrzebuje terapii? Rewolucyjna zmiana! „Depresja gangstera" Harolda Ramisa to lekka komedyjka, gdzie De Niro bawił się swoimi legendarnymi kreacjami gangsterów u Coppoli i Scorsesego. Natomiast już siadający na kanapie u dr Melfi (znanej z „Chłopców z ferajny" Lorraine Bracco) Tony Soprano – o twarzy znanego wówczas z charakterystycznych epizodów, a nie głównych ról Jamesa Gandolfiniego – nie był żadną parodią gangstera. Od momentu gdy voyerystycznie zajrzeliśmy za drzwi domostwa i do głowy Anthony'ego Soprano, nic w kinie mafijnym nie było już takie samo.

Reszta jest historią i legendą, zakończoną najbardziej zdumiewającym i kontrowersyjnym finałem serialu w historii telewizji. Nie potrafię (nie ja jeden pewnie) słuchać „Don't Stop Believin" Journey bez widoku oczu Tony'ego zerkającego na co chwilę otwierane drzwi w ulubionym dinerze. Co się kryło za ostatnim wejściem? Śmierć? Wiara w lepsze jutro? Odkupienie? Potępienie? Wyemitowany 10 czerwca 2007 r. 86. odcinek szóstego sezonu „The Sopranos" na zawsze przeszedł do legendy telewizji. Kto wie, czy gdyby nie przedwczesna śmierć Jamesa Gandolfiniego (1961–2013), to Chase nie uległby presji producentów i na fali recyklingu najważniejszych franczyz amerykańskiej popkultury nie wyjaśniłby losu rodziny Tony'ego. Zapewnia, że nie. Mimo mojej bezgranicznej miłości do „The Sopranos" ja takiej kontynuacji nie potrzebuję. Jednak zerknięcie na przeszłość bohaterów, w tym dzieciństwo Tony'ego, to coś, co elektryzowało mnie od momentu, gdy pomysł na prequel został ujawniony przez Chase'a.

„The Many Saints of Newark", czyli „Wszyscy święci New Jersey" (jak rozumiem nazwa Newark odepchnęłaby kinomanów od kin według dystrybutora?) narodził się w głowie Chase'a krótko po skończeniu szkoły filmowej. Chase chciał opowiedzieć o członkach Gwardii Narodowej, którzy – by uniknąć poboru i wysłania do Wietnamu – trafiają w mundurach na ulice Newart podczas rasowych zamieszek z 1967 r. W tym okresie w New Jersey musiał żyć ojciec Tony'ego Soprano Johnny, nieprawdaż? Pomysł na ponowne wejście w świat Soprano leżał więc na tacy. Wystarczyło go odkurzyć i na nowo opakować. Co z niego wyszło? Nie jest to al dente jak serial, ale nie mamy do czynienia z rozgotowanym daniem.

Miłośnikom serii będzie smakować. I chyba tylko im. Zobaczenie, jak rodzi się toksyczność matki Tony'ego (Vera Farmiga jest już etatową młodą wersją złych mam, jak pani Bates i teraz pani Soprano), widok młodego Juniora Soprano (Corey Stoll) i jego brata Johnny'ego Soprano (Jon Bernthal) przejmujących władzę od dziadka Christophera Moltisantiego (Ray Liotta w podwójnym wydaniu różnym od pamiętnej roli mafioza Henry'ego Hilla u Scorsesego), do tego młodziutcy Paulie i Silvio i oczywiście naświetlenie wejścia na mafijną ścieżkę samego Tony'ego (w tej roli syn śp. Jamesa, Michael Gandolfini) – to wszystko jest mokrym snem miłośnika „The Sopranos".

Dobrym pomysłem było uczynienie narratorem filmu Christophera (Michael Imperioli), który już na początku przypomina, że wujek Tony go zamordował. „Wszyscy święci..." skupia się na ojcu Christophera, Dicku Moltisantim (Alessandro Nivola) i jego drodze na szczyty rodziny. Nivola jako mentor młodego Tony'ego Soprano tworzy najlepszą rolę w filmie. Jest uroczy i jednocześnie brutalny. Opiekuńczy i demonicznie bezwzględny. Można zrozumieć, dlaczego duch ojca Christophera był obecny w oryginalnej historii. Nie spodziewajcie się jednak typowej opowieści rodem z kultowej już produkcji HBO. Widać, że Chase wraz

Kino

eprasa.pl 0bebdbdc49

z reżyserem Alanem Taylorem (wyreżyserował kilka odcinków serialu) chciał trafić do widzów, którzy nie znają albo znają pobieżnie „Rodzinę Soprano". Czeka ich niestety dosyć schematyczna gangsterska opowieść, wizualnie udanie zanurzona w klimacie retro. Główną osią opowieści jest wojna Włochów z Afroamerykanami pod przywództwem Harolda (Leslie Odom Jr), która nie ma jednak nawet ułamka siły podobnych wątków choćby z „Zakazanego imperium". Na dodatek wątek rasowy w połączeniu z feministycznym (wyzwolona imigrantka z Sycylii Giusseppina zagrana przez Michele De Rossi) jest plakatowo politpoprawny. O wiele głębiej o emancypacji kobiet mafii (jestem świadom, że okres akcji jest inny) opowiada choćby włoska „Gomorra".

„Wszyscy święci..." mógłby się stać serialem. O ile Michael Gandolfini okazałby się aktorem mającym choćby odrobinę ognia swojego ojca. Nie wiem, czy go ma. Jest dopiero na początku drogi artystycznej. Na pewno ma spojrzenie Tony'ego Soprano. Ma też jego ruchy. Czy ma charyzmę, by dalej pokazać wchodzenie młodocianego Soprano na przestępczą ścieżkę? To otwarte pytanie. Anakin w końcu nie od razu stał się Vaderem. Kapitalne są sceny, gdy niemowlak Christopher nie chce iść na ręce swojego wujka Tony'ego, który nie rozumie, co jest tego przyczyną. My wiemy, że kilka dekad później ukochany kuzyn zostanie przez wuja zamordowany. „Niemowlaki widzą więcej" – mówi przy stole do zaskoczonego Tony'ego stara Włoszka. W innej scenie młody Soprano czeka na przyjazd podziwianego Dickiego, mającego na poważnie go wprowadzić do „rodziny". Czeka... w dinerze. Co chwila patrzy na otwierające się drzwi. Tak, jak w enigmatycznym finale serii. Te smaczki doskonale uzupełniają „The Sopranos". Nawet jeżeli „Wszyscy święci New Jersey" nie działają jako oddzielna opowieść gangsterska, to ten film znajdzie miejsce w sercu fana „The Sopranos". W moim znalazł. Choćby przez spojrzenie młodego Gandofliniego.

„WSZYSCY ŚWIĘCI NEW JERSEY", REŻ. ALAN TAYLOR, DYSTR. WARNER BROS

Wojna domowa

Telewizja

Już przy pierwszym sezonie „Sukcesji" czułem, że jest to serial bliski najwybitniejszych telewizyjnych produkcji ostatnich dwóch dekad. Trzeci sezon (widziałem siedem odcinków) utwierdza mnie w przekonaniu, że mogę śmiało postawić go obok „Rodziny Soprano", „Breaking Bad", „Prawa ulicy" czy „Pohamuj entuzjazm". Opowieść o magnatach medialnych z Nowego Jorku, pod wodzą niezniszczalnego Logana Roya (jedna z najwybitniejszych ról w karierze Briana Coxa) wciąż zachwyca, przeraża, bawi i niepokoi.

Wojna domowa to najgorszy rodzaj konfliktu. Jest to wojna najbardziej krwawa i brutalna. To truizm, ale patrząc na plemienne wojny w dzisiejszej mediokracyjnej dyktaturze, wybrzmiewa on wyjątkowo mocno. Drugi sezon „Sukcesji" zakończył się rzuceniem wyzwania wszechmocnemu ojcu przez zbuntowanego syna Kendalla (Jeremy Strong). Obaj zaczynają korporacyjną, ale też rodzinną, wojnę o medialne imperium. Zawierają sojusze, przeciągają na swoją stronę pozostałych Loganów (Kieran Culkin, Sarah Snook, Alan Ruck) i jednocześnie eksploatują toksyczną relację ojciec–syn. Ojciec wie, że musi przekazać swoje imperium dzieciom, ale nie widzi w nich godnych następców. Kendall czuje, że jest faworytem ojca, ale jest świadom, że ten odda mu imperium, gdy dojrzy jego bezwzględność i pazury. Trzeci sezon uroczo igra z kulturą woke (Kendall przebiera się cynicznie w szaty feministy), pojawiają się ciekawe epizody takich gwiazd jak Adrien Brody, a tragizm w zdumiewający sposób miesza się z groteską. „Sukcesja" ze swoją wybitną obsadą pozostaje komedią, ale jej barwa jest bardzo czarna.

„Sukcesja" jest wciąż oczywiście krytyką wielkich korporacji medialnych, które sprawują rząd dusz nad nami. Logan steruje prezydentem USA, robi casting na kolejnych kandydatów, a sama demokracja jest dla niego „przereklamowana", jak w percepcji Franka Underwooda w „House of Cards". Familia Logana jest wzorowana na Rupercie Murdochu i jego konglomeracie z Fox News w centrum. Swoją drogą australijskie media właśnie doniosły, że na 90. urodziny Murdocha jego rodzina przygotowała filmik okraszony motywem przewodnim właśnie z „Sukcesji". Cóż, ciekawe, który prezydent USA utożsamia się z Underwoodem.

Ostatnie afery z algorytmami Facebooka pokazują, że „Sukcesja" trafnie stawia pytania o rolę dzisiejszych globalnych mediów i ich symbiozy z polityką. Mnie obsypany nagrodami Emmy i Złotymi Globami serial przyciąga czymś innym. Jest to opowieść o poszukiwaniu miłości i akceptacji. Rywalizujące i walczące z sobą rodzeństwo chce jednego: miłości patriarchy rodu. Mają wszystko – miliony na kontach, własne samoloty i apartamenty na całym świecie. A jednak w głębi duszy są wiecznie odtrącanymi dziećmi demiurga, który szanuje tylko własne odbicie w lustrze. Każde z dzieci chce się tym odbiciem stać. Mimo że jest ono potworne.

„SUKCESJA. SEZON 3"
DOSTĘPNY NA HBO I HBO GO

eprasa.pl 0bebdbdc49

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ PAKIETU

SIECI

wSIECI HISTORII

Czy poglądy Arystotelesa nadal kształtują światową politykę? Czy Shakespeare miał serce po prawej stronie? Dlaczego „Władca pierścieni" Tolkiena jest lekturą konserwatywną?

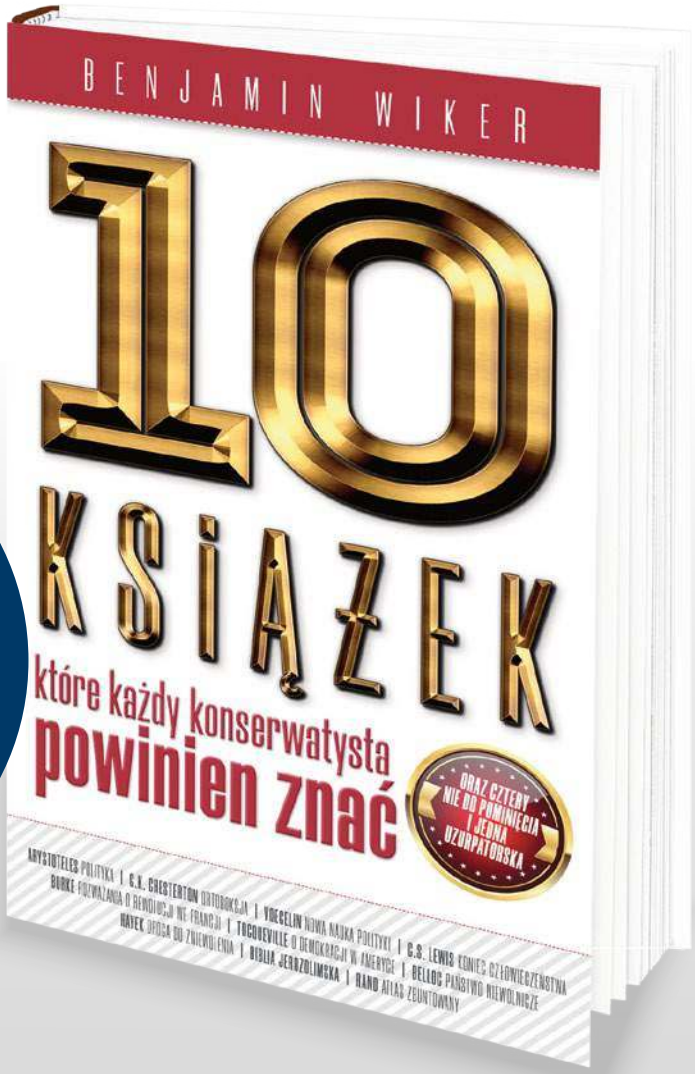

70 książek w prezencie

Publikację **„10 książek, które każdy konserwatysta powinien przeczytać"** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **280 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9–16

Autopromocja

eprasa.pl 0bebdbdc49

W trosce o pamięć

„Naród, który traci pamięć, przestaje być Narodem – staje się jedynie zbiorem ludzi, czasowo zajmujących dane terytorium” – Józef Piłsudski

Polska to dziś wolny i suwerenny kraj. Z bogatą tradycją i wspaniałą historią, choć pełną wielu trudnych doświadczeń. Jako wspólnota kulturowa nie jesteśmy tymczasową zbiorowością ludzi połączonych wyłącznie powierzchownymi relacjami społecznymi i interesami gospodarczymi. Nie jest też prawdą, że historia się skończyła, jak głosili niektórzy. Cały czas ewoluuje i zaskakuje. Współczesny świat to arena bezwzględnej rywalizacji międzynarodowej, także na polu pamięci historycznej. Wielu próbuje zmieniać historię, narzucać nowe narracje niemające nic wspólnego z prawdą historyczną. Jednocześnie nieustannie słyszymy, że trzeba wybrać przyszłość. To prawda, trzeba ją aktywnie kształtować, ale nie kosztem przeszłości – przeciwnie, raczej dzięki zasobom, które z przeszłości czerpiemy. Stawianie w kontrze przyszłości i przeszłości jest fałszywym założeniem. Nie sposób jednocześnie nie odnieść wrażenia, że życie publiczne pędzi bez refleksji, bez debaty na argumenty, bez założeń programowych. Dotyka to również kwestii fundamentalnych – naszej podmiotowości i tożsamości.

W obliczu takich wyzwań nie wolno pozostawać bezczynnym. Szczególnie dziś, gdy z jednej strony przez lata nasza pamięć była zaniedbywana, a z drugiej – jesteśmy atakowani nie tylko z zewnątrz, lecz – co jest szczególnie bolesne – wewnątrz naszej wspólnoty. Dlatego mamy szczególny obowiązek troski o naszą pamięć, kulturę i o nasze wartości.

W Polsce od sześciu lat prowadzimy konsekwentną politykę historyczną, której filarem jest instytucjonalizacja pamięci. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego było w tym okresie zaangażowane w ponad 200 inwestycji muzealnych w całej Polsce.

Ale pamięć, by przetrwała, potrzebuje także wielu innych swoistych nośników i instytucji. Jednym z nich jest kino. W ciągu ostatnich sześciu lat, dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz instytucji mu podległych, a także dzięki znacznemu zaangażowaniu TVP powstało 88 filmów fabularnych i dokumentalnych o polskiej historii, a prawie 140 kolejnych jest na etapie realizacji lub w fazie przygotowań. Wspieramy też cenne inicjatywy promujące kino historyczne. Na szczególne uznanie zasługuje z pewnością Festiwal Filmowy „Niepokorni Niezłomni Wyklęci”, który dziś jest już wydarzeniem o randze międzynarodowej.

Przywołane działania stanowią istotny, ale nie jedyny obszar naszej codziennej pracy. Kształtowanie narodowej tożsamości i pozytywnego wizerunku kraju poza jego granicami – poprzez zgodne z prawdą, ale i ciekawe opowiadanie o naszej historii – są naszym priorytetem i zarazem ogromnym wyzwaniem. Zapewniam, że obowiązek troski o naszą zbiorową pamięć będziemy nadal konsekwentnie i z wielką starannością wypełniać. ●

Piotr Gliński,
Wiceprezes Rady Ministrów,
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

17.09.2021 r. Otwarcie współfinansowanego przez MKiDN Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku

eprasa.pl 0bebdbdc49

Musimy walczyć z antykulturą

Duża część elit kulturalnych Polski żyje pod naciskiem, że na Polskę trzeba spoglądać obcymi oczami, oczami salonu Woltera w XVIII w., którego finansowała Katarzyna II, żeby opluwał Rzeczpospolitą, oczami postępowej Moskwy w wieku XX czy oczami twórców serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" w wieku XXI – mówi ***prof. Andrzej Nowak****, historyk, publicysta, jeden z najwybitniejszych współczesnych intelektualistów zaangażowanych w promowanie postaw patriotycznych i wiedzy historycznej*

Czy my – jako naród – potrzebujemy polityki historycznej, budowania pamięci, tworzenia i podtrzymywania tożsamości narodowej? Od dawna jest to kontestowane. Wydaje się, że podstawowym postulatem nurtów ideowych dominujących dziś na Zachodzie jest brak jakiejkolwiek trwałej tożsamości, a już na pewno tej osadzonej na przeszłych dziejach wspólnoty.

Andrzej Nowak: Są dwa istotne argumenty, które można tutaj przytoczyć. Pierwszy odwołuje się do stwierdzenia, że jeżeli jesteśmy ludźmi znikąd, bez pamięci, to jesteśmy nikim. To znaczy, że bez pamięci, bez tożsamości, bez tradycji jesteśmy ludźmi bez żadnej wartości. Historia jest bardzo ważną częścią naszej tożsamości i kultury. Nie da się zrozumieć kultury bez historii. I w związku z tym ten argument ma charakter uniwersalny. Drugi argument to argument normalności – tak bym to ujął. Liczba filmów poświęconych zwłaszcza historii najnowszej, ale nie tylko, jakie produkuje się w Norwegii, Francji czy np. Holandii, poświęconych gloryfikowaniu podbojów holenderskich w XVII w., jest duża. Celowo mówię o krajach północnych, skandynawskich, czy właśnie o Holandii, bo te kraje nie są kojarzone z jakąś agresywną polityką historyczną czy kompleksami. Gdy oglądam takie filmy, zastanawiam się, jak to jest możliwe, że takie protesty budzi wyprodukowanie jednego polskiego filmu, który przypomni, bez porównania większy, bardziej złożony, ale w dużej mierze po prostu bardziej bohaterski udział społeczeństwa polskiego w II wojnie światowej czy w historii XX w. niż któregokolwiek z tych narodów, o których rozmawiamy. Warto tu także przywołać przykład czeski. Oni również produkują filmy pokazujące w bardzo atrakcyjny sposób ich udział w ważnych wydarzeniach XX w., najczęściej w pozytywnym, bohaterskim świetle. Przypomnę nominowany do Oscara „Tmavomodrý svět" o czeskich lotnikach, których było 10 razy mniej niż polskich w Bitwie o Anglię. A mimo to nikt nie podnosi larum u naszych południowych sąsiadów, że następuje jakiś – powiedziałbym – nadmierny interwencjonizm państwa w żywą tkankę pamięci. To jest po prostu objaw normalności.

Czy w takim razie my, Polacy, kierujemy się kompleksami? Czym jest tzw. polityka wstydu, o której pisał pan w swojej książce „Historia i polityka"?

Niestety, antykultura święci triumfy – w teatrze, w środowisku akademickim, polonistycznym, w mniejszym stopniu na szczęście historycznym, ale w dużej części humanistyki w Polsce. Otóż, jeżeli tego rodzaju antykultura polega na oblewaniu fekaliami każdego elementu polskiej tradycji, to świadczy to jedynie o naszej nienormalności. Hasło, którego użył Donald Tusk trzydzieści kilka lat temu w odpowiedzi na ankietę tygodnika „Znak" – „polskość to nienormalność" – oznacza pewien stan ducha, który rzeczywiście jest nienormalny. Bo w zdrowych społeczeństwach, w których kompleksy nie przeważają nad rzetelną samoocenę własnych dokonań i błędów, nienormalność nie jest definicyjną cechą, którą przypisuje się własnej kulturze. I żeby z tą kulturą nienormalności, a raczej antykulturą, walczyć, uważam, że powinniśmy postępować tak, jak inne cywilizowane narody postępują ze swoją tradycją.

Dodam tu jeszcze jedną konkretną informację, którą łatwo zweryfikować. Otóż przed dojściem do władzy rządu Prawa i Sprawiedliwości w 2015 r. w Polsce było kilkakrotnie mniej muzeów na 100 tys. mieszkańców niż nie tylko w tak bogatych krajach jak Niemcy czy Francja, ale również kilkakrotnie mniej niż na przykład w Czechach. Czy wobec tego budowa kilkudziesięciu nowych placówek muzealnych powinna być traktowana jako objaw jakiejś patologii w działaniu? Otóż nie. Zupełnie odwrotnie. Jest to właśnie droga do normalności.

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 0bebdbdc49

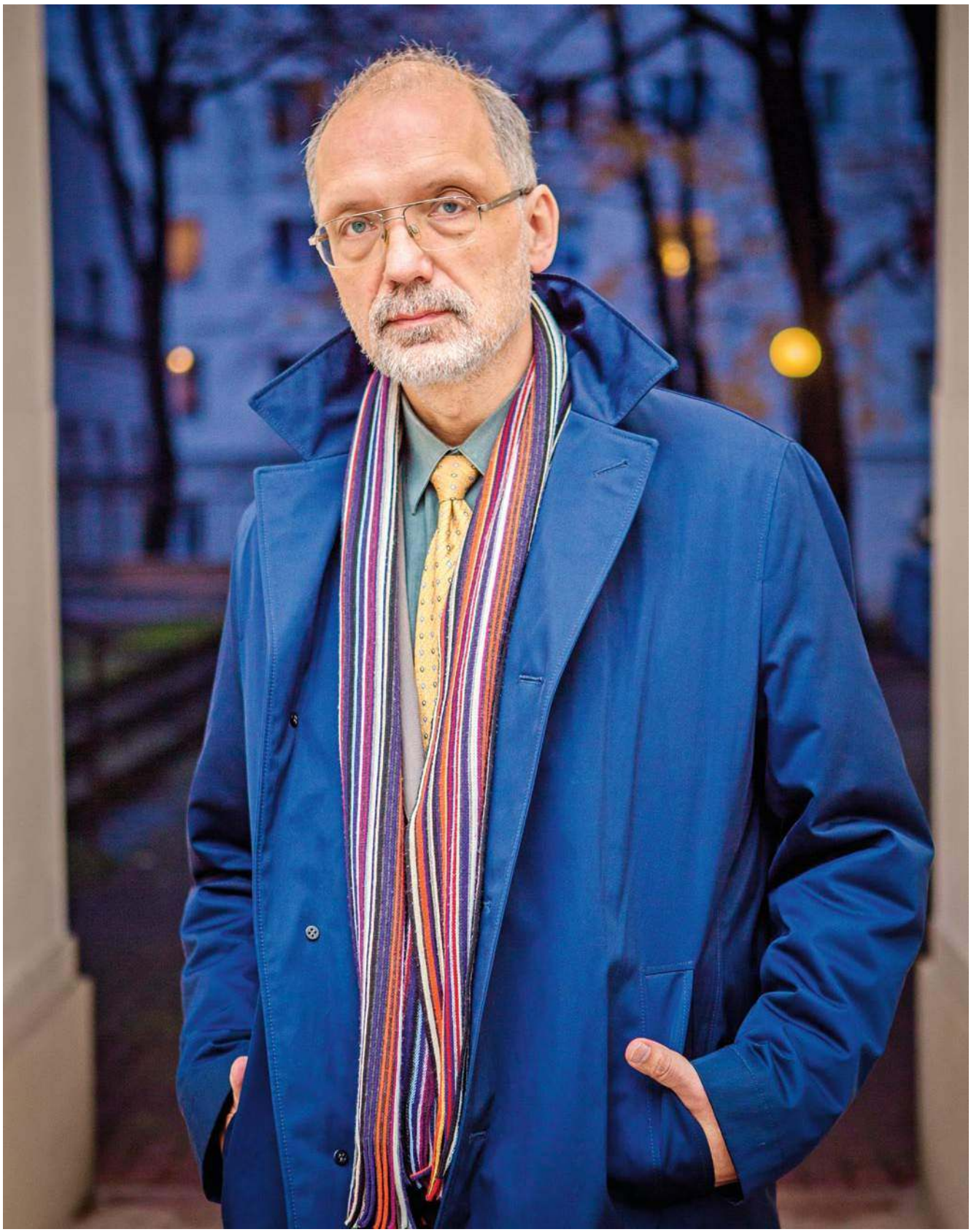

eprasa.pl 0bebdbdc49

Od kilku lat państwo polskie coraz silniej wspiera działalność, również oddolną, której celem jest zachowanie pamięci. Coraz silniej wspierani są twórcy, którzy o tę pamięć dbają. Powstały już filmy o Piłsudskim, Legionach, o Powstaniu Warszawskim. Powstają dwie produkcje o Pileckim, rodzinie Ulmów, Tadeuszu Kościuszce. Będzie też animacja dla dzieci o niedźwiedziu Wojtku. To łącznie od 2016 r. ponad 200 produkcji ze wsparciem państwa. Czy i kiedy takie działania mogą przynieść realne korzyści dla naszej wspólnoty?

To, co odpowiem, może nie być satysfakcjonujące, bo ta odpowiedź sprowadza się do stwierdzenia: nie wiem. Powiedziała pani o 200 produkcjach filmowych, ale nie wyobrażajmy sobie, żeby nie było żadnej pomyłki, że rząd w jakimś szaleństwie dofinansował 200 filmów fabularnych.

W dużej mierze są to filmy dokumentalne.

Właśnie. I bardzo dobrze, że powstają dokumenty, bo gdy idzie o to oddziaływanie, o które pyta pani, to myślę, że czasem dobry dokument długofalowo może mieć większe znaczenie od średniej jakości filmu fabularnego. W ogóle widać pewien wyraźny kryzys polskiego kina, w którym środowisko faworyzuje wyłącznie kulturę fekaliów wylewanych na polskość. Nie jest łatwo przebić się przez tego rodzaju środowiskowy terror. Jeśli zatem w ciągu sześciu lat powstają filmy, kilka produkcji fabularnych i sto kilkadziesiąt filmów dokumentalnych, które ministerstwo uznaje za warte dofinansowania, właśnie pod kątem przywracania tej normalności, o której rozmawiamy, to sądzę, że w ciągu następnych kilkunastu, dwudziestu kilku lat, ludzie będą mieli po prostu do czego wracać. Dobre filmy będą właśnie w ten sposób wykorzystywane, będą wracały, tak jak na przykład „Legiony", „Piłsudski", „Dywizjon 303" czy „Kamerdyner". Te filmy będą długofalowo funkcjonowały obok filmów dokumentalnych, które utrwalają głosy świadków. I to jest rzecz najcenniejsza – utrwalanie historii przez pokazywanie jej świadków. To wydaje mi się największym sukcesem tej pracy, którą wspiera Ministerstwo Kultury.

Jaka jest rola kina w szerszym, całościowym procesie tworzenia polityki historycznej. Czy jest tak, jak twierdził niechlubny klasyk, że kino jest najważniejszą ze sztuk?

Myślę, że to się zmienia. Nie wiem, czy da się powtórzyć słynne określenie Lenina o filmie jako najważniejszej ze sztuk, oczywiście traktowanych usługowo, propagandowo z punktu widzenia totalitarnego państwa. Tego rodzaju rola kina dziś nie jest adekwatna do rzeczywistości, zwłaszcza w świecie wolnego rynku, wolnego wyboru widzów i zupełnie inaczej funkcjonujących mediów. Sądzę, że dzisiaj wielkie, kręcone w hollywoodzkim stylu filmy mają mniejsze znaczenie niż udane seriale. Przykładem jest „Stulecie Winnych". Ten serial niewątpliwie trafił do wyobraźni masowej. Nawet najdłuższy film fabularny jest za krótki na to, by opowiedzieć zbiorowy los Polaków w XX w. Sadzę zatem, że seriale, a najbardziej filmy dokumentalne trafiają swoją prawdą do odbiorców.

Wracając do przykładu naszych sąsiadów – Niemców, Czechów, a dalej Holendrów czy Norwegów. Wydaje się, że polskie elity chętnie czerpią z zagranicznych wzorców, ale wyłącznie wtedy, gdy jest to korzystne z ich punktu widzenia.

Warto tu przywołać jedno ważne sformułowanie: kolonializm. Myślę, że w dużym stopniu Polska od XVIII w. funkcjonuje w systemie zależności kolonialnej. Od imperiów, które zdominowały najpierw nasz region, a potem życie całego kontynentu, Polska stała się przedmiotem pewnych narracji, które zdominowały wyobraźnię i które przedstawiają Polskę właśnie w taki sposób, w jaki jest to wygodne nadawcom z Petersburga w XVIII w., z Moskwy w wiekach XX czy XXI, w taki sposób, jak było to wygodne w czasach kanclerza Bismarcka II Rzeszy, i w taki, jak jest wygodne w Unii Europejskiej, dominującej niewątpliwie w niej potędze Niemiec współczesnych. Jest Polska także przedmiotem narracji, która w centrum całej historii XX w. stawia Holokaust, niewątpliwie najbardziej tragiczne wydarzenie połowy XX w., ale coraz silniej, w zupełnym oderwaniu od prawdy historycznej, Polska przedstawiana jest jako główna współsprawczyni albo wręcz sprawczyni tej tragedii. Otóż tego rodzaju właśnie skolonizowanie wyobraźni globalnej, wyobraźni europejskiej ma swój odpowiednik w Polsce. Duża część elit kulturalnych Polski żyje pod naciskiem, że na Polskę trzeba spoglądać obcymi oczami, właśnie oczami salonu Woltera w XVIII w., którego finansowała Katarzyna II, żeby opluwał Rzeczpospolitą, oczami postępowej Moskwy w wieku XX czy oczami twórców serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" w wieku XXI. Mam na myśli niemiecki serial, który przedstawiał Armię Krajową jako siłę zasadniczo zajmującą się mordowaniem Żydów w czasie II wojny światowej.

Otóż tego rodzaju skolonizowanie mentalności dużej części elit kulturalnych w Polsce sprawia, że tak trudno jest nam zobaczyć to, o czym mówiłem na wstępie – że kraje, które w ogóle nie kojarzą się z aktywną polityką historyczną, jak Holandia, Norwegia czy Dania, produkują mnóstwo, powiedziałbym, swoistej dumy z udziału w II wojnie światowej tych krajów. Przykładem takiego nastawienia, realizowanego z niezwykłą skutecznością, jest działalność Czech, które potrafiły wypromować jedną, jedyną dokonaną w tym kraju w czasie II wojny światowej pacyfikację w Lidicach jako część światowej pamięci, podczas gdy w Polsce było tysiące takich Lidic. I ten fakt, że Polska była krajem okupowanym przez Niemcy, gdzie mordowano setkami tysięcy miejscową ludność, nie tylko Żydów, lecz także Polaków, w ogóle nie funkcjonuje w wyobraźni świata, ale także, niestety, w wyobraźni w dużej części współczesnych elit polskich, które przyjęły tę fałszywą, tendencyjną narrację zewnętrzną o naszej historii i kulturze. ●

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 50/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

225 FILMÓW HISTORYCZNYCH DOFINANSOWANYCH PRZEZ MKIDN

Pełna lista filmów na www.gov.pl/kultura/filmy

FILMY FABULARNE, DOKUMENTALNE, SERIALE I ANIMACJE

137 FILMÓW W REALIZACJI I W PRZYGOTOWANIU

88 FILMÓW ZREALIZOWANYCH

WYBRANE TYTUŁY:

Młody Piłsudski, *reż. Jarosław Marszewski* / **Dywizjon 303. Historia prawdziwa,** *reż. Denis Delić* / **Kartka z Powstania,** *reż. Tomasz Dobosz* / **Legiony,** *reż. Dariusz Gajewski* / **Piłsudski,** *reż. Michał Rosa* / **Kurier,** *reż. Władysław Pasikowski* / **Zieja,** *reż. Robert Gliński* / **Ludzie i bogowie,** *reż. Bodo Kox* / **Wiktoria 1920,** *reż. Tomasz Dobosz* / **Mistrz,** *reż. Maciej Barczewski* / **Żeby nie było śladów,** *reż. Jan P. Matuszynski* / **Śmierć Zygielbojma,** *reż. Ryszard Brylski* / **Ciotka Hitlera,** *reż. Michał Rogalski* / **Kartka z Powstania,** *reż. Tomasz Dobosz* / **Orlęta,** *reż. Krzysztof Łukaszewicz* / **Klecha,** *reż. Jacek Gwizdała* / **Wyszyński – zemsta czy przebaczenie,** *reż. Tadeusz Syka* / **Skarbek,** *reż. Tomasz Jurkiewicz* / **Cudak,** *reż. Anna Kazejak* / **Historia w ożywionych obrazach,** *reż. Marek Brodzki* / **Niepodległość,** *reż. Krzysztof Talczewski* / **Tak blisko… tak daleko…,** *reż. Maciej Dutkiewicz* / **MS Piłsudski – ukryta historia,** *reż. Anna Osiadacz, Zygmunt Fit, Konstanty Kulik* / **MS Piłsudski – podwodna misja,** *reż. Daniel Zduńczyk, Anna Osiadacz* / **Wojna światów,** *reż. Mirosław Bork, Krzysztof Talczewski* / **Położna,** *reż. Maria Stachurska*

eprasa.pl 0bebdbdc49

Kluczowa rola państwa we wspieraniu produkcji historycznych

Rola państwa we wspieraniu produkcji historycznych jest kluczowa i nie jest to socjalizm, wbrew tego typu oskarżeniom. Podobnie jest we Francji, która zabezpiecza swój rynek i propaguje swoją kulturę i dorobek. My, jako państwo mniejsze, w dwójnasób powinniśmy dbać o wszelkie produkcje audiowizualne, które utwierdzają nasz charakter narodowy – mówi ***Robert Kaczmarek****, reżyser filmów dokumentalnych, scenarzysta i producent filmowy, dyrektor Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego*

Czy we współczesnej kulturze jest miejsce na kino historyczne?

Robert Kaczmarek: W wyniku rewolucji technologicznej sytuacja całej kinematografii, nie tylko filmu historycznego, zmienia się. Ludzie, zwłaszcza młodzi, masowo odchodzą od oglądania telewizji, o czym świadczą statystyki. Pojawia się więc pytanie, gdzie oglądać produkcje „wyższych lotów"? Jeżeli ludzie nie wrócą masowo do kin, na co po ich otwarciu wskazują ostatnie statystyki, to sytuacja nie wygląda zachęcająco.

Mam nadzieję, że kino ocaleje, ale już dziś widzimy, że rynek filmowy nie wróci do stanu sprzed pandemii. A że gospodarka nie lubi próżni, platformy VOD wypełniają wolne miejsce na rynku. Tu powstaje podstawowe wyzwanie. Kto i gdzie zobaczy powstające produkcje, w tym ważne filmy historyczne? Jak do nich wrócić po premierze? FINA, którą kieruję od przeszło pół roku, może publikować kulturę i narodowy dorobek audiowizualny w internecie w sposób niekomercyjny. W tej zmieniającej się rzeczywistości to zadanie jest tym bardziej ważne. Ale żeby je kontynuować, należy zbudować odpowiednie zaplecze. Dlatego chcemy inwestować i rozbudowywać portal Ninateka.

Materiały archiwalne, którymi dysponuje FINA, są fenomenalne, ale znane jedynie bardzo wąskiemu gronu pasjonatów. Jeśli materiał jest dostępny „pod palcem", to zachęca do korzystania z niego i może dalej inspirować. Chodzi też o to, żeby była to także oferta dla młodzieży licealnej i akademickiej i zarazem odpowiedź na propozycję internetu.

Robert Kaczmarek, dyrektor Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego

W jednym z pana filmów, „Paszporty Paragwaju" uwagę zwracają niestandardowe warunki pracy dyplomatów polskich, którzy oprócz swojej ciężkiej pracy, wzmożonej przez warunki wojenne, znaleźli czas na działania konspiracyjne i przekazywali dokumenty, które ratowały Żydom życie. Obecnie nie doświadczamy wojny w znaczeniu militarnym, a instytucje mogą działać w standardowym trybie. Jednak trwa inna wojna – informacyjna. Jak pan definiuje ten spór w obrębie polityki historycznej?

Pierwszą ofiarą wojny jest prawda. Chodzi o to, żeby nie mylić polityki kulturalnej z propagandą. My rozmawiamy o tym, co przybliża historię Polski i świata. Jeśli w całym okresie powojennym prawda była reglamentowana, to zaniedbanie daje teraz o sobie znać, bo zdarzają się takie sytuacje, że np. prezydent Putin może wystąpić w Jerozolimie i oskarżyć Polskę o rozpoczęcie drugiej wojny światowej. Ja się zająłem odkrywaniem tych historycznych plam. Otóż to, co jest najciekawsze, jest w większości nieznane, tak jak „Betar" czy „New Poland".

Niektórzy mówią, że historię Polski trzeba jeszcze raz opowiedzieć po 2018 r. W FINA zajęliśmy się szczególnie okresem międzywojnia, także ze względu na nasze plany związane z rekonstrukcją filmów przedwojennych. Rozpoczęliśmy cykl debat „po co nam II RP". Chcemy rozmawiać zarówno o kontrowersjach związanych z tym okresem, jak i ogromnym potencjale, który tkwi w kulturze międzywojnia.

Jaka jest rola mecenatu państwa w produkcji filmów historycznych?

Rola państwa we wspieraniu produkcji historycznych jest kluczowa i nie jest to socjalizm, wbrew tego typu oskarżeniom. Podobnie jest we Francji, która zabezpiecza swój rynek i propaguje swoją kulturę i dorobek. My, jako państwo mniejsze, w dwójnasób powinniśmy dbać o wszelkie produkcje audiowizualne, które utwierdzają nasz charakter narodowy.

Dlaczego nie powstają filmy na temat wielkich postaci polskiej kultury, takich jak Norwid, Słowacki, Chopin, Wyspiański, Żeromski? Należy propagować pisanie biografii polskich twórców, gdyż same w sobie są wielowymiarowe.

Nadal liczba filmów historycznych jest o wiele mniejsza w stosunku do innych produkcji. Propozycji o tematyce historycznej i tożsamościowej nie ma zbyt wielu. Te tematy nie budzą w młodych twórcach zainteresowania i nie ma przymusu, żeby je tworzyli. Natomiast rolą państwa jest wspieranie produkcji wzmacniających tożsamość narodową. Bo kluczowym pytaniem jest to, czy Polska jest nam potrzebna? ●

Fot. Danuta Matloch/MKiDN

eprasa.pl 0bebdbdc49

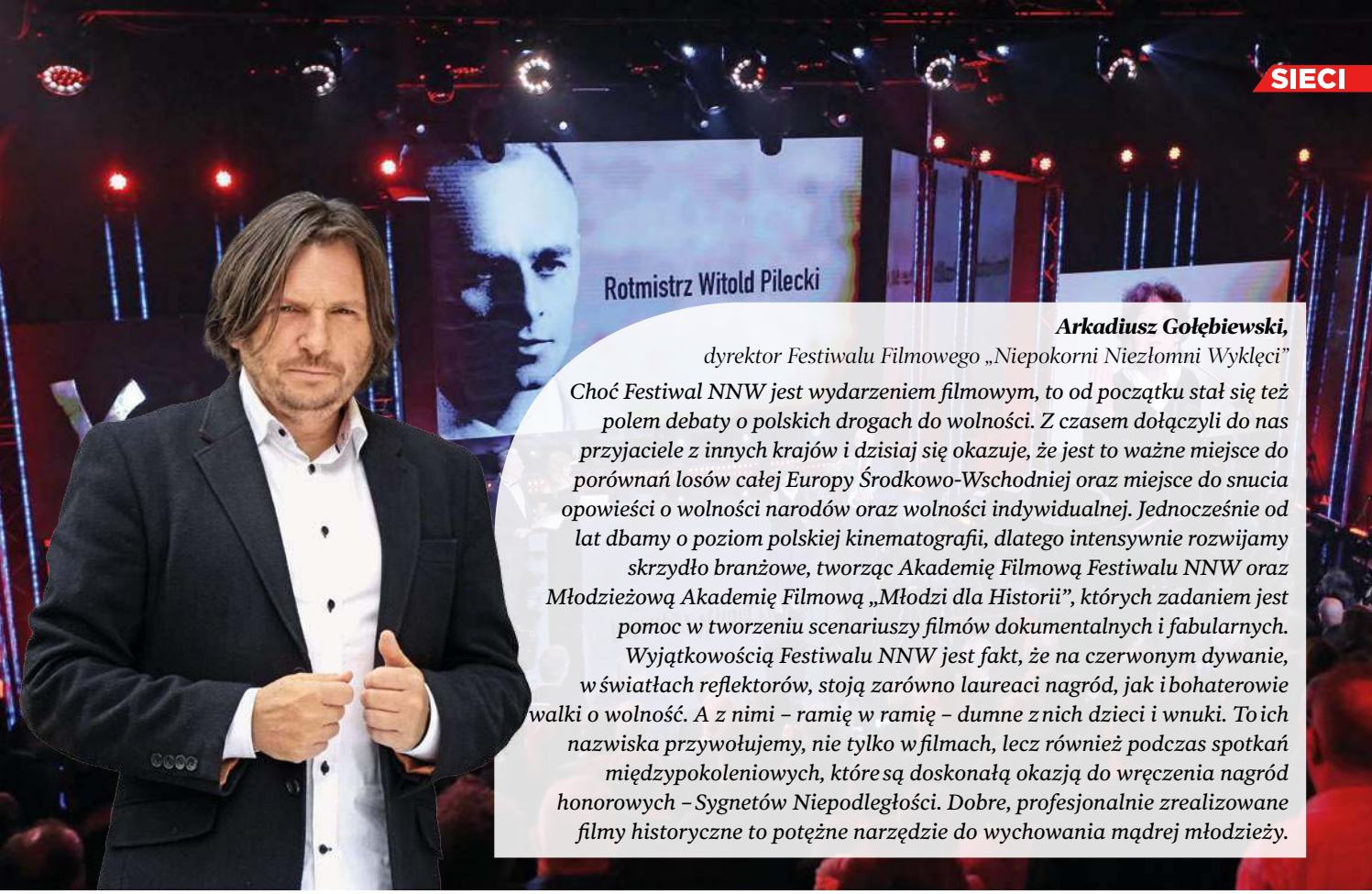

Arkadiusz Gołębiewski,
dyrektor Festiwalu Filmowego „Niepokorni Niezłomni Wyklęci”

Choć Festiwal NNW jest wydarzeniem filmowym, to od początku stał się też polem debaty o polskich drogach do wolności. Z czasem dołączyli do nas przyjaciele z innych krajów i dzisiaj się okazuje, że jest to ważne miejsce do porównań losów całej Europy Środkowo-Wschodniej oraz miejsce do snucia opowieści o wolności narodów oraz wolności indywidualnej. Jednocześnie od lat dbamy o poziom polskiej kinematografii, dlatego intensywnie rozwijamy skrzydło branżowe, tworząc Akademię Filmową Festiwalu NNW oraz Młodzieżową Akademię Filmową „Młodzi dla Historii”, których zadaniem jest pomoc w tworzeniu scenariuszy filmów dokumentalnych i fabularnych. Wyjątkowością Festiwalu NNW jest fakt, że na czerwonym dywanie, w światłach reflektorów, stoją zarówno laureaci nagród, jak i bohaterowie walki o wolność. A z nimi – ramię w ramię – dumne z nich dzieci i wnuki. To ich nazwiska przywołujemy, nie tylko w filmach, lecz również podczas spotkań międzypokoleniowych, które są doskonałą okazją do wręczenia nagród honorowych – Sygnetów Niepodległości. Dobre, profesjonalnie zrealizowane filmy historyczne to potężne narzędzie do wychowania mądrej młodzieży.

Budowa Europejskiego Centrum Filmowego Camerimage w Toruniu

Światowe premiery i przeglądy filmowe, specjalne pokazy z wykorzystaniem najnowocześniejszych technik projekcyjnych – w ścisłym centrum Torunia powstanie siedziba Europejskiego Centrum Filmowego Camerimage

- Powstanie i budowa ECF Camerimage to wspólne przedsięwzięcie rządu RP, miasta Toruń oraz Fundacji Tumult. Rząd przekaże na tę inwestycję 400 mln zł.
- Instytucja wypełni lukę w polskiej infrastrukturze kultury oraz przyczyni się do rozwoju regionu.
- ECF Camerimage będzie siedzibą Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych Energa Camerimage. To największy i najbardziej znany festiwal poświęcony sztuce autorów zdjęć filmowych. ●

Budowa Centrum Filmowego Camerimage

Fot. Archiwum Festiwalu NNW

eprasa.pl 0bebdbdc49

W Bielsku-Białej powstaje Interaktywne Centrum Bajki i Animacji

Powstające przy Studiu Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej Centrum Bajki i Animacji ma być połączeniem interaktywnego i nowoczesnego muzeum z parkiem rozrywki.

Tworzone będzie w oparciu o dorobek Studia Filmów Rysunkowych, w którym zrealizowano ponad tysiąc filmów: najbardziej znane to animowane seriale z Bolkiem i Lolkiem oraz psem Reksiem, a także – zdobywające nagrody na międzynarodowych festiwalach – filmy dla odbiorcy dorosłego.

Każde dziecko i każdy rodzic znajdzie tu coś dla siebie: interaktywne stanowiska z postaciami z popularnych kreskówek bielskiego studia, praktyczną ścieżkę powstania i produkcji filmu animowanego oraz nowoczesne kino. Na użytek badaczy historii polskiej animacji oddane zostanie archiwum Studia.

Decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego projekt budowy Interaktywnego Centrum Bajki i Animacji otrzymał 15,1 mln zł dofinansowania z funduszy norweskich. ●

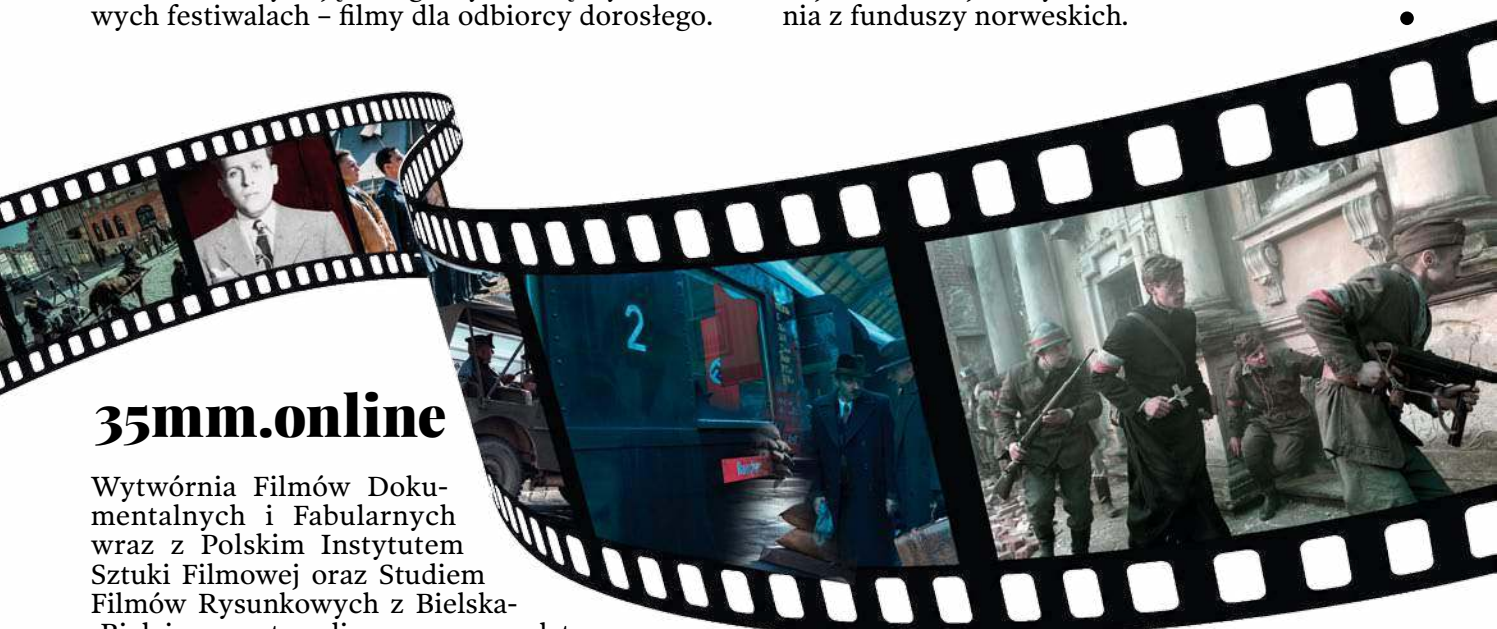

35mm.online

Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych wraz z Polskim Instytutem Sztuki Filmowej oraz Studiem Filmów Rysunkowych z Bielska-Białej przygotowali nowoczesną platformę streamingową polskiej kinematografii. Platforma 35mm.online zawiera cyfrowo zrekonstruowane, w jakości full HD, polskie filmy fabularne, dokumentalne i animowane. Każdy materiał filmowy można obejrzeć w wersji z audiodeskrypcją oraz transkrypcją, a także w angielskiej wersji językowej.

Platforma będzie dostępna również w postaci aplikacji dla urządzeń mobilnych w systemach Android i iOS oraz aplikacji na smart TV (Android, Tizen). Projekt został zrealizowany dzięki finansowemu wsparciu MKiDN i w ramach funduszy unijnych. ●

Reklama | 38/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

PONAD 23 MILIARDY ZŁOTYCH NA INWESTYCJE

POLSKI ŁAD

RZĄDOWY FUNDUSZ POLSKI ŁAD
PROGRAM INWESTYCJI STRATEGICZNYCH

Ponad 23 miliardy z rządowego funduszu – może z nich skorzystać każda gmina w Polsce.

To pieniądze przeznaczone przez rząd na: drogi, wodociągi, ekologię, edukację dzieci i obiekty sportowe.

Bo Twoja okolica zasługuje na wielkie inwestycje.

Rządowy Fundusz Polski Ład
Program Inwestycji Strategicznych.

Po prostu inwestujemy w Polskę.

Program realizowany jest poprzez promesy inwestycyjne Banku Gospodarstwa Krajowego.

www.bgk.pl

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

eprasa.pl 0bebdbdc49

Najważniejsi są rolnicy

Od 2023 r. zamierzamy obsługiwać wszystkie wnioski o wsparcie za pomocą e-narzędzi. Będzie to wymagało od ARiMR wdrożenia odpowiednich programów informatycznych i chcę, aby to nasi eksperci je przygotowali, ponieważ to oni mają największą wiedzę w tym zakresie

Z Haliną Szymańską, prezesem Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, rozmawia Edyta Hołdyńska

Pani prezes, do końca listopada polscy rolnicy mają otrzymać 70-proc. zaliczki na poczet tegorocznych płatności bezpośrednich oraz płatności obszarowych z PROW na poziomie 85 proc. Jak na dzisiaj wygląda realizacja tego zadania przez ARiMR?

Halina Szymańska: Z wypłatą zaliczek na tegoroczne dopłaty bezpośrednie przekroczyliśmy półmetek. Od 18 października, kiedy to ruszyło ich przekazywanie, otrzymało je ponad 800 tys. rolników w łącznej kwocie nieco ponad 6 mld zł. Natomiast w ramach tegorocznych zaliczkowych płatności obszarowych z PROW Agencja wypłaciła 1,75 mld zł. Przypomnę, że w 2021 r. wnioski o dopłaty bezpośrednie złożyło ok. 1,3 mln rolników, a koperta finansowa przeznaczona na ich realizację wynosi 15,63 mld zł. Natomiast budżet na płatności obszarowe z PROW za 2021 r. to nieco ponad 3 mld zł. Jak zatem widać, tempo wypłaty zaliczek i w tym przypadku jest dobre, a wypłacona kwota przekroczyła połowę limitu. Chcemy przekazać należne rolnikom pieniądze jak najszybciej.

Do końca roku zostały niecałe dwa miesiące. Czy w tym czasie rolnicy lub przedsiębiorcy z branży rolno-spożywczej mają jeszcze szansę sięgnąć po środki na inwestycje finansowane z budżetu Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014–2020?

Oczywiście, że tak. Zachęcam do zaglądania na stronę internetową ARiMR, na której można znaleźć informacje o bieżących i planowanych naborach wniosków o wsparcie z PROW 2014–2020. Wśród nich mamy na przykład propozycję dla przetwórców. Aktualnie dla „dużych", czyli firm przetwórczych,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bebdbdc49

a niebawem także dla „małych" – rolników i ich rodzin.

Zakłady przetwórcze wnioski o dofinansowanie mogą składać do 29 listopada 2021 r. Pomoc w ramach „Wsparcia inwestycji w przetwarzanie produktów rolnych, obrót nimi lub ich rozwój" adresowana jest w tym naborze do dwóch grup przedsiębiorców. Pierwszą stanowią ci, którzy zajmują się wytwarzaniem pasz na bazie surowców niemodyfikowanych genetycznie, czyli bez GMO, i działają jako mikro-, małe, średnie oraz duże przedsiębiorstwa. Druga grupa to przedsiębiorcy prowadzący działalność w zakresie przetwarzania i sprzedaży hurtowej ziół. Ta druga grupa nie mogła wcześniej korzystać z pomocy w ramach tego działania. Tu wsparcie może zostać przyznane mikro-, małym i średnim przedsiębiorstwom. Dofinansowanie w przypadku tych zajmujących się przetwarzaniem i wprowadzaniem do obrotu produktów rolnych wynosi 10 mln zł, a jeśli chodzi przedsiębiorstwa będące związkami grup producentów rolnych lub zrzeszeniami organizacji producentów – 15 mln zł. Z tym że wysokość dofinansowania nie może przekroczyć 50 proc. kosztów kwalifikowanych.

Na kiedy mają szykować wnioski „mali" przetwórcy?

Nabór rozpocznie się 30 listopada i potrwa do 29 grudnia 2021 r. Wnioski będą mogli składać rolnicy, ich małżonkowie lub domownicy, którzy zdecydują się na zarejestrowanie działalności gospodarczej w zakresie przetwarzania produktów rolnych – mowa tu o tzw. małym przetwórstwie. Drugą grupę stanowią rolnicy lub ich małżonkowie, którzy nie chcą rejestrować działalności gospodarczej i decydują się przetwarzać i sprzedawać produkty przetworzone w ramach rolniczego handlu detalicznego (RHD). Co ważne, obie grupy muszą podlegać obowiązkowemu ubezpieczeniu rolników w pełnym zakresie. Zainteresowani wsparciem mogą się starać o refundację do 50 proc. kosztów kwalifikowanych poniesionych na realizację inwestycji służących przetwórstwu. Jednak dla każdej z grup określony został inny limit pomocy. Rolnicy prowadzący działalność w ramach RHD będą mogli otrzymać do 200 tys. zł – dotąd było to dwukrotnie mniej. A ci, którzy prowadzą bądź będą chcieli założyć działalność gospodarczą, będą mogli się starać o 500 tys. zł – jak dotychczas. Nowością w tym naborze jest możliwość ubiegania się o dofinansowanie zakupu środków transportu niezbędnych do prowadzenia działalności, np. chłodni, cysterny czy samochodu służącego do przewozu zwierząt.

Jakie jeszcze propozycje z PROW 2014–2020 ma aktualnie w swojej ofercie ARiMR?

Do 26 listopada można się ubiegać o dofinansowanie „Inwestycji zapobiegających zniszczeniu potencjału produkcji rolnej". Wsparcie adresowane jest do dwóch grup odbiorców. Pierwszą z nich są rolnicy, którzy zajmują się chowem lub hodowlą nie mniej niż 50 świń bądź zrealizowali zobowiązanie rolno-środowiskowo-klimatyczne w ramach wariantu 7.4. „Zachowanie lokalnych ras świń" i chcą chronić gospodarstwo przed rozprzestrzenianiem się wirusa afrykańskiego pomoru świń (ASF). Do drugiej należą spółki wodne lub ich związki, w których większość stanowią rolnicy posiadający grunty rolne lub w których więcej niż połowa zmeliorowanych gruntów rolnych objętych działalnością spółki jest w posiadaniu rolników. Pomoc dla obu grup wypłacana jest w formie refundacji do 80 proc. kosztów kwalifikowanych poniesionych na inwestycje. Przy czym w przypadku rolników, którzy chcą chronić swoje gospodarstw przed ASF, limit w całym okresie programowania wynosi 100 tys. zł. Jeśli zaś chodzi o spółki wodne lub ich związki, kwota ta rośnie do 1 mln zł, które to środki można przeznaczyć na zakup sprzętu służącego do utrzymania urządzeń melioracyjnych chroniących gospodarstwo przed podtopieniem czy powodzią.

Rolnicy, którzy ponieśli w swoich gospodarstwach straty spowodowane klęskami żywiołowymi bądź wystąpieniem afrykańskiego pomoru świń (ASF), mają także szansę ubiegać się o pomoc na „Inwestycje odtwarzające potencjał produkcji rolnej". Mają na to czas do 31 grudnia. O rekompensaty można się starać, jeżeli szkody powstały w roku, w którym jest składany wniosek o przyznanie pomocy lub w co najmniej jednym z dwóch lat poprzednich. Limit pomocy wynosi 300 tys. zł, z tym że nie może ona przekroczyć poziomu 80 proc. kosztów kwalifikowanych.

Z kolei grupy producentów rolnych, które zostały uznane od 1 grudnia 2020 r., jak również organizacje producentów rolnych uznane na podstawie przepisów z 2004 r. mogą się ubiegać o wsparcie wynoszące do 100 tys. euro rocznie. Wnioski można składać do 30 listopada. Oba rodzaje podmiotów muszą działać jako mikro-, małe lub średnie przedsiębiorstwa. Pomoc dla nich jest realizowana w formie rocznych płatności przez okres pierwszych pięciu lat liczonych od daty przyznania grupie lub organizacji producentów statusu uznania. Wysokość wsparcia wynosi: w pierwszym roku – 10 proc. przychodów netto, w drugim – 9 proc., w trzecim – 8 proc. w czwartym – 7 proc., w piątym – 6 proc. Zastrzec tu jednak trzeba, że z tego rodzaju pomocy nie mogą skorzystać producenci owoców i warzyw, drobiu, wyrobów z mięsa drobiowego i jego podrobów.

O dofinansowanie z PROW 2014–2020 będą mogli się ubiegać również rolnicy, którzy posiadają las. Wnioski o „Wsparcie na inwestycje zwiększające odporność ekosystemów leśnych i ich wartość dla środowiska" będą przyjmowane od 22 listopada do 31 grudnia. Mówiąc najogólniej, pomocą objęte są lasy prywatne w wieku 11–60 lat, o powierzchni od 0,1 ha do 40 ha. Wsparcie jest zróżnicowane i uzależnione m.in. od rodzaju inwestycji oraz warunków terenowych. Maksymalna wysokość dofinansowania wynosi ponad 14 tys. zł/ha i można ją otrzymać, gdy inwestycja polega na przebudowie składu gatunkowego drzewostanu przez dolesianie luk na powierzchni o nachyleniu powyżej 12 st.

Zachęcam rolników i agroprzedsiębiorców do skorzystania z dostępnej pomocy.

eprasa.pl 0bebdbdc49

ARiMR w ostatnich latach mocno inwestuje w projekty informatyczne. Skąd bierze się ta determinacja Agencji w realizowaniu teleinformatycznych przedsięwzięć?

Załatwianie spraw urzędowych, kontakt z instytucjami państwowymi coraz powszechniej odbywają się online, za pośrednictwem narzędzi internetowych. Proces cyfryzacji nie mógł także ominąć Agencji. To wymóg czasu i pragmatyki działania. Głównym celem wprowadzania nowych rozwiązań technologicznych jest sprawniejsza obsługa rolników i innych naszych beneficjentów.

Najnowszym narzędziem informatycznym uruchomionym przez ARiMR jest aplikacja eWoP, czyli elektroniczny wniosek o płatność. To narzędzie jest przeznaczone do działań o charakterze inwestycyjnym finansowanych z budżetu PROW na lata 2014–2020. Dotychczas rolnik, który zrealizował inwestycje z tego programu, musiał wypełnić papierowy wniosek o wypłatę środków i poświęcić czas na wizytę w placówce ARiMR, by go złożyć, czy na poczcie, chcąc go wysłać. Wniosek musiał zostać wprowadzony do systemu informatycznego przez pracownika Agencji. Następnie był poddawany ocenie. Jeżeli eksperci ARiMR mieli do niego uwagi, wysyłane było do rolnika pismo z prośbą o złożenie wyjaśnień, które po ich dostarczeniu do Agencji – bezpośrednio lub za pośrednictwem poczty – były poddawane ocenie. Jeżeli wszystko się zgadzało, dokonywana była wypłata należnych rolnikowi pieniędzy. Od 31 sierpnia br. można uniknąć tej czasochłonnej procedury i wypełnić na komputerze wniosek o płatność, używając do tego internetowej aplikacji eWoP, a następnie przesłać go do Agencji. Korzystanie z tego elektronicznego rozwiązania ma wiele zalet, m.in. usprawnia proces weryfikacji dokumentów, zapewnia efektywną i szybką komunikację między beneficjentem a Agencją, co w rezultacie przyspiesza wypłatę środków finansowych.

Warto też przypomnieć, że już od 2018 r. rolnicy składają wnioski o dopłaty bezpośrednie i płatności obszarowe z PROW, korzystając z aplikacji eWniosekPlus. Muszę przyznać, że był to wówczas technologiczny przełom. Rolnicy dobrze oceniają to rozwiązanie. W badaniu „Polska wieś i rolnictwo 2020", przeprowadzonym m.in. na zlecenie Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi, 74,1 proc. rolników wyraziło zadowolenie z możliwości złożenia wniosku o dopłaty bezpośrednie przez internet, większość z nich chwali także łatwość obsługi aplikacji.

> Zachęcam rolników i agroprzedsiębiorców do korzystania ze środków dostępnych w ramach PROW na lata 2014–2020. To pieniądze, po które warto sięgnąć

Przydatnym narzędziem okazał się także portal IRZplus. Dzięki tej platformie rolnicy mogą dokonywać przez internet zgłoszeń o zdarzeniach dotyczących posiadanych zwierząt gospodarskich. Kolejnym naszym informatycznym projektem jest aplikacja mobilna na smartfony, dzięki której rolnik może przesłać do ARiMR wymagane przez nią fotografie dokumentów lub zdjęcia swoich gruntów i upraw potrzebne np. do weryfikacji wniosku o dopłaty. Wprowadzamy także wewnętrzne rozwiązania informatyczne, które mają za zadanie usprawnić obsługę rolników.

Jakie są cyfrowe plany Agencji?

Cyfryzacja procesu obsługi obywateli jest jednym z kluczowych założeń programu Polski Ład. Zgodnie z nimi do 2024 r. wszystkie sprawy w urzędzie mamy załatwiać przez internet. Wpisując się w ten projekt, ARiMR planuje jeszcze do końca tego roku wprowadzenie cyfrowej komunikacji między beneficjentami a pracownikami Agencji. Natomiast od 2023 r. zamierzamy obsługiwać wszystkie wnioski o wsparcie za pomocą e-narzędzi. Będzie to wymagało od ARiMR wdrożenia odpowiednich programów informatycznych i chcę, aby to nasi eksperci je przygotowali, ponieważ to oni mają największą wiedzę w tym zakresie. Mój pomysł jest taki, żeby powołać spółkę informatyczną, której trzon stanowić będą specjaliści z ARiMR. Zajmie się ona przygotowaniem odpowiednich narzędzi, pozwalających na obsługę drogą elektroniczną całego procesu przyznawania i wypłacania pomocy. Planuję, że w przyszłości będzie także opracowywała rozwiązania informatyczne dla innych instytucji związanych z rolnictwem.

Pani prezes, w ostatnim czasie ARiMR mocno się otwiera na współpracę z innymi instytucjami. Wymienić można chociażby podpisanie porozumienia o współpracy z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Skąd to zainteresowanie?

Moją ideą jest, aby rolnik, mieszkaniec wsi czy samorządowiec z terenów wiejskich mógł w jednym miejscu znaleźć informacje o wsparciu, z którego mógłby skorzystać. Stąd pomysł na podpisanie porozumienia z NFOŚiGW i publikowanie na naszym portalu informacji o pomocy udzielanej przez tę instytucję. Chcę w ten sposób doprowadzić do sytuacji, w której rolnik zainteresowany np. skorzystaniem z programu Czyste Powietrze, będzie mógł znaleźć informacje o nim także na naszej stronie, bez konieczności przeszukiwania portali kilku instytucji. W przyszłości nie wykluczam nawiązania podobnej współpracy z innymi podmiotami działającymi na rzecz rolnictwa. Przed nami także inne wyzwania, które pojawiły się po analizie danych z ostatniego spisu powszechnego, ale to już temat na zupełnie inną rozmowę.

eprasa.pl 0bebdbdc49

Rozpoczęło się wydobycie ze złoża Yme w Norwegii

Produkcję ze złoża zlokalizowanego na Norweskim Szelfie Kontynentalnym uruchomiono pod koniec października br. To jeden z kluczowych projektów inwestycyjnych gdańskiego koncernu. Jego realizacja przyczyni się do znacznego wzrostu wydobycia Grupy LOTOS w Norwegii. Średnie wydobycie w perspektywie pięciu lat wyniesie ok. 5 tys. bbl/dzień

Start wydobycia ze złoża Yme zgodnie z przyjętym harmonogramem to kolejne, po tegorocznej aplikacji w rundzie koncesyjnej APA 2021 oraz ujednoliceniu udziałów w ramach projektu NOAKA, działanie potwierdzające konsekwentny rozwój działalności wydobywczej LOTOSU na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. Łączny potencjał zasobowy tego złoża to ok. 63 mln bbl ropy naftowej. Dla 20 proc. udziału LOTOSU oznacza to potencjał ponad 12,5 mln bbl.

Złoże Yme odkryto w 1987 r. Znajduje się na Morzu Północnym, ok. 130 km od wybrzeża Norwegii. Operatorem złoża jest Repsol Norge, a 20 proc. udziału operacyjnego w projekcie ma spółka LOTOS Norge. Projekt zagospodarowania złoża Yme to inwestycja typu brownfield, obejmująca zarówno ponowne wykorzystanie istniejącej infrastruktury, jak i zaprojektowanie oraz budowę nowych obiektów. Realizacja inwestycji była możliwa dzięki zastosowaniu nowych technologii i innowacji, które umożliwiły uruchomienie projektu nawet w obliczu wyzwań, jakie przyniosła pandemia COVID-19.

– Wierzę, że ta inwestycja będzie korzystna nie tylko dla naszego koncernu, ale także dla całej polskiej gospodarki. Ponadto efektywne zagospodarowanie zasobów w różnej lokalizacji to kolejny element dywersyfikacji i zwiększania bezpieczeństwa energetycznego Polski – mówi Jarosław Wróbel, wiceprezes zarządu Grupy LOTOS ds. inwestycji i innowacji.

Realizacja projektu Yme odbywa się na podstawie nowego planu zagospodarowania złoża, który został zatwierdzony w marcu 2018 r. Pod koniec 2020 r. osiągnięto kamień milowy dla terminowej realizacji prac. Platforma Maersk Inspirer, która będzie służyła wydobyciu ze złoża, została przeholowana ze stoczni Egrsund, gdzie prowadzone były prace związane z jej przebudową, i została pomyślnie posadowiona na złożu. Na przestrzeni 2021 r. realizowana była faza rozruchów offshore, z podłączaniem i uruchamianiem systemów produkcyjnych. Kolejny istotny kamień milowy osiągnięty został w sierpniu 2021 r., kiedy operator otrzymał zgodę regulatora

na uruchomienie produkcji ze złoża Yme, z wykorzystaniem platformy Maersk Inspirer.

Równolegle, w maju 2021 r., operator zawarł wiele umów warunkowych z Maersk Drilling, Havila Sirius i innymi podmiotami. Ich wykonanie doprowadzi do przejęcia przez Repsol obowiązków stałego operowania platformą Maersk Inspirer oraz do zmiany jej właściciela.

Dotychczas spółka LOTOS Norge w ramach konsorcjum wydobywała gaz ziemny i kondensat ze złóż zlokalizowanych w obszarach Heimdal i Sleipner na średnim poziomie ok. 13 tys. boe/dzień dla udziału LOTOSU. Równolegle prowadzone są działania związane z rozwojem nowych złóż w Norwegii.

LOTOS Norge prowadzi działalność w dziedzinie poszukiwań i wydobycia węglowodorów na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. Należy do Grupy Kapitałowej LOTOS Upstream (wchodzącej w skład Grupy Kapitałowej LOTOS), w której odpowiada za realizację strategii segmentu wydobywczego LOTOSU na Morzu Północnym.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 68/0821/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

Fot. Shutterstock

3W – nowa koncepcja dla zielonego świata

Rozważne gospodarowanie i zarządzanie wodą, udział w wyścigu po zielony wodór, wreszcie myślenie o węglu w sposób innowacyjny – to wszystko ma sprawić, że nasza gospodarka stanie się bardziej konkurencyjna, a i geopolityczna pozycja Polski wzrośnie. Tylko jak to osiągnąć? Dyskusję na ten temat jakiś czas temu zainicjował Bank Gospodarstwa Krajowego. Podczas poznańskiego kongresu Impact 2021 eksperci zabrali głos na temat rozwoju zielonej energii i technologii opartych na wodzie, wodorze i węglu

Czym jest 3W? To oznaczenie wody, wodoru i węgla – właśnie technologie oparte na tych źródłach mają dać nam szansę na modernizację energetyki i gospodarki.

Rozpatrując potencjał i wyzwania związane z wodą, należy pamiętać, że bez wody nie ma życia. Czasem nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wiele zużywamy jej każdego dnia. Zwłaszcza teraz, gdy musimy się mierzyć z gwałtownymi zmianami klimatycznymi, którym towarzyszą susze i powodzie, widać jak na dłoni, jak bardzo ważne jest odpowiednie gospodarowanie i zarządzanie wodą. Nowe technologie oczywiście nam w tym pomagają, ale nie zdziałamy wiele, jeśli nie zbudujemy wśród Polaków świadomości, że jest to jedno z kluczowych wyzwań, przed którym stajemy. W kwestii wodoru należy pamiętać, iż Polska jest piątym producentem wodoru na świecie, ale niestety na razie dominuje tu przede wszystkim wodór szary. Światowy wyścig o prym w produkcji zielonego wodoru już się rozpoczął, a Polska może się stać jednym z lokalnych liderów.

Z kolei węgiel nie oznacza jedynie czarnej skały, której spalanie zanieczyszcza nasze środowisko. Węgiel to pierwiastek życia, którego innowacyjne wykorzystanie, choćby w medycynie, farmacji czy budownictwie zmienia świat na lepsze.

OD WWW DO 3W

Dlatego właśnie Bank Gospodarstwa Krajowego zainicjował śmiałą inicjatywę 3W. Warto pamiętać, że misją BGK jest m.in. wspieranie zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego Polski. „Stworzyliśmy koncepcję 3W, aby rozpocząć dyskusję o tym, jak wykorzystać potencjał wodoru, wody i węgla w gospodarce, tak by na nich Polska i polskie firmy mogły budować przewagę konkurencyjną" – mówiła w sierpniu prezes BGK Beata Daszyńska-Muzyczka.

Teraz, podczas kongresu Impact 2021, w czasie debaty „3W. Zasoby życia. Od idei do realizacji", zaproszeni eksperci: Piotr

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 45/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

Dardziński z Sieci Badawczej Łukasiewicz, Zbigniew Kundzewicz z PAN, Paweł Smoleń ze Smart Nanotechnologies i prowadzący redaktor Jakub Wiech, debatowali, w jaki sposób można wdrożyć innowacyjne technologie i, co za tym idzie, rozwijać energetykę.

Jak powstała idea 3W? Jak wyjaśniła prezes BGK, pomysł narodził się podczas spotkania ze studentami jednej z uczelni. Gdy rozważano technologie, które zmieniły biznes, studenci wskazali na internet i strony WWW. Zapytali o przewidywania co do technologii, która będzie równie istotna w przyszłości. Prezes BGK wskazała na „nowe WWW – woda, wodór i węgiel – jako przeniesienie tych liter w nową przestrzeń. To najważniejsze aktywa i zasoby obecne na kuli ziemskiej" – stwierdziła.

„Chcemy zachęcić biznesmenów, menedżerów i ekspertów do tego, by wypracować nowe rozwiązania, także w kwestii wody. A co z pozostałymi dwoma „W"? Jak wskazała prezes BGK, wodór nie jest już tylko technologią przyszłości, lecz czymś skutecznie wykorzystywanym już dziś. Kluczowe jest znalezienie niedrogiej metody tworzenia zeroemisyjnego, zielonego wodoru. Największym wyzwaniem jest jednak węgiel, który obecnie ma bardzo złą prasę. Jak wskazała prezes Daszyńska-Muzyczka: „Węgiel to pierwiastek stanowiący podstawę naszego życia na Ziemi. Chcemy zbudować inne myślenie o technologiach węglowych."

DROGA WĘGLA DOPIERO SIĘ ROZPOCZYNA

A jak naukowiec patrzy na węgiel? „Węgiel nie jest stawiany w korzystnym świetle – jest to kwestia pewnego skojarzenia związanego z jego używaniem i niszczeniem środowiska, zmianami klimatycznymi – mówił Paweł Smoleń, ekspert z firmy Smart Nanotechnologies. – Tymczasem węgiel sam w sobie jest fantastycznym pierwiastkiem, który niesie z sobą wielkie możliwości. Sam węgiel to podstawa chemii organicznej, obecny w każdym organizmie żywym, żywności etc. Ten pierwiastek występuje przecież w wielu postaciach, choćby w postaci grafitu albo diamentu". Technologie oparte na węglu mogą nieść z sobą innowacje kojarzące się z literaturą science fiction. Ekspert wskazał chociażby na wykorzystanie nanorurek węglowych: „Można je wykorzystać np. w inteligentnej odzieży, monitorującej nasz organizm i przesyłającej informacje o stanie zdrowia na bieżąco lekarzowi" – wyjaśnił Smoleń, dodając, że jest to tylko jedna z wielu możliwości wykorzystania takiej technologii. „Droga węgla dopiero się rozpoczyna" – podsumował uczony.

Mniej kontrowersyjnie prezentuje się sytuacja innego komponentu 3W, czyli wodoru. Tutaj, jak wskazał Piotr Dardziński, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz, trudną kwestią jest nie tylko technologia, lecz również przekonanie do nowych rozwiązań społeczeństwa i biznesu. Polska zajmuje wysoką pozycję, jeśli chodzi o produkcję wodoru: jesteśmy na trzecim miejscu w UE i na piątym w świecie. Niestety jest to w większości tzw. wodór szary. Inicjatywa 3W stawia z kolei na wodór zielony. Według Dardzińskiego kluczowe będzie wypracowanie synergii między biznesem, światem nauki i administracją. Działania takich instytucji jak BGK mogą to ułatwić, doprowadzając do tego, że Polska może się stać jednym z liderów wodorowego wyścigu.

> WWW to przeniesienie symbolu strony internetowej, kluczowej technologii XXI w., w nową przestrzeń. 3W, czyli woda, wodór i węgiel, to dziś najważniejsze aktywa i zasoby obecne na kuli ziemskiej

ŚLAD WODNY

Ostatnim omawianym podczas panelu elementem była woda. Coś pozornie oczywistego jest współcześnie dla wielu państw obszarem znacznych trudności. Polska także ma, jak wskazał prof. Zbigniew Kundzewicz z Polskiej Akademii Nauk, „problem z wodą". Naukowiec wskazał na trzy obszary, w jakich objawia się problem z tym zasobem: „Niedosyt wody, nadmiar niszczącej wody, wreszcie zanieczyszczenia wody. Jako ludzkość mierzymy się z tymi trzema typami zagrożeń." Niedosyt wody jest najpoważniejszy globalnie – ale i w Polsce susza prowadzi do potężnych strat. „Na szczęście susza jednak u nas nie zabija, tymczasem w wielu miejscach świata susza oznacza zagładę". Kundzewicz dodał, że na świecie można już znaleźć ślad konfliktów, potocznie zwanych „wojnami o wodę", choćby w przypadku relacji Egiptu z Sudanem. Jak więc dbać o ten bezcenny zasób? Jako przykład państwa mającego słabe zasoby wodne, a umiejącego o nie zadbać, ekspert podał Izrael, mający wysoki poziom „kultury dbania o wodę". Z kolei Japonia może być wzorem tego, jak dbać o to, by jak najmniej wody marnowało się w przemyśle. Władze centralne zachęciły prywatne podmioty do wdrażania technologii recyrkulacji, dzięki czemu znacząco udało się w tamtejszym przemyśle zmniejszyć tzw. ślad wodny – czyli ilość wody potrzebną do produkcji danego produktu. Jak wskazał Kundzewicz, ograniczanie śladu wodnego może już wkrótce być równie istotne jak obecnie ograniczanie śladu węglowego.

A jak bank BGK może wspierać kwestie dotyczące wody? Prezes Daszyńska-Muzyczka nie miała wątpliwości, że i tu jest pole manewru: „Inwestycje w retencję, meliorację – to wszystko jest elementem odpowiedzialności i dobrego skierowania strumienia pieniędzy. Zwłaszcza że w Polsce na jedną osobę mamy trzy razy mniej wody niż reszta państw UE. Dlatego musimy nauczyć się o nią dbać".

Zainicjowana przez Bank Gospodarstwa Krajowego koncepcja 3W jest nie tylko możliwa do realizacji, lecz jest sprawą kluczową, jeśli chcemy wejść w nową, zieloną erę energetyki, przemysłu i biznesu. Synergia między światem finansów, biznesu, nauki i administracji państwowej może dać dobre owoce. Z technologii 3W będziemy korzystać wszyscy, dlatego warto wspierać tego rodzaju inicjatywy i wyczekiwać efektów, które zmienią na lepsze nasze codzienne życie i pozwolą chronić środowisko.

Arkady Saulski

eprasa.pl 0bebdbdc49

JOANNA BRODZIK AKTORKA

Co zależy od nas

Nosiłam tę książkę w sercu, głowie i „na końcu języka" od dobrych kilku lat – deklaruje autorka we wstępie do wydawnictwa zatytułowanego „Umami. Opowieści i przepisy" (Znak Koncept).

Nie bez powodu nazwisko i tytuł na okładce zrównały się z sobą graficznie. Autorka i zarazem bohaterka (także sesji zdjęciowej), gospodyni czytelniczego spotkania i kulinarna przewodniczka, nie szczędzi w książce słów. Wypełnia nimi barwne wspomnienia, współczesne rozważania i rozbudowane przepisy.

Przedstawia się jako „kolekcjonerka materiałów dotyczących historii kulinariów, zafascynowana zawiłą drogą powstawania i odkrywania potraw oraz przypraw", ale wspomina też ukochaną Babcię Jadzię, od której ona i jej „Moma" nauczyły się gotowania.

To babcia mawiała, że „wyłącznie od nas zależy, czy – gdy w lodówce zostaną tylko dwa jajka – zjemy je, złorzecząc na los, czy pięknie nakryjemy do stołu, zapalimy świecę i przyrządzimy najpuszystszy omlet świata, a potem podzielimy się nim z kimś ważnym i bliskim w uroczystej atmosferze".

Przygotowując codziennie dla rodziny posiłki, Joanna Brodzik stara się nie marnować ani okruszka. Synów uczy np. opiekania kości (by móc ugotować na nich zupę z suszonego chleba) czy zamieniania obierek z ziemniaków w pachnące czosnkiem i rozmarynem chipsy.

Jako „zakładniczka swoich zmysłów", w tym „najpełniej odczuwanego smaku" tropi też w książce tytułowe umami. I znajduje dla niego własną, odwołującą się do znanego powiedzenia, definicję: „Jak u mami, czyli najpyszniej na świecie".

Jolanta Gajda-Zadworna

Życiodajny dal by Wiatr

Akcesoria: duży garnek albo wolnowar, tarka do starcia imbiru, ostry nóż, mała patelnia lub garnuszek do zrobienia tadki, drewniana łopatka lub łyżka.

Składniki na dal: masło klarowane lub olej kokosowy, 1 cebula, 2-centymetrowy kawałek imbiru, 4–5 ząbków czosnku, 1 łyżeczka kminu rzymskiego mielonego, 1 łyżeczki kurkumy, 1 łyżeczka chili lub pieprzu kajeńskiego, 1 łyżeczka soli (na koniec do smaku), 500 g czerwonej soczewicy (przepłucz ją zimną wodą w sitku), 500 ml mleka kokosowego, 500 ml wody, 4–5 cytryn.

Na tadkę: 2 czubate łyżki masła klarowanego lub oleju kokosowego (tak żeby tłuszcz przykrywał całe dno garnka, a przyprawy miały się w czym zamoczyć), 2 łyżeczki kminku w całości, 1 łyżeczka gorczycy, 1 łyżeczka kolendry w całości, 1–2 suszone papryczki chili opcjonalnie: 7–10 świeżych lub suszonych liści curry.

Dal: Pokrój drobno cebulę, czosnek i zetrzyj imbir. Olej wlej do dużego garnka i rozgrzej na średnim ogniu. Na rozgrzany tłuszcz wrzucaj kolejno: cebulę (przesmaż przez mniej więcej 3–4 min i odgarnij na bok garnka), imbir (po dosłownie paru sekundach zgarnij do cebuli) i czosnek (20 s). Zmieszaj wszystko razem. Dodaj do tego wszystkie przyprawy sypkie: kmin rzymski, kurkumę, chili oraz sól, i wszystko ze sobą wymieszaj. Następnie dorzuć soczewicę, zalej wszystko mleczkiem kokosowym i dodaj tyle samo wody, co mleczka kokosowego. Wymieszaj. W wolnowarze ustaw najniższy program i wstaw potrawę na 4–5 godz. Jeśli używasz zwykłego garnka, ustaw go na nisko-średnim ogniu i gotuj dal ok. 30 min, regularnie mieszając i dolewając wody, tak aby danie zbytnio nie zgęstniało i nie zaczęło się przypalać.

Tadka (najlepiej ją zrobić krótko przed zakończeniem gotowania dalu): Rozgrzej olej na patelni. Na gorący tłuszcz (ma skwierczeć, ale nie może dymić) wrzuć przyprawy w całych ziarnach (gorczyca, kminek, kolendra) i przykryj naczynie pokrywką. Nasiona gorczycy zaczną strzelać (podobnie do popcornu). Po 30–60 s, po których strzelanie powinno ustąpić, przyprawy ściemnieją. Dodaj chili pokrojone na pół oraz liście curry (jeśli używasz). Zamieszaj i wyłącz ogień.

Wykończenie: Dodaj tadkę do dalu i wymieszaj. Wyciśnij do potrawy sok z cytryn (ilość soku zależy od twoich upodobań). Dal jest gotowy. Można go doprawić do smaku solą i podawać sam jako zupę, z przekrojonymi na pół cytrynami. Można go również serwować z ugotowanym białym ryżem lub z chlebkiem indyjskim.

Fot. Adrian Blachut, materiały prasowe

eprasa.pl

SŁODKO-SŁONY

Poranna kaszka

ANNA MONICKA

Kto miał na pieńku z poranną kaszką – ręka w górę. Ja miałam, i to bardzo. Jedno z pierwszych wspomnień z dzieciństwa, które do dziś przyprawia mnie o dreszcze, jest takie: leżę i wyję na progu kuchni, a moja wściekła mama próbuje mi wcisnąć do ryczącej paszczy mannę na mleku. Nie byłam w stanie tego przełknąć, podobnie jak lanych klusek. Mama śpieszyła się do pracy, więc po kilku minutach odpuszczała, a ja miałam poczucie wygranej. Nic dziwnego, że w piątej klasie podstawówki ważyłam 26 kg. Kiedy przestałam kontestować śniadania? Gdy zrezygnowałyśmy z mleka. Mama pojęła, na szczęście szybko, że koperek i pachnące masło są znacznie lepszym pomysłem, żeby przełamać mój opór. Bo w końcu dziecko śniadanie zjeść powinno. To najważniejszy posiłek, zwłaszcza jesienią i zimą.

Kiedy dziś wstaję rano, żeby przygotować poranną kaszę, wspominam te nasze boje z rozrzewnieniem. Moja córka ma do wyboru znacznie więcej niż ja. Na półkach sklepów piętrzą się nafaszerowane cukrem płatki, chrupki i granole, a ona i tak zawsze wybiera kaszę krakowską, owsiankę albo lane kluski – tyle tylko, że na słono, w lekkim maślanym rosołku z odrobiną rozgrzewającej przyprawy, najchętniej curry.

Dlaczego takie śniadanie jest lepsze od kanapek? Bo nie zamula od rana brzucha, daje natomiast mnóstwo energii, i to na wiele godzin. Do tego oczyszcza jelita. I wcale nie jest prawdą, że wszystkie smakują tak samo.

Jaglanka (wcześniej sparzona, żeby pozbyć się goryczki) jest bardzo delikatna. Dobrze podawać ją z uprażonym jabłkiem albo kwaskowatym purée z mirabelek. Do tego kropelka miodu.

Krakowska najlepsza jest z koperkiem i masłem. Płatki gryczane, charakterystyczne w smaku, podobnie jak kasza, łagodnieją pod wpływem szczypty masali i kilku łyków kefiru w kubeczku, do owsianych i jęczmiennych bardziej pasuje łagodne curry lub odrobina chili. Dodaję do nich porządną oliwę, która pięknie pachnie, oraz sól zmieszaną z suszonym selerem i czosnkiem albo czarnuszkę (mieloną). Posypuję to kiełkami z pora albo ostrzejszymi z gorczycy czy brokuła lub rzodkiewki. Warto spróbować, smakuje świetnie i idzie na zdrowie.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Wszystkie oblicza jarzębiny

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Spośród przedstawicieli rodzaju *Sorbus*, czyli jarząb, powszechnie znany jest jarząb pospolity *Sorbus aucuparia*, nazywany jarzębiną. Oprócz roli drzewa ozdobnego jarzębina dostarcza owoców zwierzętom – od nazwy tego drzewa pochodzi rosyjska nazwa kwiczoła – рябинник. Wywodzi się ona od obserwacji kwiczołów, które zwłaszcza podczas zimowych koczowisk chętnie żywią się czerwonymi owocami.

Owoce jarzębiny mogą – po odpowiednim spreparowaniu i przyrządzeniu na wzór żurawiny – być także jadane przez ludzi. Zawierają dużo witamin, garbników i pektyn; w smaku są nieco gorzkie.

Oblicze niepozornej jarzębiny zmienia się, kiedy spotka się ją w górskim lesie. Wraz ze świerkiem sięga wysoko aż do górnej granicy lasu, a nawet ponad nią do piętra kosodrzewiny, znosząc mrozy, śniegi i wichury.

Poza jarzębiną, która pospolita jest tylko z nazwy, rodzaj jarząb *Sorbus* reprezentowany jest przez większą liczbę interesujących gatunków.

Wszystkie z nich pełnią funkcję cennych nektaro- i owocodajnych gatunków biocenotycznych, urozmaicających środowisko przyrodnicze. Są wśród nich również taksony niezmiernie rzadkie, objęte ochroną gatunkową i wpisane do Polskiej czerwonej księgi roślin.

W niektórych górach europejskich, a w Polsce wyłącznie w Tatrach, występuje jarząb nieszpułkowy *Sorbus chamaemespilus*. Na przeciwległym krańcu naszej ojczyzny, na Pomorzu, znajdują się nieliczne naturalne stanowiska jarzębu szwedzkiego *Sorbus intermedia*. Gatunek ten jest często sadzony jako drzewo ozdobne. Podobnie w zieleni miejskiej stosuje się jarzęba mącznego *Sorbus aria*. Jego naturalnym środowiskiem są góry. Cechą wyróżniającą jest gęsty, biały kutner po spodniej stronie liści.

Rzadko występującym w Polsce jarzębem jest jarząb brekinia *Sorbus torminalis*, nazywany także brzękiem. Na stanowiskach naturalnych podlega ochronie prawnej. Jego liście można pomylić z liśćmi głogu. Wyróżnia się pięknym drewnem o ciemnej, brązowoczerwonej barwie, ciężkim i twardym, cenionym przez tokarzy i stolarzy.

Na koniec trzeba wspomnieć o jarzębie domowym *Sorbus domestica*, dającym wyjątkowo duże owoce, które w przeciwieństwie do jarzębiny mogą nie tylko być przetwarzane, lecz także zjadane na surowo. Występuje na południe od granic Polski, lecz zmiany klimatu mogą przesunąć jego zasięg.

eprasa.pl 0bebdbdc49

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

„Fit” nie dla nas

Nowe zagrożenia stawiają przed Polską bardzo poważne wyzwania. Polska samotnie broni swojej suwerenności terytorialnej, wschodniej granicy UE przed agresją paramilitarną Białorusi i Rosji, równocześnie musi walczyć z instytucjami Unii Europejskiej o zachowanie swojej suwerenności narodowej, politycznej i gospodarczej. Oczywiście trudno wiązać zagrożenie ze Wschodu z zagrożeniem z Zachodu, ze strony Unii Europejskiej. Ale czy do końca? Zadziwia bowiem pełna zgodność i solidarność totalnej opozycji zarówno z propagandą reżimu Łukaszenki, jak i restrykcjami prawnymi i finansowymi UE wobec Polski. To jest jakby powtórzenie dwutorowości polityki Niemiec wobec Rosji. Z jednej strony upomnienia i deklaracje nowych sankcji, z drugiej cicha polityka ustępstw, a w końcu akceptacja dla faktów dokonanych, których symbolem jest Nord Stream 2. Opozycja podobnie, nie chce, aby Polska, tak jak obecnie, broniła swojej granicy, gdyż winna się skupić na humanitarnym ratowaniu imigrantów, i cieszy się z sankcji (wręcz o nie zabiega) nakładanych na Polskę ze strony UE. Wizyta pań prezydentowych Kwaśniewskiej i Komorowskiej była pełnym ukłonem dla polityki Łukaszenki, a hołdy lenne polskich posłów w Brukseli podziękowaniem za politykę restrykcji finansowych wobec Polski. Wielokrotnie się mówiło, że opozycja nie ma swojego programu, ale on jest – ten program to pełna kapitulacja Polski z bycia państwem suwerennym, niepodległym, jednolitym prawnie i demokratycznym. Ma nastąpić powrót do rządów Tuska i Kopacz, gdy wyprowadzono Wojsko Polskie z garnizonów na wschodniej granicy, kierując je na zachód, w obronie wschodniej granicy Niemiec. Równocześnie likwidowano i tak już ubogą i zapóźnioną infrastrukturę cywilizacyjną Polski wschodniej (posterunki policji, szkoły, przystanki, koleje, szpitale itd.), tak jakby przyszła granica państwa miała się zatrzymać na linii Wisły.

Czy zatem funkcjonuje jeszcze artykuł 1 naszej konstytucji, że Rzeczpospolita jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli? Obserwując zachowanie opozycji zarówno w polskim parlamencie, jak i w antyrządowych mediach oraz na forum europejskim (mowa o polskich europosłach), można odnieść wrażenie, że to „dobro wspólne” nie obejmuje obecnej polskiej władzy państwowej, po części także samorządowej oraz wszystkich wyborców Prawa i Sprawiedliwości, którzy dwukrotnie, w demokratycznych wyborach w roku 2015 i 2019 powierzyli tej partii prawo do sformowania rządu i przejęcia władzy.

Manfred Weber, szef frakcji Europejskiej Partii Ludowej, dziękujący w Parlamencie Europejskim Donaldowi Tuskowi za zorganizowanie prounijnych demonstracji w Polsce to typowy przykład ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski. Weber podzielił Polaków na „patriotów”, czyli „przekonanych Europejczyków”, oraz na „nacjonalistów”, a więc pozostałych, w domyśle zwolenników polskiego rządu. Twierdzenie szefowej KE Ursuli von der Leyen, że „polski Trybunał Konstytucyjny nie jest niezależny”, to także mieszanie się w wewnętrzne polskie sprawy i ewidentne podważanie polskiej konstytucji jako najwyższego prawa w Rzeczypospolitej. Równocześnie domaganie się wielu zmian, np. w polskim sądownictwie, to jawne łamanie unijnego prawa zapisanego w traktatach.

Czy to jest równość? – pytał na forum Parlamentu Europejskiego premier Mateusz Morawiecki, wskazując na stosowanie podwójnych standardów, dzielenie na lepszych i gorszych, silnych i słabszych, bogatych i biednych. A już kompletnie nie do zaakceptowania przez Polskę jest stosowanie języka szantażu finansowego, gróźb, pogróżek czy wymuszeń. To tak jakbyśmy toczyli obok wojny hybrydowej na Wschodzie drugą podobną taką wojnę na Zachodzie.

Dlatego trzeba głęboko przemyśleć naszą dalszą obecność w Unii Europejskiej. Ona nie może się kłócić z demokratycznym charakterem naszego państwa oraz zasadami sprawiedliwości społecznej, o których mówi artykuł 2 Konstytucji RP. Ta obecność nie może być dla Polski szkodliwa.

Polska ma długą, bo liczącą ponad 500 lat, tradycję trzymania się prawnej reguły: Nihil novi sine communi consensu, czyli „nic nowego bez zgody ogółu”. To gwarancja naszej podmiotowości. Nowe, narzucane przez UE centralnie i bez konsultacji z państwami suwerennymi pomysły gospodarcze i polityczne będą bardzo trudne do pogodzenia ze sprawiedliwością społeczną. Wymyślony w brukselskich gabinetach program Fit for 55 to jakby druga strona marksizmu kulturowego niszczącego dziś nie tylko europejskie społeczeństwa. Ta kolejna utopia, która w sposób rewolucyjny, czyli wymuszony siłą, chce dokonywać cywilizacyjnych zmian w tzw. ekologii, w przyrodniczym otoczeniu człowieka wbrew ludzkiemu doświadczeniu i ewolucji. Prawdziwy cel jest jak zawsze zakamuflowany, jak i ludzie, którzy służą takiej destrukcji. Celem jest dominacja, hegemonia silniejszego, ugruntowanie podziałów na bogatych i biednych. I Polsce taki „fit” z pewnością nie będzie pasować.

www.wojciechreszczynski.pl

Karykatura

Aleksander Nalaskowski

Nie trzeba być geniuszem ani bystrym obserwatorem, bo wystarczy maleńki, całkiem tyci rozumek i namiastka dostępu do informacji, aby dostrzec dwa fakty pokazujące nam współrzędne miejsca, w którym żyjemy. Pierwszym z nich jest absolutna niemożność skłonienia marszałka Senatu do zrzeczenia się immunitetu w celu wyjaśnienia zarzutów, których wydźwięk jest czysto kryminalny i objęty Kodeksem karnym. „Trzecia osoba w państwie", człowiek o niepohamowanym wręcz imperatywie wygłaszania orędzi do narodu, wielki moralizator, strzelisty retor i mistrz słowa boi się zwykłego dochodzenia w sprawie łapówek. Takich zwykłych, prostackich kopertówek pobieranych od wystraszonych i przyciśniętych do muru chorobą pacjentów i ich rodzin. Nie daje sobie szansy, aby to wyjaśnić, aby w świetle prawdy pokazać, że zarzuty są wyssane z palca. Tak oto immunitet, którego duch wynika z zapewnienia niezależności politykowi czy sędziemu, został zdegradowany do poziomu zupełnej bezkarności. Nie trzeba być oczytanym prawnikiem, aby czuć, że zalatuje tu zwykłym, umorusanym w szambie cwaniactwem. Jak określił to znajomy sztygar z Mikołowa, „gęba pełna frazesów, łapy pełne kopert".

Trawestując klasyka, można wręcz dzisiaj powiedzieć, że „opozycyjność to nienormalność"

Jako obywatel mam prawo się domagać, aby stosowne organy i instytucje wyjaśniły mi, czy fakt ordynarnego łapownictwa marszałka Senatu ma pokrycie w rzeczywistości. Aby to zrozumieć, naprawdę wystarczy mózg wielkości orzecha laskowego. A uporczywość zasłaniania się immunitetem wskazuje dystans, jaki dzieli tzw. opozycję od zwykłej uczciwości i przyzwoitości. A jednocześnie mierzy dystans, jaki nasze państwo dzieli od normalności. Trawestując klasyka, można wręcz dzisiaj powiedzieć, że „opozycyjność to nienormalność".

Przy okazji można też pytać o niegdysiejszych opozycjonistów z PRL, którzy z lubością niszczą własną legendę i czynią siebie samych podstarzałymi żałosnymi pierrotami. Nie myślę wcale o Wałęsie, który stanowił opozycję w SB, przybierając w agenturalnym bierzmowaniu imię „Bolek", ale o Frasyniuku, człowieku o tak otwartej głowie, że mu rozum wywiało, a w kontekście marszałka Senatu o Borusewiczu też myślę, który robi to, z czym w PRL walczył. Tak tanio sprzedał życiorys...

Wystarczy mieć strzępy jednego ucha, aby to, co powiedział były rzecznik praw obywatelskich do Niemców, dotarło do każdego. O ile ktoś miał tylko podejrzenia, że spora część opozycji jest bezkrytycznie proniemiecka, to teraz może stanąć do każdego zakładu o to, że tak jest w istocie. Cienka woalka opadła i oto elita ukazała się w pełnej krasie i zupełnie na golasa. Wystąpienie Adama Bodnara nie broni się żadną literackością, żadną metaforyzacją, nie musi być nadinterpretowane, abyśmy zrozumieli, że to Niemcy nas ucywilizowali i swoimi prawami przemienili nas z bydła w ludzi. To dzięki Niemcom nauczyliśmy się mądrości prawa i jego mocy sprawczej. Zapewne były rzecznik praw (sic!) miał na myśli tych, którzy ulubione paragrafy niemieckiego prawa wytatuowali sobie na przedramieniu, albo tych, którzy z szacunkiem i mądrością stworzyli ustawy norymberskie, a może tych, którzy z podziwem patrzyli na moc prawa międzynarodowego ucieleśnionego w pakcie Ribbentrop–Mołotow? Może rodzina Ulmów przed egzekucją szeptała ze zrozumieniem: „Dura lex sed lex"? Tak naprawdę to Bodnar (kolejny po Matczaku profesorski gigant prawa) powiedział, że Polacy bez Niemców są jak człowiek bez mózgu. Koledzy tego giganta zbyli to milczeniem albo szyderczym zarzutem, że to, co powiedział ich kumpel, nie zostało zrozumiane, bo wspiął się na całkowicie niedostępne dla Polaczków wyżyny intelektualizmu.

Bardzo bym chciał, aby niezrównany rysownik Andrzej Mleczko, który wprost idiotycznie postawił się po jednej stronie sporu, aby ten artysta namalował karykaturę „Hołdu pruskiego" Jana Matejki. W otoczeniu Francuzów, Belgów, Holendrów i Anglików siedziałaby okrakiem na rurze Nord Stream 2 Angela I w sobolach, a u jej stóp klęczałby Tusk, którego tren podtrzymywaliby Bodnar, Sikorski, Trzaskowski. Zamiast Stańczyka byłby duet Joński & Szczerba, a w tle tłum dumnych osobistości, wśród których nie zabrakłoby Budki, Schetyny, Zandberga, Żukowskiej, Grasia, Komorowskiego, Kwaśniewskiego, obu Staszewskich (Barta i Kazika), Maleńczuka (tego od swastyki na szyi), Biedronia z wystającym Śmiszkiem, Gduli, Sadurskiego, Lempart, Hołdysa, Mellera, Materny i innych lobbujących za Polską jako zamtuzem cywilizowanego Zachodu. Na wzgórzu miast Jagiełły stałby Putin, a na kucyku siedziałby Biden.

Wszak trzecia osoba w państwie wyraźnie wskazuje, co w realu oznacza praworządność, a rzecznik praw przywołuje najlepsze, bo sprawdzone (w latach 1939–1945) wzorce.

Mój Boże, oni naprawdę mieli (mogą mieć?) władzę. Przerażające.

eprasa.pl 0bebdbdc49

JAN POSPIESZALSKI

Korzenie czy nawóz

Zestawianie w jednym szeregu tych inicjatyw pokazuje nie tylko intelektualną zapaść, lecz także paniczny lęk przed moralną oceną rzeczywistości

W związku z próbami zablokowania przez Rafała Trzaskowskiego Marszu Niepodległości pojawiają się komentarze (nie tylko wśród tzw. symetrystów, lecz również na prawicy) zestawiające marsz z paradami homoseksualistów. Słyszymy, że „nacjonalistyczne hasła to nie moja bajka, ale ratusz nie powinien delegalizować marszu". Komentatorzy jednym tchem zapewniają, że choć subkultura LGBT jest im równie obca, jednak jej zwolennicy także mają prawo demonstrować na ulicach stolicy. Zestawianie w jednym szeregu tych inicjatyw pokazuje nie tylko intelektualną zapaść, lecz także paniczny lęk przed moralną oceną rzeczywistości.

Marsz Niepodległości zrodził się jako oddolna inicjatywa środowisk patriotycznych. Był w pewnym sensie odpowiedzią na wymazywanie etosu bohaterów drugiej konspiracji. Utworzenie IPN i dostęp do akt pozwoliły ukazać bohaterstwo Żołnierzy Wyklętych. Jednocześnie narastał gniew wobec niemożności rozliczenia zbrodniarzy komunistycznych. Biografie żołnierzy antykomunistycznego podziemia pokazują, że wielu z nich oddało życie nie tylko za niepodległość Polski, lecz i w obronie cywilizacji chrześcijańskiej. Wyznanie wiary zawarte w grypsach Łukasza Cieplińskiego, głęboka religijność rotmistrza Pileckiego, Antoniego Olechnowicza, Feliksa Selmanowicza sytuuje ich obok księży męczenników: Popiełuszki, Blachnickiego czy Niedzielaka. „Bóg, Honor i Ojczyzna" – wykrzykują dziś uczestnicy Marszu Niepodległości, nawiązując do ideałów żołnierzy niezłomnych. Takie są korzenie inicjatywy, o której neomarksista Guy Verhofstadt powiedział, że „ulicami Warszawy przemaszerowało 60 tys. faszystów".

Zaciekła nienawiść do polskich patriotów genderowej lewicy, reprezentowanej przez Verhofstadta, jest taka sama, jaką wobec naszych bohaterów żywili marksiści – od Fejgina, Heleny Wolińskiej i Stefana Szechtera-Michnika. O bohaterach podziemia antykomunistycznego mówimy dzisiaj Żołnierze Wyklęci, dlatego że ich mordercy nie poprzestali na fizycznej likwidacji. Zbrodniarzom zależało, aby zniszczyć pamięć o nich. Dlatego ich ciała zostały byle jak i byle gdzie wrzucone do dołów, a po miejscach tych starano się zatrzeć wszelkie ślady. Choć od kilku lat prof. Krzysztof Szwagrzyk prowadzi poszukiwania i identyfikacje, to jednak dalecy jesteśmy od wypełnienia obowiązku wobec tych, którym odmówiono pogrzebu, by teraz zgodnie z tradycją i cywilizacyjnym porządkiem dokonać godnego pochówku.

Szacunek do zmarłych, powaga wobec majestatu śmierci, godne pogrzebanie zwłok – to naturalne elementy naszej kultury. Marksiści, którzy wprowadzali sowiecki system w powojennej Polsce, biorąc pod uwagę choćby tylko stosunek do zmarłych, sytuują się poza obrębem naszej cywilizacji. Poniewieranie ciała zmarłych i zabitych właściwe jest dla prymitywnych ludów, gdzie wrogów należało nie tylko uśmiercić, lecz i pohańbić nawet po śmierci. Czerwona zaraza, która po wojnie zainstalowała się w Polsce, mimo odwilży i transformacji z tego barbarzyńskiego rytuału pohańbienia zwłok nigdy się nie wycofała. W III RP Jaruzelski, Kiszczak, ich sędziowie nie ujawnili miejsc, gdzie zakopano szczątki bohaterów. Również nikt z młodszego pokolenia komunistów – Cimoszewicz, Miller, Rosati, Hübner, Belka, Gdula – nie zadali sobie trudu, by przy użyciu rodzinnych, resortowych koneksji, wyjaśnić tę tajemnicę.

Tak się składa, że ta druga manifestacja – parada homoseksualistów – ma właśnie korzenie marksistowskie. Nie trzeba przeprowadzać specjalnego dziennikarskiego śledztwa, aby ukazać nie tylko antychrześcijańską proweniencję ideologii gender/LGBT, lecz także zagraniczne źródła finansowania i dystrybucji tych idei w Polsce. Ponadto od początku obserwowaliśmy silną obecność w tym nurcie zagranicznych organizacji i fundacji. Ktoś, kto nie dostrzega ontologicznej i moralnej różnicy między tymi zdarzeniami, ma kłopot z rozpoznaniem rzeczywistości.

I na koniec jeszcze jeden szczegół, ale dość istotny. Tamci marksiści poniewierali szczątki naszych patriotów, dzisiejsi marksiści (Zandberg, Czarzasty) zwalczają pamięć o Żołnierzach Wyklętych, a ich towarzysze w imię rzekomej obrony klimatu proponują kompostowanie ludzkich zwłok i użycie ich jako nawozu...

Autopromocja

eprasa.pl 0bebdbdc49

Krajowa wersja Róży Thun

Jerzy Jachowicz

Wydziały prawa dwóch najbardziej zasłużonych dla polskiej nauki uniwersytetów – Jagiellońskiego i Warszawskiego – w wartej naśladowania harmonijnej współpracy kilka miesięcy temu ustanowiły doroczną nagrodę specjalną dla wyróżniającego się przedstawiciela środowiska prawniczego – Diamentowy Paragraf. Czujemy się zaszczyceni, że jako jedyne polskie medium – przed wszystkimi innymi – poznaliśmy pierwszego laureata tego wyjątkowego wyróżnienia za rok 2021.

To dowód uznania władz obydwu uczelni dla tygodnika i naszego autora Jerzego Jachowicza, od lat zajmującego się z godną podziwu pasją kwestiami praworządności polskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie popadajmy jednak w dumę ani samozadowolenie. Skromność to nasza dewiza. Ale ad rem.

Miło nam donieść, że tegoroczna nagroda trafiła do rąk kobiety. Jest nią pani mecenas Sylwia Gregorczyk-Abram z Warszawy. Ta niezwykła adwokat pełni tak wiele odpowiedzialnych funkcji społecznych, a przede wszystkim ma tyle obowiązków w niezliczonych instytucjach publicznych wielkiej wagi, że może śmiało uchodzić za prototyp dla cyfrowych, samoczynnych urządzeń wieloczynnościowych, konstruowanych przez przodującą na świecie technologię japońską.

– Jej aktywność społeczna to piękna karta – mówi przewodniczący kapituły prof. Wojciech Sadurski z UW. – W istocie jednak o naszym wyborze zdecydował niedawny tekst, jaki opublikowała na łamach niemieckiego tygodnika „Der Spiegel". Członkowie kapituły byli zachwyceni jej przenikliwością. Podczas obrad cytowano nawet niektóre jej myśli. Np. tę o „demontażu praworządności". Co za finezja, prawda? – Rzadka – przyznaję. – Ponadto tekst był niezwykle odważny. Żeby tylko nie spotkały jej szykany ze strony rządu. – Co też pan profesor mówi? Jest taka groźba? – Rząd może zdenerwować opinia, że kara dla Polski miliona euro dziennie za Izbę Dyscyplinarną to dobry krok. Albo że Polska nie powinna dostać żadnych pieniędzy, bo walka idzie o to, w jakim kierunku pójdzie UE. – Ale przecież pan profesor mówi to samo. – No, niby tak. – I opozycja polska w Brukseli. – Właśnie dlatego daliśmy nagrodę.

WEJDŹ NA: wPolityce.pl

epresa.pl 0bebdbdc49

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Ach, ten listopad!

Miesiącem, który sprawia u nas najwięcej problemów, jest listopad

Ryszard Makowski

Kiedy w „Nocy listopadowej" Stanisław Wyspiański pytał głosem Wielkiego Księcia Konstantego: „Listopad to dla Polski niebezpieczna pora?", nie zdawał sobie sprawy, jak mocno wieszczy. Dramat napisany w 1904 r. nawiązuje do zrywu podchorążych w 1830 r. Mamy jednak rok 2021 i okazuje się, że listopad to rzeczywiście dla Polski niebezpieczna pora. Z pewnością naszemu genialnemu artyście do głowy nie przyszło, że powodem listopadowych niepokojów może być to, że Polacy chcą godnie obejść Narodowe Święto Niepodległości. To jest niesłychane!

W III RP Polacy nie mogą czcić jednej z najważniejszych dat w swojej historii, kiedy Polska dźwignęła się po 123 latach zaborów. To znaczy święto jako takie jest. Ale jest dopilnowane, kto może się radować, a kto nie. Najbardziej na cenzurowanym jest Marsz Niepodległości. A dlaczego? Ano dlatego, że organizują go organizacje narodowe. Naród jest u nas kwestią niezwykle drażliwą. Polacy i katolicy w III RP powinni ustąpić miejsca „Europejczykom" i orędownikom LGBTXYZ+. Nie chcą ustąpić? A to faszyści, antysemici i nacjonaliści!

Podobnie jak poprzednimi laty przemarsz z ronda Dmowskiego natrafia na utrudnienia formalne. Prezydent Warszawy, znamienity przedstawiciel michnikowszczyzny, machając wyrokiem sądu, zakazuje maszerować dziesiątkom tysięcy Polaków, ale udostępnia trasę pochodu lewaczkom spod znaku 14 Kobiet z Mostu. Pogoda za oknem sprzyja zadumie, to i człowiek duma. Czy my jesteśmy w wolnej Polsce, czy cały czas musimy do niej maszerować?

eprasa.pl 0bebdbdc49

Michał Korsun prezentuje: Glasgow COP26, czyli klimatyczny szczyt...hipokryzji

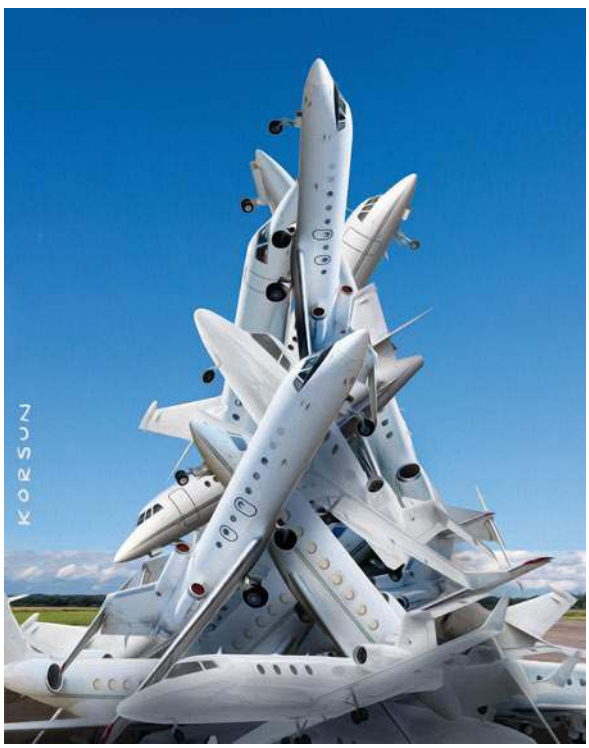

Wycinki z przeszłości

Ależ narzekają niektórzy na trud codziennej domowej krzątaniny. Bywa trudno, ale było gorzej. Nasze babcie i prababcie nie miały sklepów ze specjalistycznym środkiem na każdy problem. Dlatego „Kalendarz Gebethnera i Wolffa na rok 1914" zamieszczał takie porady praktyczne.

„Tłuste plamy wywabia: kwaterka spirytusu, 4 łuty terpentyny, kwaterka eteru siarczanego. Dla zapachu można dodać kilka kropli olejku bergamotowego.

Przeciw robakom w doniczkach z kwiatami: ugotować ćwierć funta piołunu i ćwierć funta potłuczonych dzikich kasztanów w dwóch kwartach wody. Tą cieczą podlewać rośliny, a wszystkie robaki na wierzch wypełzną.

Tania guma do klejenia papieru i etykiet: Funt dekstryny zalać 2,5 szklankami wody zimnej. Mieszać około 10-ciu minut, dodać łyżkę gliceryny i łut glykozy i zagrzać na ogniu, nie dopuszczając do zagotowania.

Rozpałka do węgli kamiennych: 15 łutów kalafonii roztopić w garnku na ogniu, wsypać w rozpuszczoną 85 łutów zwykłych trocin, wymieszać, zdjąć z ognia. Gdy stygnąc gęstnieje, układać na desce wysypanej piaskiem kupki wielkości kajzerki. Gdy ostygnie, gotowe do użytku".

Prawda, że proste? Powodzenia! ***(mk)***

Polonez listopadowy

Leszek Długosz

Jak piękna, czysta
Łopoce i zachwyca
Biało-czerwona
Na tle błękitu
Ze złotym nalotem listopada
Ponad wawelskim wzgórzem
Flaga...

Wyniosła, prosta
Niczym by fraza mickiewiczowska
Lub Chopin jakby z nieba
Ponad nami
Obdarowywał nas polonezami

– Wyniosła, swojska
Na wietrze śpiewa
Chorągiew polska

Lecz dla nas jeszcze
W serc pamiętaniu
Do drzewca tego niech dołączają
Wszystkie, co przez stulecia
Tęskniły
Biegły do upadu
Śniły o takiej rezurekcji chwili
Szły w bój
Na zsyłki, w tiurmy i w Sybiry
Na wszystkie poniewierki
Po wszystkich krańcach ziemi
Ściszane kneblem
Strzałem w potylicę
Zabite, nieuległe
W piach padające
Z wiarą
Że przecież – oni tam
Za nami, po nas...
Że jest i trwa, że...
„Póki my żyjemy..."

To ona dzisiaj
– Z wszystkimi, co się nad Wawelem
W tę jedną oto zbiegły
Biało-czerwona
Jedenastolistopadowa
Wysoko uniesiona
Sercom i spojrzeniom naszym
Łopoce
– W niebo i światu śpiewa
Duma i chwała
Znak i zawołanie
Zadanie
Zadane nam dzisiaj.

(Kraków, listopad 2018)

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0bebdbdc49

OD A DO ZYBERTOWICZA

Niemiecki paradoks

W polityce i biznesie często chodzi właśnie o to, by odwrócić uwagę opinii publicznej od faktycznych mechanizmów przyczynowo-skutkowych

To dobrze znany dylemat: czy w efekcie unijnej integracji Niemcy staną się bardziej europejskie (czytaj: łagodne i wyrozumiałe wobec innych tradycji), czy też Unia stanie się bardziej niemiecka (czytaj: zuniformizowana i brutalna)?

W tym kontekście rozważę kwestię inną: kto najbardziej odpowiada za największe kryzysy, przez jakie nasza europejska wspólnota przechodzi? Kryzysy raz po raz wstrząsające jej podstawami, rodzące obawy co do perspektyw dalszego pokojowego rozwoju Europy.

Kryzysy, jakich Unia doświadcza, bywają ujmowane rozmaicie, ale istnieje dość szeroka zgoda, że najpoważniejsze z nich to: kryzys strefy euro, kryzys migracyjny roku 2015 (dzisiejsza białoruska wojna hybrydowa to nieprzypadkowe echo tamtych wydarzeń) oraz obecny skok cen gazu, wiążąca się z tym inflacja i możliwe niepokoje społeczne.

KRYZYS EURO

O tym, że euro wprowadzono w życie bardziej jako projekt polityczny niż czysto ekonomiczny, mówiono nie raz. Pisał o tym np. laureat Nagrody Nobla z ekonomii Joseph Stiglitz w wydanej także w Polsce książce „Euro: W jaki sposób wspólna waluta zagraża przyszłości Europy".

Wiadomo, że głównym beneficjentem wprowadzenia tej *wspólnej* waluty jest gospodarka niemiecka. Nie wolno jednak zapominać, że za największym wstrząsem strefy euro, jakim był kryzys grecki i jego liczne ofiary społeczne, stały interesy banków – głównie niemieckich – które „zadbały" o to, by niespełniająca wymogów rozwojowych gospodarka Grecji przeszła na euro nęcona łatwymi kredytami.

KRYZYS MIGRACYJNY

To jednostronna, niekonsultowana z przywódcami innych państw Unii decyzja kanclerz Angeli Merkel, by we wrześniu 2015 r. otworzyć granice Niemiec przed przebijającą się przez Węgry i Austrię falą migrantów, skokowo zwiększyła ówczesną skalę migracji, rodząc liczne napięcia między krajami członkowskimi.

To w reakcji na ten kryzys Iwan Krastew, wybitny bułgarski analityk, zdeklarowany liberał i zwolennik integracji, napisał w tonacji dramatycznej, wydaną także w Polsce, książkę „Co po Europie?".

KRYZYS ENERGETYCZNY

Dwóch wcześniejszych kryzysów wcale kompleksowo nie rozwiązano, co najwyżej zaleczono, a tu poziomowi życia Europejczyków, a w konsekwencji stabilności społecznej, zagraża kryzys kolejny. Ceny gazu szaleją, inflacja ruszyła i nie wiadomo, jak się to wszystko dalej potoczy. Tu znowu odpowiedzialne są, jak się zdaje, przede wszystkim właśnie Niemcy – ich polityka uzależnienia się od nośników energii pochodzących z Rosji – czego wyrazem jest rurociąg Nord Stream, łamiący traktatowo zapisaną zasadę solidarności europejskiej.

UŁOMNY PROMOTOR

Nie napisałem chyba powyżej nic nowego, a jednak ostatnio, gdy mówi się o problemach europejskich, nie brak chmary autorów (niekiedy mających poważny dorobek) przekonanych, że pierwszorzędnym sprawcą kłopotów Unii jest... Polska – rządzona przez ekipę Prawa i Sprawiedliwości.

W polityce i biznesie często chodzi właśnie o to, by odwrócić uwagę opinii publicznej od faktycznych mechanizmów przyczynowo-skutkowych – co potem się przekłada na odpowiednie decyzje wyborcze. Musi wszakże zadziwiać niedostrzeganie, a w związku z tym nieprzemyślenie, roli Niemiec w tym wszystkim. Jak można nie dostrzegać słonia?

Czy powodowane przez Niemcy kryzysy to tylko nieumiejętne poruszanie się słonia w składzie porcelany, jakim jest w istocie delikatna – ze względu na swój wymiar kulturowy – europejska konstrukcja instytucjonalna?

Czy to zadufanie niemieckiego giganta, który sądząc, iż daje pozostałym członkom wspólnoty lekcje cywilizacyjnego postępu, ukazuje arogancję, której ofiarami są to greccy pracownicy, to tonący w Morzu Śródziemnym migranci (w latach 2015–2019 zginęło ok. 15 tys. osób), to bezmyślnie słuchające głosu Berlina elity ze stolic krajów członkowskich?

Oto Niemcy – kraj w Unii największy, wiodący obok Francji promotor całego projektu integracji – integrują Europę z takim rozmachem, że boli to wszystkich... Oczywiście z wyjątkiem zadufanych karierowiczów, którym gen uległości ból taki skutecznie tłumi.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 49/1021/F | 64/1021/F

eprasa.pl 0bebdbdc49

Magazyn z płytą w prezencie!

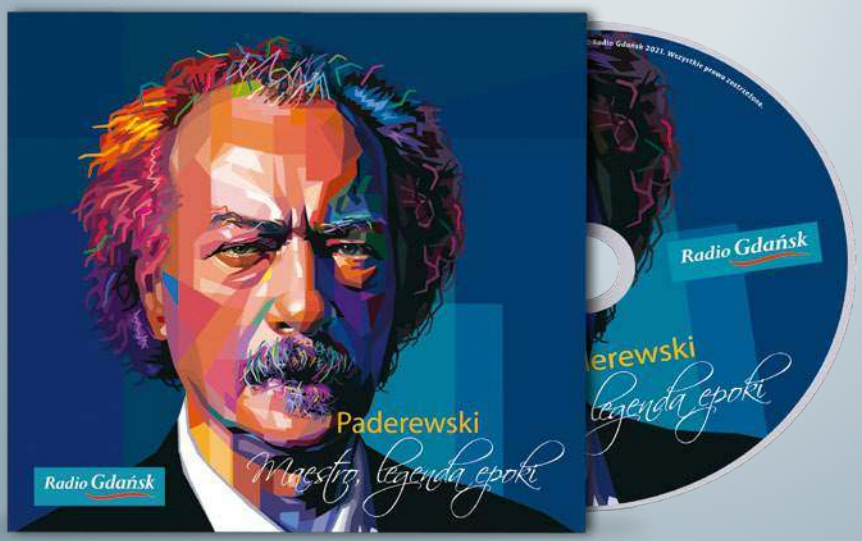

PADEREWSKI.
Maestro, legenda epoki

Poznaj nadzwyczajne życie genialnego pianisty, wybitnego męża stanu, zasłużonego patrioty i jednego z ojców odrodzenia Polski.

Z okazji 103. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości płyta dla czytelników w prezencie!

Kup magazyn „wSieci Historii” z płytą w prezencie!

eprasa.pl 0bebdbdc49

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

#WielkieChwile

Grając w gry LOTTO, wspierasz sport

DZIĘKUJEMY!

ROBERT LEWANDOWSKI
Najlepszy piłkarz świata 2020 w plebiscycie FIFA

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, to 19 groszy dla sportu i kultury